

**OJCIEC JÓZEF WRZESIŃSKI**  
**RZECZNIK NAJBIEDNIEJSZYCH**



Alwine de Vos van Steenwijk

**Ojciec Józef Wrzesiński**  
**Rzecznik Najbiedniejszych**

**JEDNOŚĆ**  
Kielce 2013

Tytuł oryginału: Père Joseph

Pierwsze wydanie po francusku

© Éditions Quart Monde Monde 1989

(33, rue Bergère 75009 Paris)

Aktualne wydanie po francusku:

© Les Éditions du Cerf, 2011

[www.editionsducerf.fr](http://www.editionsducerf.fr)

(24 rue des Tanneries, 75013 Paris)

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo „Jedność”, Kielce 2013

Tłumaczenie

Tereliza Braun

Opracowanie redakcyjne

Iłona Golda

Redakcja techniczna

Wiktor Idzik

Projekt okładki

Pierre Klein

Opracowanie graficzne okładki

Justyna Kułaga-Wytrych

Wydanie III

ISBN 978-83-7660-763-4

Wydawnictwo „Jedność”

25-013 Kielce, ul. Jana Pawła II nr 4

Redakcja: tel. 41 349 50 00

Dział sprzedaży: tel. 41 349 50 50

[www.jednosc.com.pl](http://www.jednosc.com.pl)

e-mail: [redakcja@jednosc.com.pl](mailto:redakcja@jednosc.com.pl)

Drukarnia im. A. Półtańskiego

[www.drukarnia.kielce.pl](http://www.drukarnia.kielce.pl)

## Słowo wstępu do trzeciego wydania książki *Ojciec Józef Wrzesiński*

Książka, której trzecie wydanie oddajemy dziś do rąk polskiego czytelnika, jest książką niezwykłą, tak ze względu na postać jej bohatera – ojca Józefa Wrzesińskiego (12 II 1917 – 14 II 1988), rzecznika najbiedniejszych, osoby niezmiernie zasłużonej dla dostrzegania problemu ubóstwa w świecie współczesnym, jak i ze względu na jej autorkę – Alwine de Vos van Steenwijk (22 VI 1921 – 24 I 2012), bliską współpracownicę ojca Wrzesińskiego, wieloletnią wolontariuszkę, a następnie honorową przewodniczącą, założonego przez niego Ruchu ATD Czwarty Świat. Książka jest opisem drogi życiowej i działalności ojca Józefa Wrzesińskiego, wieloletniego duszpasterza bezdomnych, który zainicjował postrzeganie ubóstwa w kategoriach łamania praw człowieka i swoją działalnością publiczną sprawił, że głos ludzi najbiedniejszych został usłyszany przez świat nauki i polityki. Po jego śmierci Alwine de Vos za swój obowiązek uznała przybliżanie i popularyzację wiedzy o osobie, biografii i dokonaniach ojca Wrzesińskiego. Zajmowała się tym do końca swych dni. Gdy w maju 2010 roku wzięła udział w międzynarodowej konferencji „Skrajne ubóstwo a prawa człowieka. Wyzwanie dla Polski, wyzwanie dla Europy”, zorganizowanej w Warszawie przez ATD Czwarty Świat oraz Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej, wygłosiła referat pt. „Dziedzictwo Józefa Wrzesińskiego” i dzieliła się z uczestnikami swą wiedzą i wspomnieniami o tej charyzmatycznej postaci. Najpełniejszym efektem jej działalności upamiętniającej osobę i dzieło ojca Wrzesińskiego jest jej książka *Ojciec Józef Wrzesiński*. Oparta na bezpośrednich wypowiedziach samego Wrzesińskiego, na relacjach bliskich mu osób, współpracowników i wolontariuszy ATD Czwarty Świat, także na własnych wspomnieniach i doświadczeniach, jest

opisem długiej i skomplikowanej drogi, jaką przebył syn biednych imigrantów – Polaka i Hiszpanki, internowanych we Francji w czasie I wojny światowej, by poprzez własną pracę i mądrą działalność społeczną stać się rzecznikiem najbiedniejszych. Książka Alwine de Vos pokazuje, że ojca Wrześnińskiego uformowało dzieciństwo w biedzie, że jego własne trudne doświadczenia i przeżycia sprawiły, iż jak nikt inny rozumiał ludzi zmagających się z ubóstwem, ich problemy, przeżycia, troski. Oto jedna z charakterystycznych wypowiedzi ojca Wrześnińskiego, zacytowanych przez Alwine de Vos w jej książce: „Bieda, braki materialne, uzależnienie od silniejszych są trudne do zniesienia. Natomiast nie do wytrzymania [...] jest pogarda, bezustanne przypominanie, że się jest istotą niższego rodzaju i całkiem bezużyteczną. Jest nie do wytrzymania, gdy nawet najbliżsi traktują człowieka jak istotę pozbawioną godności osobistej” (s. 57). Potrzeba godności człowieka biednego, dostrzeżenie znaczenia upokorzenia, jakiego nieustannie doznaje od ludzi i instytucji, pogarda, z jaką się styka na co dzień, to jeden z głównych wątków myśli i działalności na rzecz najbiedniejszych ojca Józefa Wrześnińskiego.

To spojrzenie ma dziś wielu orędowników; przenika niejako i określa współczesną refleksję badawczą dotyczącą ubóstwa i wykluczenia społecznego, współgra z najbardziej aktualnymi tendencjami w tej refleksji. W podobnym duchu wypowiada się, na podstawie wieloletnich badań i doświadczeń bezpośredniej pracy z ludźmi biednymi brytyjska badaczka Ruth Lister. Jej zdaniem dla wielu osób najtrudniejszym aspektem doświadczenia ubóstwa jest odczuwany brak szacunku i poczucie utraty godności. Podobnie Zygmunt Bauman w wielu pracach i wypowiedziach publicznych twierdzi, że „społeczna odmowa godności własnej, upośledzenie i upokorzenie”, jakiego dziś doświadczają ludzie biedni, jest najważniejszym czynnikiem, charakteryzującym ich obecną sytuację, swoistym odpowiednikiem wyzysku, pełniącego kluczową rolę w poprzednich epokach i systemach. Wielce zasłużony dla uwrażliwienia szerokich rzesz czytelników Ryszard Kapuściński pisał tak oto: „Człowiek może być ubogi nie dlatego, że nic nie zjadł, ale dlatego, że jest nieszanowany, poniżany, lekceważony, pogardzany”. Podobny punkt widzenia można znaleźć w myśli wielu badaczy i znawców problematyki ubóstwa, takich jak Bronisław Geremek, Pierre Bourdieu, Oscar Lewis i inni. Z różnych stron, z różnych nurtów

myśli społecznej płynie zbliżony postulat uwzględnienia wiedzy, jaką na temat swojej kondycji posiadają sami biedni i wykluczeni; postulat sformułowany przed laty przez ojca Wrzesińskiego w postaci zalecenia, by „poznać, co myślą najbiedniejsi”. Wypowiedzi te uświadamiają nam, że wstyd i poniżenie związane z biedą, bądź – ujmując rzecz od drugiej strony – kwestia szacunku i zrozumienia dla ludzi żyjących w ubóstwie i solidarności z nimi to wielki problem etyczny świata współczesnego. Rola ojca Józefa Wrzesińskiego we wskazaniu tego problemu jest ogromna.

Myśl ojca Wrzesińskiego – dzięki biograficznej książce Alwine de Vos, dzięki publikacji fragmentów jego pism, dzięki działalności polskiego oddziału ATD Czwarty Świat i warsztatom „Więzi” – przyczyniła się do zmiany spojrzenia na ludzi biednych w środowisku polskich badaczy ubóstwa. Bardzo potrzebne dziś w Polsce jest dalsze rozprzestrzenianie się jego idei. Kolejna edycja książki Alwine de Vos to bardzo dobry przewodnik na tej drodze.

Prof. dr hab. Elżbieta Tarkowska  
Akademia Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej  
w Warszawie  
Warszawa, 31 grudnia 2012 r.





## Przedmowa

Kto potrafi opisać dzieje Polaków wypędzonych z Ojczyzny? Kto potrafi wymienić imiona i nazwiska banitów rozsianych na Wschodzie i Zachodzie? Nikt o nich nie pisał. Nikt nie zna ich życiorysów. Nikt nie wie, co przeszli i co przecierpieli – tylko sam Bóg. Stawiam te pytania i dokładam jeszcze jedno: co współczesnemu Polakowi – wykształconemu czy prostemu, duchownemu czy świeckiemu – mówi nazwisko Ksiądz Józef Wrzesiński? To syn banity Polaka inżyniera i Hiszpanki nauczycielki, urodzony w 1917 roku wśród nędzarzy w Angers. Dodam, że od 15 marca 1997 r. przed jego nazwiskiem widnieje chwalebny tytuł „Sługa Boży”

Źródłem wielkości Ojca Józefa jest skrajna nędza. W łonie nosiła go matka cierpiąca skrajną nędzę. Był niemowlęciem, chłopakiem nędzarzem, dorastającym dzieckiem nędzarzy, młodzieńcem nędzarzem. Ze świadomością przynależności do świata nędzarzy zasypiał i budził się rano. Jedni poddali się skrajnej nędzy i wyczekują na wybawicieli. Drugich nędza doprowadza na drogę przestępstwa, nałogów i zbrodni. Jeszcze inni stali się komunistami i rewolucjonistami, którzy przemocą, gwałtami, niesprawiedliwością oraz samosądami dokonywanymi na bogatych szukają wyjścia z nędzy. Niektórzy teologowie po spotkaniu ze światem nędzy zaproponowali teologię rewolucji, która usprawiedliwia gwałt i użycie broni jako lekarstwo na uleczenie nędzy. A co na to Józef, syn banity Władysława, który nie mogąc znieść stanu nędzarza, opuszcza matkę z dziećmi na zawsze?

Józefa powołał Jezus do kapłaństwa ze środowiska nędzarzy. Józef odpowiedział Jezusowi „tak”. Czego szukał syn francuskiej nędzy w kapłaństwie? Rekompensaty? Majątku? Zaszczytów? Nie zszedł na margines. Nie poddał się losowi. Nie stał się teologiem rewolucji. Czy wybrał spokojne miejsce wśród dostatku? Nie! Czy wzgardził środowiskiem nędzarzy? Nie! Ojciec Józef wszedł między

nich i przyniósł im Ewangelię. Nie chce ulżyć nędzy. To za mało. On walczy o zniesienie nędzy, bo los bliźniego zależy od drugiego człowieka. Ten ewangeliczny trud wypełni całe jego kapłańskie życie. Nie pójdzie do zakonu, by na znak protestu żyć w ubóstwie ślubowanym Mistrzowi. On wie na czym polega różnica pomiędzy ubóstwem a nędzą. Pisze: „Człowiek żyjący w nędzy jest w sytuacji nie do zniesienia, traktowany jest jako nic nie znaczący, czy jeszcze gorzej, jak istota szkodliwa, która nigdy nie powinna się narodzić (...). Pragnąć godności, marzyć, by być kimś, a być pogardzanym nawet przez niewiele bogatszych od siebie sąsiadów, przez sklepiarkarza, listonosza... to jest nędza. To stanowi różnicę między biedą a wykluczeniem”.

Ojciec Józef stanął ramię w ramię z nędzarcami, był ich bratem, ich nauczycielem, ich powiernikiem. Stał się ich głosem wobec wielkich tego świata, wobec parlamentów. Nędza czwartego świata otrzymała swojego kapłana, proroka, nauczyciela i pasterza, który przemówił do świata – także przez środki masowego przekazu.

Wyrażam radość, że dzięki tej publikacji postać Ojca Józefa zaistnieje w polskiej świadomości oraz uznanie osobom, które przyczyniły się do wydania książki o Polaku zrodzonym na banicji. Książka ukazująca postać Ojca Józefa stać się może przestrogą dla współczesnych Polaków, by odbudowując zniszczoną przez komunizm Ojczyznę nie stworzyli nowego świata nędzy. Ojciec Józef z tych kart przemawia i prosi o to rodaków swojego ojca.

Kazimierz Ryczan  
Biskup Kielecki

*Proces beatyfikacyjny ks. Józefa  
Wrześcińskiego został otwarty  
w Diecezji Soissons 19 III 1997 r. O ła-  
skach przypisywanych jego wstawiennic-  
twu prosimy zawiadamiać  
głównego postulatora O. Marka Leclerc SJ,  
Pontificia Universita Gregoriana,  
Piazza de la Pilotta 4  
I-00187 Roma  
(fax: 39-6-67 0153 57)*

## **Od tłumacza**

Ks. Józef Wrześciński jest w Polsce mało znany, a to właśnie historią Polski posłużyła się Opatrzność, by przygotować go do dzieła, które miało przemienić sposób patrzenia na ludzi ubogich. Ojca jego, inżyniera Władysława Wrześcińskiego, Polaka rodem z poznańskiego, wybuch I wojny światowej zastał we Francji. Dokumenty mówią, że –pochodząc z zaboru pruskiego – jest Niemcem, zostaje więc wraz z żoną Hiszpanką i dwójką maleńkich dzieci internowany. W trakcie internowania w mieście Angers, w lutym 1917 r. urodził się Józef.

Internowani żyją w skrajnej nędzy, a gdy skończy się wojna i zostaną wypuszczeni na wolność, nędza trwać będzie nadal. Bezrobocie ojca. Zbyt ciężka praca matki, niegdyś nauczycielki a teraz dochodzącej posługaczki. My dziś nie umiemy sobie wyobrazić, jak nędznie opłacane i jak źle traktowane były takie kobiety. Mieszkanie w opuszczonej kuźni, gdzie szpary w ścianach zatyka się papierem a pali węglem wygrzebywanym przez dzieci na wysypisku koło gazowni. Stałe poczucie zagrożenia cudzoziemców przezywanych „Kiki” z powodu nazwiska, którego spółgłosek Francuzi nie umieją wymówić. Często po prostu głód. Konieczność korzystania z jałmużny, a więc także znoszenia wścibstwa dam parafialnych.

Gdy Józef, już jako kapłan, zamieszka w obozie złożonym z 250 małych baraków czy raczej bud ustawionych na gołej ziemi, nie przyjdzie z innego świata, by w imię Chrystusa „pochylić się” nad

nędzą materialną i moralną. On wróci do swoich. „W tych kobietach zobaczyłem moją matkę”. Agresywni bezrobotni są jak jego ojciec. Dzieci to jego bracia i siostry. To on sam.

Z dna nędzy wychylił się na krótko, by do niej powrócić. Ale uzbrojony doświadczeniem zdobytym w Stowarzyszeniu Chrześcijańskiej Młodzieży Robotniczej, Seminarium i w pracy parafialnej zobaczy ją już inaczej. Odkryje, że ci mieszkańcy podparyskich slumsów to nie przypadkowy zbiór jednostek, którym się nie powiodło, życiowych nieudaczników. Odkryje, że stanowią oni lud. Lud powiązany siecią pokrewieństw i podobnych obyczajów, a zarazem lud wewnętrznie rozbity. Obecny w każdym społeczeństwie zarówno wśród ludów biednych, jak i – jeszcze widoczniejszy – wśród społeczeństw bogatych, gdzie „oczyszcza się” zeń ulice przed przyjazdem ważnych osobistości. Lud stale spychany na margines, a równocześnie przejawiający jakąś niezwykłą odporność, zdolność trwania. Lud złożony z rodzin. Nazwie go Czwartym Światem.

Z doświadczeń życia wśród rodzin obozu rodzi się w nim przekonanie, że nadszedł czas, by lud ten zaczął wreszcie korzystać ze wszystkich przynależnych człowiekowi praw, by został zaakceptowany właśnie jako lud. Dziś lud ten jest wszędzie „ubezwłasnowolniony” przez pomoc społeczną, która „wie lepiej” niż sami zainteresowani, czego im potrzeba. Przełom nastąpi, gdy przyjmie się ich jako równoprawnych partnerów zdolnych decydować o własnym losie.

„Nędza nie można ulżyć. Trzeba ją zlikwidować”.

Może to utopia, a może naprawdę świat dojrzał już do takich decyzji. Tak jeszcze niedawno niewolnictwo było rzeczą oczywistą, a dziś – mimo istniejących straszliwych nadużyć – nikt nie może oficjalnie powiedzieć: „jestem właścicielem tego pana”. Żaden sąd na świecie nie będzie rozpatrywał takich roszczeń. Żyją jednak jeszcze wśród nas ludzie, którym trudno zrozumieć, że na czele organizacji światowej może stać „człowiek czarny”.

„Nędza nie jest fatum ciężącym nad ludzkością. Nędzę stworzyli ludzie i ludzie mogą ją unicestwić” – twierdzi ks. Wrzesiński. Trzeba tylko zmobilizować tych ludzi. Autorka książki Alwine de Vos van Steenwijk towarzyszyła Ojcu Józefowi, jak zgodnie z francuskim obyczajem go nazywamy, w jego zmaganiach. W swojej książce opowiada o życiu wśród rodzin obozu, o tworzeniu organizacji Czwarty Świat, której władze początkowo nie chciały zarejestrować

ze względu na podejrzaną przeszłość członków założycieli, a która liczy dziś setki tysięcy członków i posiada status konsultacyjny przy ONZ i Radzie Europy, o tworzeniu „Bibliotek Ulicznych”, i „Uniwersytetów Powszechnych”, gdzie ludzie uczą się formułowania myśli i zabierania głosu, a przede wszystkim tego, że każdy jest kimś, kto ma coś do ofiarowania innym, o Wolontariacie – setkach osób zaangażowanych trwale w pracy nie „na rzecz”, a „wśród” najuboższych.

Do organizacji Czwarty Świat należą ludzie wszystkich wyznań, a także niewierzący, lecz ojciec Józef był księdzem katolickim i najgłębszym motywem jego działania była wierność Chrystusowi, który utożsamiał się właśnie z głodnym, nagim, odrzuconym. Czwarty Świat to najboleśniejsza, a więc najcenniejsza część ciała Mistycznego. Ojciec Józef wierzy, że w każdym człowieku działa Duch Święty. Każdy ma coś do dania całej ludzkości. Naszym obowiązkiem jest umożliwić mu to.

\* \* \*

Serdecznie dziękuję Ekipie Wolontariuszy ATD Czwarty Świat, pracującej w domu imienia Ks. Wrzesińskiego w Baillet en France, za cierpliwe wprowadzanie mnie w głębsze rozumienie tekstu książki, a specjalnie Charles'owi Sleeth za przygotowanie materiałów do przypisów, a ekipie domu Méry sur Oise za gościnę i opiekę. Książka ta nie mogłaby się ukazać bez pomocy Anny Śleżnik, dyrektora Wydziału Spraw Społecznych Świętokrzyskiego Urzędu Wojewódzkiego w Kielcach i Anny Lipińskiej-Baranowskiej mojej przyjaciółki z okresu wspólnego internowania w stanie wojennym.

Bóg zapłać.

*Kielce, w dniu Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny 1999.*

*„Ufać ich nadzieją  
kochać ich miłością  
modlić się ich modlitwą”*

Zacząć opowiadać o Ojcu Józefie, to przyrzec sobie, że nie wypuści się już pióra z ręki. W tej pierwszej książce będziemy rozmawiać wśród swoich: wśród rodzin Czwartego Świata, wolontariuszy, przyjaciół. To nie będzie jeszcze prawdziwa biografia i nie rozwiniemy wszystkich tematów. Po prostu będziemy we własnym gronie wspominać człowieka, którego kochamy i który zmienił nasze życie. Zaczynamy dopiero rozumieć wszystko, co otrzymaliśmy od niego, zaczynamy się uczyć, jak przekazywać to innym, uczyć się, co robić, by i inni go poznawali i kochali. By zrobić to dobrze, potrzeba jeszcze wielu piór, wiele książek, wiele lat. Bo „Ojciec Józef jest jak rozległy kraj, który zaledwie zaczęliśmy poznawać: tu jakaś góra, jakaś rzeka, jakaś równina”. Tak mówi Eugeniusz Notermans, wolontariusz, który towarzyszył Ojcu Józefowi przez 25 lat. „Nie wystarczy naszego życia, by poznać choć częściowo życie Ojca Józefa”.

Ojciec Józef to kraina do odkrycia, a przede wszystkim kraina, gdzie należałoby żyć, to człowiek, którego mamy wspólnie odkryć na nowo, przeżywając z nim dzień dzisiejszy i godziny jutra. Bo to on ośmielił się przygotowywać z nami taką przyszłość o jakiej ludzie marzą. Przeżywał miłość i nadzieję, wiarę w jutro, którą najbiedniejsi, bardziej niż ktokolwiek inny, muszą sobie umieć wyobrazić, ponieważ ich codzienne wysiłki, by kochać i ufać, stale zawodzą. A to, jak żył Ojciec Józef najbiedniejsi odczuwali od razu. Pomiędzy nimi a nim – byliśmy tego świadkami na całym świecie – porozumienie następowało natychmiast. W Amsterdamie i Manili, w Londynie i Port-au-Prince, w Marsylii i stolicy Gwatemalii czy Ouagadougou rozpoznawali go od pierwszego wejrzenia, wiedzieli od pierwszego spotkania, że jest z ich rodu i że jest razem z nimi; proponował im to czego w głębi serca pragnęli, nawet jeśli sami przed sobą nie ośmielali się do tego przyznać. Widzieliśmy najuboższych oczarowanych, ale

nigdy naprawdę zdziwionych tym, co mówił i robił. Po prostu wyrażał ich własne nadzieje. Wydawało się im to niepokojące, czasem ryzykowne, trudne do uchwycenia w całej głębi. Podnieść głowę, bronić słabszego od siebie, uwierzyć w siebie i w innych, gdzież to wszystko miało ich zaprowadzić?

Dla wolontariuszy i przyjaciół pytania, które stawiało życie tego człowieka przychodzącego z dna nędzy, były nie mniej liczne. Oni także, jak rodziny Czwartego Świata, szli za nim wiedzeni intuicją i zaufaniem, zanim wszystko zrozumieli. Dziś jednak, aby podążać za tym, czemu Ojciec Józef poświęcił swoje życie, trzeba naprawdę zrozumieć. W tym celu postaramy się nie tyle wspominać go, co iść z nim od nowa z piórem w rękę, aby razem zobaczyć jaśniej, gdzie nas prowadzi, niezależnie od tego, jakie są nasze przekonania i wierzenia. Jemu, urodzonemu w nędzy, otwarła się szansa, by z niej wyjść. Mógł wyjść sam. Wyrzekając się opuszczenia swoich, uczynił z najuboższych naprawdę swój lud. A wtedy wszyscy ludzie, bogaci i biedni, ludzie wszystkich wierzeń, byli dla niego jednakowo niezbędni. Ludzkość stawała się jego domem, polem jego życia i działania. Dewizę swego kapłaństwa: „Wyjdź na głębię i zarzuć sieci” wybrał w pełni świadomie. Odtąd żaden człowiek nie był mu już obojętny.

Karol Ehlinger, wydawca pierwszej książki Ojca Józefa, mówi o nim: „Ci, którzy go spotkali, choćby tylko jeden raz, wiedzą, że najistotniejszą rzeczą jest dla niego świadczenie o Kościele i o ubogich... Nie o Kościele z jednej strony a o ubogich z drugiej, ale o Kościele i o ubogich nierozłącznie w tym samym zdaniu”. To jest prawda, ale jest jeszcze coś więcej. Istotnym dla Ojca Józefa było zawsze dawanie świadectwa, że cała ludzkość nie może być oddzielona od swych członków najuboższych; że ubodzy są Kościołem, ponieważ są ludzkością.

„Żaden człowiek, w żadnej części świata nie może cieszyć się pełnią swego człowieczeństwa tak długo, jak długo nędza okalecza niektórych z jego braci” – pisał w 1964 r. „A każdy człowiek, niezależnie od tego w co wierzy, staje się w pełni człowiekiem dopiero wtedy, gdy uczyni najbiedniejszych pierwszymi ze swych braci. Każdy człowiek, w głębi serca, wie o tym. I powołaniem każdego człowieka jest starać się wykorzenić nędzę z oblicza świata”. Dla Ojca Józefa wszyscy ludzie mają to samo powołanie: stanąć do pracy tu i teraz, a co więcej był on pewien, że każdy istotnie zabierze się do dzieła, byle tylko spotkał innych ludzi chcących działać z nim razem.

Ojciec Józef wierzył we wszystkich ludzi. Ale wierzył przede wszystkim w najbiedniejszych.

„Zachować wobec wszystkiego i wbrew wszystkiemu podziw  
Ponieważ są ludźmi.

Wierzyć, że wreszcie wyciągną się z tego (...)

Być pewnym, że cud nastąpi,

że po dniach napięcia, złości i gwałtu

przyjdą coraz częstsze

dni zrozumienia, wymiany myśli i serdeczności.

Być pewnym tego, ponieważ są ludźmi

– to walczyć z nędzą.

Wierzyć, mimo wszystko i wbrew wszystkiemu,  
że to jest prawda

i że zrealizują oni swoje człowieczeństwo,

Wierzyć, że będą mogli uczestniczyć w miłości

własnym sercem, tylekroć zawiedzionym,

poniżonym, odrzuconym, upokorzonym, zdradzonym

A nawet, (a dlaczego by nie!)

być pewnym, że będą w stanie modlić się

– to walczyć z nędzą.

Być rozdartym, przez to, co ich rozdziera

zranionym przez to, co ich rani

umęczonym przez ich udręki (...)

ufając ich nadzieją

kochając ich miłością

modląc się ich modlitwą,

ażeby stanąć twarzą w twarz, razem z nimi, wobec nieszczęścia

po to, by je wygnać, unicestwić,

– to niszczyć nędzę.

Ponad ideami, życzeniami i pragnieniami

płacić cenę wolności i sprawiedliwości,

praw i władzy

– to wprowadzić w ludzkość

miłość do wszystkich ludzi”.



Są to wyjątki z medytacji Ojca Józefa z 1969 r. Tą pierwszą książką wyruszamy, by odkrywać człowieka, który w ten sposób dzielił się swym przekonaniem, że najbardziej sponiewierane rodziny podniosą się z upadku i staną na własnych nogach. Najważniejszą sprawą dla tych rodzin jest teraz, by poznawały go coraz lepiej. Są one pierwszymi spadkobierczyniami, pierwszymi wezwanymi, by kontynuować jego dzieło, pierwszymi odpowiedzialnymi za to, by go poznawano wokół nich. A to, co jest istotne dla rodzin, jest też istotne dla Wolontariatu i jego przyjaciół. Pewna matka z bardzo ubogiej rodziny w Holandii mówiła: „Jeśli teraz nie otoczmy go czułością, to Ojciec Józef umrze drugi raz. To byłoby nie do zniesienia”. „A co to znaczy otoczyć go czułością?” – pytaliśmy ją. „To zachować go w głowie, w sercu, w naszym życiu. Mówić o nim naszym dzieciom”.

## Rozdział pierwszy

# Ubogie dziecko nie ma dzieciństwa

### Rodzice pochłonięci upokarzającą walką

Józef Wrześniński, jak wiele dzieci narodzonych w wielkiej biedzie, nie dowiedział się nigdy, gdzie naprawdę przyszedł na świat 12 lutego 1917 r. Był to czas, kiedy wielka wojna, ta 1914-1918 roku, kończyła już wyczerpywać szczupłe zapasy posiadane przez ubogich we Francji. Rodzina Wrześnińskich, cudzoziemców, była w tragicznej sytuacji. Ojciec rodem z Poznania, regionu Polski okupowanego przez Niemcy, miał paszport niemiecki. To spowodowało po wybuchu wojny z Niemcami internowanie Wrześnińskich i ich pierwszego synka w forcie Saumur, a potem w opuszczonym seminarium w Angers. Mama, Hiszpanka, urodziła tam córeczkę, która z braku opieki lekarskiej zmarła na zapalenie płuc.

Czy to tam także urodził się Józef? Rodzice nigdy mu tego nie powiedzieli. Ale siostra Antonina ze zgromadzenia Dobrego Pasterza przypomina sobie później: „Józef urodził się w dawnym seminarium w Angers koło kościoła św. Sergiusza. To tam umieszczano uchodźców”. Jego akt urodzenia mówi o innych szczegółach. Napisano tam, że urodził się przy ulicy Boreau w Angers. Najprawdopodobniej więc urodził się na porodówce, goszczącej pod dachem dawnego seminarium, obok internowanych z powodów politycznych. Rodzice Józefa nie rozmawiali na ten temat, a sam Ojciec Józef powiedział nam kiedyś, że mężczyźni i kobiety żyjący w skrajnej nędzy, odczuwają często potrzebę zatarcia w pamięci wspomnień zbyt bolesnych i upokarzających. Wiemy, że fakt, iż zamknięto ich jako podejrzanych i że zostali pozbawieni niezbędnych warunków do godnego życia, stanowił dla rodziny Wrześnińskich właśnie takie wspomnienie.

W pamięci rodzinnej pozostało jednakże to, że nie było lekarza w czasie porodu, a matka była bez sił. Mąż nie oddalał się od jej łóżka

i dopiero po dwóch dniach narodziny zostały zgłoszone w merostwie. Akt urodzenia wymienia jako świadków dwóch ludzi mieszkających w przytułku, obaj bez zawodu i nie umiejący się podpisać.

Po skończonej wojnie Wrzesińscy przenieśli się do nieużywanej kuźni przy ul. Św. Jakuba, w dzielnicy stanowiącej schronienie wielu bardzo biednych rodzin. Kuźnia łącznie z przylegającym doń budynkiem została jako tako przerobiona na mieszkania. Rodzina zajmowała w niej część parteru. W jednym małym pokoiku od ulicy Władysław Wrzesiński urządził zakład zegarmistrzowski. Dyplom polski inżyniera mechanika nie zapewniał mu żadnej pracy we Francji. Był bez praw, bez żadnego oparcia. Trzeba było wymyślić jakiś sposób na życie, jeśli rodzina nie miała być skazana wyłącznie na pomoc społeczną. Zakład zegarmistrzowski niestety nie przetrwał dłużej. Wrzesiński musiał go zamknąć po tym, jak złodziej włamał się i ukradł mu złoty zegarek pozostawiony do naprawy. Jego poczucie honoru było wyostrzone przez lata poniżenia, a podejrzenie, że był po stronie nieprzyjaciela towarzyszyło mu w nowej dzielnicy. Zdecydował się sprzedać wszystko, co posiadał, łącznie z narzędziami zegarmistrzowskimi, aby zwrócić właścicielowi wartość zegarka. Ani on sam, ani rodzina przez długie lata nie zdołała się po tym podźwignąć.

Dla ojca pragnienie odzyskania pozycji mężczyzny i żywiciela rodziny stało się wręcz obsesją. Uczyniło go gwałtownym. W końcu poświęcił mu rodzinę. Chciał już tylko jednego: porzucić Angers i zacząć gdzie indziej życie od nowa. Wyjeżdżał szukać pracy do innych miast, coraz odleglejszych, bez większych sukcesów w pierwszych latach. Żona nie miała odwagi wyjeżdżać z nim razem, z obawy przed utratą dachu nad głową dla dzieci. Tak więc ojciec stał się w rodzinie gościem o wizytach nieprzewidywalnych i coraz rzadszych. Przyjeżdżał, gdy jakaś trochę lepsza praca pozwalała mu kupić rodzinie ubrania, jedzenie, zabawki – czasem piękny zbytkowny przedmiot – wazę... Potem znów wyjeżdżał. To jednemu z takich powrotów zawdzięczamy jedyne zdjęcie rodziny, wszyscy ubrani są w nowe ubrania na tę okazję.

Był to okres kryzysu: wyobrażamy sobie zaciekle upór tego upokorzonego człowieka, który nie porzucił swego marzenia, ale zrealizował je w końcu dopiero wyjeżdżając do Polski, aby nigdy z niej nie powrócić. Przesłał jeszcze żonie pieniądze, ale domagając się od niej rozwodu. Odmówiła, mimo że wiedziała, że wyrzekając się męża, który nie stanowił oparcia dla rodziny, może otrzymać jakąś pomoc.

Bo matka także broniła z furją swej koncepcji honoru rodziny. W Hiszpanii ok. 1910 r. była nauczycielką, we Francji, w tych trudnych czasach między dwiema wojnami, znajdowała tylko ciężkie prace dochodzącej pomocy domowej. Chodziła do nich pieszo, z trudem pokonując strome ulice, prowadzące ku wyższej części miasta, gdzie mieszkały rodziny zamożne. Nie zarobiła nigdy tyle, aby porzucić starą kuźnię przy ulicy Św. Jakuba, ani nawet, by zaspokoić elementarne potrzeby swoich dzieci, których w 1923 r. było czworo: Ludwik, Józef, Antonina i Marcin.

Pani Wrzesińska przeżywała nieobecność męża jako opuszczenie. Będąc cudzoziemką, nie pragnęła nigdy zakorzenić się w kraju, który potraktował ją jako wroga i pozwolił umrzeć jej dziecku w czasie internowania. A zarazem od czasu uwięzienia bała się nieustannie, że może być wydalona z Francji. Miała dobroczyńców, ale nie miała przyjaciół. Broniła się sama przed natręctwem dam z parafii, które w imię dobroczynności uważały, że ich obowiązkiem jest kierowanie jej życiem. „Proszę pani, pani syn będzie znacznie lepiej wychowany w zakładzie dla sierot w Auteuil”. Samotnie broniła syna przed radami dyrektora szkoły publicznej: „Proszę pani, wie pani dobrze, że pani dzieci nie radzą sobie z nauką. Nie ma sensu, żeby Józef przystępował do egzaminu kończącego szkołę powszechną (tzw. „certificat d'étude”<sup>1</sup>).

Mimo nacisków pani Wrzesińska odmawia oddania syna do zakładu: „Moje dzieci nie są sierotami!” Ojciec Józef opowiada nam później: „Jakiej energii i wręcz bohaterstwa potrzeba było mojej matce, aby tak bronić dzieci. Był to czas, gdy Ojciec Brottier<sup>2</sup> propagował gorąco ten zakład dla sierot w Auteuil, który św. Teresa od Dzieciątka Jezus zaszczyciła swoimi modlitwami. Gdy tak biedna matka nie zgadzała się na oddanie tam syna, mogło się to wydawać afrontem dla instytucji kościelnej”. Pani Wrzesińska nie ograniczyła się do tego. Pewnego dnia, mimo dezaprobowującego

---

<sup>1</sup> „certificat d'étude” – dyplom wydawany we Francji uczniom, którzy zdali egzamin po ukończeniu nauczania początkowego, upoważniający do podjęcia dalszej nauki, pójścia do terminu do rzemieślnika i dający lepsze szanse przy poszukiwaniu pracy. Egzamin obejmował język francuski (dyktando, wypracowanie, recytacja wierszy), matematykę, historię i geografii.

<sup>2</sup> Ojciec Brottier – długoletni misjonarz w Senegal, był po I wojnie światowej dyrektorem sierocińca i szkoły rzemieślniczej w Auteuil. Kandydat na ołtarze.

spojrzenia dyrektora szkoły, poszła zapisać syna na egzamin końcowy jako eksternistę. Zdał go i nigdy nie zapomni, że zawdzięcza to swej matce, tak poniżanej i nie mającej głowy do czułych słów, ale która dla swych dzieci gotowa jest na wszystko.

Dopiero później Józef zrozumie ojca i już nigdy nie przestanie bronić ludzi bez pracy: „Bezrobotny jest człowiekiem upokorzonym. Nie może żyć tak upokorzony nie reagując. A człowiek biedny, dziś jak wczoraj, reaguje tak samo – agresją”. Będąc dzieckiem, Józef boi się ojca. Do matki odnosi się z szacunkiem i miłością bez granic. Od niej nauczy się wszystkiego o nędzy, ale także o tym, jak matka może się jej przeciwstawiać. „Wystawiona nieustannie na podejrzania i sądy otoczenia musiała okazywać się doskonalsza, lepiej wychowana, bardziej wierząca, dzielniejsza od innych, aby znaleźć uznanie, współczucie i pomoc”.

## **Brak pieniędzy, wstyd i przemoc**

Życie jest zbyt ciężkie, aby matka mogła myśleć o rozpieszczaniu dzieci. Nędza uniemożliwia jej bycie tylko mamusią. Byt i jedność rodziny są tak zagrożone, że niezbędny jest współudział dzieci, by zaspokoić najkonieczniejsze potrzeby. Matka każe dzieciom pracować. Czteroletni Józef jest na ulicy już przed szóstą rano, tak zimą jak latem. Dostaje codziennie śniadanie, plus dwa franki na tydzień za służenie do drugiej mszy u Sióstr Dobrego Pasterza. „Mama musiała rzeczywiście nie mieć co dać jeść, by się zgodzić wyganiać mnie, małego chłopca, codziennie na ulicę. A ja musiałem być świadomy jej rozpacz, żeby zaakceptować tę służbę bez złości i nie przeklinać Boga. Czy wiał wiatr, czy lał deszcz, skulony, na wpół śpiący, ale czasem wrzeszcząc z wściekłości, pokonywałem długą ulicę Św. Jakuba, potem ul. Brault, pustą i wrogą, schodziłem ku łąkom i szedłem służyć do mszy u Sióstr, by te grosze były dane mojej matce...”

Później dojdą jeszcze inne zajęcia, które mogą wykonywać dzieci. Ojciec Józef wie dobrze o czym mówi, opowiadając w 1983 r.: „Dziś, jak i wczoraj dziecko ubogie nie ma dzieciństwa, obowiązki spadają nań, gdy tylko umie się utrzymać na nogach”. On sam załatwia sprawunki dla rzeźniczki, za co dostaje kawałek koniny dla matki, a potem w nieskończenie długie wieczory pakuje bibułkę na papierosy zig-zag. „To była praca chałupnicza. Co wieczór, także

w sobotę i niedzielę pakowaliśmy zeszytiki bibułki do papierosów zig-zag w kartonowe pudełka. W każdy czwartek odnosiliśmy nasze pudełka do fabryki przy ul. Monteskiusza, aby otrzymać parę groszy”. Trzeba było także iść co dzień do furty klasztoru, aby otrzymać porcję łupanego grochu lub soczewicy na rodzinny stół. Starszy brat ojca Józefa, Ludwik, także to pamięta. „To były dawne bańki na konfitury, pięciolitrowe. Otrzymywaliśmy porcje od Sióstr Magdalenek, pokutnic, które same żyły ubogo”. Dzieci chodziły też na wyspisko koło gazowni zbierać węgiel, aby było czym napalić pod dziurawą kuchnią, której szpary nauczyły się utykać gliną wykopywaną na sąsiedniej łące. „Drogi poniżenia (...) tak od małego dziecka łączy się brak pieniędzy, wstyd i przemoc”.

Bo Józef stał się bardzo wczesnie dzieckiem niesfornym, które „przemawia” pięściami. W mieszkaniu nie można dokazywać. Myśli więc tylko o tym, aby wyjść na dwór do kolegów, bawić się, biegać, by dogonić uciekające mu życie, mimo że wyśmiewają się z jego krzywych nóg, następstwa nieleczzonej krzywicy. Siostra Antonina ze zgromadzenia Dobrego Pasterza przypomina sobie, że chodził także do Patronatu<sup>3</sup>: „Ale musiał nie zagrazać tam miejsca, taki był niezdolny. Jak tylko przyszedł do kaplicy, to modlił się z rękami złożonymi pod brodą. Był bardzo pobożny. Tylko jeden ksiądz, Ojciec Coiscault, mówił, że coś jest w tym dziecku. Ale inni mieli wątpliwości. Był naprawdę niemożliwy”.

Ojciec Józef wyjaśniał nam sam znacznie później: „Agresja stała się dla mnie, jak dla mego ojca, sposobem oczyszczania się z niezliczonych upokorzeń, które musieliśmy znosić z racji naszej strasznej biedy”. Do końca życia będzie odczuwał jako własne cierpienia dzieci nędzy o cieknących nosach, zachrypniętym głosie, pokrzywionych ciałach, upokorzonych sercach i ruchach gwałtownych.

Będąc zmuszony dzielić zbyt wczesnie troski dorosłych, Józef rozwija w sobie niezwykłą wrażliwość na cierpienia matki. Widuje ją nocą siedzącą w zimnej kuchni i modlącą się: „Prawie zawsze było u nas zimno (...). Jedna z naszych ścian była zrobiona ze skrzynek pokrytych papierem pakowym. Gdy papier pękał, wiatr u nas

---

<sup>3</sup> Patronat – w czasie wolnym od zajęć szkolnych parafie francuskie organizowały dla dzieci i młodzieży zajęcia kulturalne i sportowe, obejmując tą opieką zwłaszcza dzieci z rodzin najuboższych.

hulał (...). Matka siedziała nieruchomo na krześle, prosząc Boga o rozwiązanie, które z pewnością musiały zakrawać na cud w biedzie, w której żyliśmy. Może także prosiła Go po prostu o umiejętność znoszenia problemów nie do rozwiązania, o to, by się do nich umiała przystosować, myśląc – jak mówiła swoim dzieciom – że są jeszcze biedniejsi od niej”.

Zrozumienie tego, jak cierpią i czego się spodziewają najbiedniejsze rodziny na całym świecie, nie pochodziło u Ojca Józefa tylko z intuicji. Przychodziło doń z codziennego doświadczenia jego własnego dzieciństwa. Przychodziło od tej matki goniącej ostatkiem sił, która w dzień umie mówić tylko o pieniądzach, a nocą mówi do Boga. Najbiedniejsi, których spotka we wszystkich krajach, nie pomylą się. Ojciec Józef nie dzieli ich cierpień tylko w imię wybranej solidarności. On zachował w sobie wrażliwość ludzi, którzy przeżywali nędzę od dziecka. „Człowiek zrodzony w nędzy, pozostanie zawsze biednym”. Mężczyźni, kobiety, dzieci wobec których zaangażuje się, zostawszy dorosłym i księdzem, znajdą w nim coś więcej niż serdeczność. Znajdą braterstwo, zrozumienie i utożsamienie się z nimi człowieka, który sam przez to wszystko przeszedł.

## Rozdział drugi

### Lata chłopięce

#### Józef terminator cukiernika

W 1930 r., po otrzymaniu przez Józefa świadectwa ukończenia szkoły, pani Wrzesińska dokonuje nie lada wyczynu. Mimo braku miejsc pracy dla młodych z biednych rodzin, zdobywa dla swego syna miejsce ucznia u cukiernika. On sam zobaczył ogłoszenie wywieszane w pobliskiej ciastkarni, ale to matce udało się wymóc na właścicielu obietnicę, że przyjmie jej syna, chociaż cała dzielnica zna go jako rozrabiakę.

I tak Józef w wieku 13 lat nie jest już na wyłącznym utrzymaniu matki. Jego starszy brat ma 17 lat i zaczyna zarabiać jako rzeźbiarz w drewnie. To wprawdzie nie wystarcza, by wyrwać z biedy matkę, która ma jeszcze dwoje dzieci w szkole, jednak życie jest łatwiejsze, niebo rozjaśnia się, można myśleć o przyszłości. Ale to właśnie lata nędzy pozostały przede wszystkim w pamięci braci Ojca Józefa, z którymi możemy jeszcze porozmawiać. Zdają się zajmować całe miejsce tak, jak w pamięci samego Ojca Józefa: „Z pewnością zdarzało mi się bawić i śmiać, jak dziś biednym dzieciom. Z pewnością tworzyłem sobie własne kącki, jakieś skrytki, tajemnicze przejścia w starej dzielnicy Angers, gdzie wraz z kolegami wyobrażaliśmy sobie labirynty. Ale była droga do klasztoru, którą trzeba było przejść co dzień, droga ponizienia mego dzieciństwa, która wymazała w mojej pamięci to, co mogło w niej być pocieszające”.

Ojciec Józef miał jednak i inne wspomnienia z tego okresu chłopięcego, gdy zaczynał odkrywać powoli to, co miało się stać przedmiotem walki całego jego życia. Stanie się człowiekiem, który mało mówi o sobie. Mówi o swoim dzieciństwie tylko po to, by opowiadać o nędzy tamtych czasów, o cierpieniach swojej matki i o tym, czego go one nauczyły. Poza tym będzie mówił o nędzy, o rodzinach Czwartego



Świata i Ruchu stworzonym razem z nimi, oczywiście o Kościele i Ewangelii. Prawie wcale nie będzie już mówił o sobie.

Karol Ehlinger notuje nie bez zdziwienia: „Czuje się, że Ojciec Józef nie znajduje żadnej przyjemności w mówieniu o sobie; nie opowiada o sobie. Tego rodzaju skromność jest rzeczą rzadką i zadziwiającą wtedy, gdy biografia, autobiografia zajmuje tak wiele miejsca”. Ci, którzy żyli u jego boku, wiedzą, że, własna osoba mało dla niego znaczyła. Był dyskretny, nieśmiały, nie tak jak ci, którzy boją się źle wypaść, ale jak ci, którzy nie przywiązują wagi do własnej osoby. Czy to dlatego przebaczał i tak szybko zapominał każdą zniewagę? Nieśmiałość zniknęła, kiedy trzeba było mówić o najbiedniejszych albo o Bogu. Pokora stanowiła część jego osobowości.

O latach terminowania w Angers, Saumur, potem w Nantes wiemy tylko, że ciężkie warunki ówczesnej pracy nie przerażały go. „Warunki zaczynają ciążyć, jeśli nie może się być dumnym ze swego zawodu” – zwykł był mówić. Czy myślał, że znalazł swoją drogę? Miał chłonny umysł i lubił się uczyć, a „(...) cukiernictwo jest, jakby nie było, sztuką. Przygotowywać ciasto i stawać się jego twórcą, zadbać o końcowe detale, które stanowią o doskonałości wykonania. To klasztor Dobrego Pasterza i mój zawód cukiernika nauczyły mnie architektury, wyczucia proporcji, uroku krzywizn... To dlatego nigdy nie przestałem budować”. Ale zdaniem jego starszego brata, który stał się prawdziwym rzemieślnikiem, nie uważał zawodu cukiernika za swoje powołanie życiowe. Lubiał odkrywać świat, miał inne zainteresowania. Obchodziło go życie dawnych kolegów, mniej uprzywilejowanych, którzy znajdowali zajęcie, w najlepszym razie, w fabrykach jako robotnicy niewykwalifikowani.

Józef wzrastał w dzielnicy robotniczej sąsiadującej z dzielnicą wielkiej nędzy. Mieszkał w starej kuźni, słabo przystosowanej do zamieszkania, która raziła na ul. Świętego Jakuba, a mniej dziwiłaby w sąsiedniej dzielnicy Świętego Mikołaja. Tam wiele mieszkań było w stanie opłakany. Gnieździły się w nich rodziny rozbite z powodu zbyt długiego ubóstwa. Józef wzrastał więc na granicy między skromnym środowiskiem ludowym a dzielnicą skrajnej nędzy. Żył w jednym, ale co rzadko się zdarza, miał kolegów w drugim. Z powodów, których nie wyjaśnia, pozostaje z nimi w kontakcie, mimo że droga jego życia zdaje się prowadzić go w inną stronę. Może wyjaśni nam to pewne wydarzenie z dzieciństwa.

„Pewnego dnia jeden z największych chłopców w naszej szkole wpadł w furję i rzucił się na malca słabszego od siebie. Wciągnął go w kątkoło ustępów, walił pięściami i kopał. Co się ze mną stało? Rzuciłem się z kolei na niego, kopiąc i bijąc pięściami. Drapałem mu twarz, aż nauczyciel oderwał mnie siłą od niego”.

„Dlaczego to zrobiłem? Tak naprawdę to ten smarkacz wcale mnie nie obchodził. Co mnie więc napadło, żeby go bronić? A to jednak on pozostał w mojej pamięci, a nie kara którą poniosłem. Byłem wydany ze szkoły. Ale wszystkiego tego, co nastąpiło potem, prawie nie pamiętam. To, co pozostało w mojej pamięci jako jakiś punkt zwrotny, to ten małe, który pozwala się bić komuś o tyle silniejszemu”.

„Dziś wydaje mi się, że to był początek walki, którą zapewne przegram, ale będę ją kontynuował uparcie przez całe życie”.

## **Pierwsze kroki w Związkach Zawodowych**

Wspomnienia z okresu młodości mówią o zapalczywości z jaką Józef broni innych młodych, z którymi pozornie nic go nie łączy. Nie stracił swojej agresywności. Dlaczego to robi? Dlaczego spotykamy tego przyszłego rzemieślnika dyskutującego wśród robotników fabryki Valentine? Dlaczego odwiedza, mając 16 lat, członków związku młodzieży komunistycznej? To naprawdę nie jego miejsce – myśli się w jego dawnej dzielnicy. On sam zachowa z tych spotkań z młodymi komunistami wiedzę i wdzięczność, których się nigdy nie zaprze. Uczy się przede wszystkim, że aby walczyć, trzeba się szkolić. Młodzież komunistyczna nie zatrzyma go na długo. Ale zachowa na zawsze głęboką przyjaźń dla tych działaczy niskiego szczebla, młodych i dorosłych, angażujących się, by zmienić los swoich towarzyszy, którzy wyniszczają się w działaniu w terenie i narzucają sobie pracę formacyjną, poświęcając jej cały czas wolny.

Pewnego wieczoru w Nantes kolega zaprasza go do udziału w zebraniu JOC<sup>4</sup>. Jest to rok 1934, Józef ma lat 17 i pamiętać to

---

<sup>4</sup> JOC – La Jeunesse Ouvrière Chrétienne, w dosłownym tłumaczeniu Młodzież Robotnicza Chrześcijańska, gałąź Akcji Katolickiej stworzona w 1925 r. w Belgii przez ks. Józefa Cardijn, wikarego jednej z parafii na przedmieściach Brukseli, a wprowadzona do Francji przez ks. Guerin. Wychowała ona całe pokolenia młodzieży francuskiej, ucząc wrażliwości społecznej i zaangażowania w sprawy publiczne. Sławne i wykorzystywane w pracy innych organizacji stało się wprowadzone przez JOC hasło: voir, juger, agir – widzieć, oceniać, działać.

będzie całe życie, ponieważ tego wieczoru jemu, zwykłemu zaproszonemu, nieznanemu, kapelan powierzy zrobienie sprawozdania z zebrania. Nigdy tego nie robił, a inni okazują mu zaufanie. Na łóżku szpitalnym, 45 lat później potwierdzi przekonanie, które się w nim wtedy zrodziło. Powie do wolontariusza ATD Czwarty Świat, który mówił mu o swoim lęku spowodowanym brakiem kompetencji: „Ale kto myślisz jest kompetentny? Nikt nigdy nie jest kompetentny w sprawach ubóstwa i sprawiedliwości. Stajemy się kompetentni, przyjmując zadania, które są nam powierzone. To w JOC mnie tego nauczyli, gdy miałem 17 lat”.

Józef zostaje w JOC do wyjazdu do Seminarium w 1936 r. Jako ksiądz popiera je później we wszystkich swoich parafiach. Na razie uczy się tam, tak jak to robił u młodzieży komunistycznej, dyscypliny, która będzie mu długo służyć. Bierze udział w ankietach, które przez swój wysoki poziom stanowią wielką siłę JOC. „Tam nauczyłem się nie tylko obserwować, ale notować, żeby lepiej rozumieć”. Powiedziało nam to znacznie później, gdy w obozie dla bezdomnych w Noisy-le-Grand dziwiliśmy się, widząc go zawsze z ołówkiem w ręku. Wieczorem pokrywał notatkami gruby, szary zeszyt rachunkowy. Opisywał wydarzenia z życia codziennego najbiedniejszych rodzin tych czasów. Wkrótce zaproponuje Wolontariatowi, rodzącemu się wokół niego, raport obserwacji codziennej<sup>5</sup>. Ten raport uczynił w końcu z Wolontariatu kronikarza ludzi najbiedniejszych. Wolontariat z Ojcem Józefem napisze 30 lat historii biednych całego świata, a także 30 lat wspomnień jakie mają z przeszłości, którą Ojciec Józef nauczy go badać. Ołówek, który był na początku tego dzieła, Wolontariat – poprzez Ojca Józefa – odziedziczył od JOC.

Okres JOC to także czas, gdy Józef, który wraca często na ulicę Świętego Jakuba, zaczyna się znów modlić i zachodzić do kościoła

---

<sup>5</sup> Raport obserwacji codziennej – zaproponowany przez Ojca Józefa i przyjęty jako ścisły obowiązek przez każdego wolontariusza – polega wg słów ojca Józefa na „spisaniu wieczorem tego, co rodziny powiedziały nam lub co sami odkryliśmy w ciągu dnia. Na przemyśleniu każdego gestu, każdego słowa lub wydarzenia tak, aby zaistniały w nas (...), na notowaniu wszelkich oznak przyjaźni, wszystkich przysług oddanych, wszystkich głębszych rozmów. „Raport nie jest ankietą, jest sprawą serca, a nie głowy (...) Raport jest czymś głęboko ludzkim, rezultatem osobistego kontaktu pełnego delikatności, wrażliwości, uwagi. Jego celem jest przyjęcie i zapisanie tego, co rodzina nam dała, by dar wrócił do niej w nowej formie”. W notatkach tych uwzględnia się także fakty dotyczące historii rodzin z obszarów nędzy.

parafialnego. Odwiedza też zakonnice od Dobrego Pasterza. To jedna z nich w 1921 r. zwróciła się do czteroletniego chłopczyka, którego widziała co dzień drepczącego obok kozy ulicą Brault (matka wysyłała go paść kozę na łące): „Co powiedziałbyś na propozycję, by przychodzić co dzień rano służyć do mszy? Dałabym za to co tydzień 2 franki twojej mamie”. „To te dwa franki zdecydowały” – powie Ojciec Józef. „W domu rodzice mówili tylko o pieniądzach”.

W 1936 r. inna zakonnica z tegoż klasztoru zwraca się do młodzieńca, który ma 19 lat: „Co powiedziałbyś, gdyby ci opłacić studia w seminarium?”. Tym razem także jest mowa o pieniądzach. Ale Józef patrzy już inaczej. Bezpieczeństwo przeżycia już nie wchodzi w grę. Jest czeladnikiem ciastkarzem; już przyjmował zastępstwa w sąsiednich miasteczkach. Może sobie poradzić, pomóc matce. Studia – usiąść znów w ławce szkolnej, by uczyć się łaciny, gdy ma się 19 lat, do czego to doprowadzi? Tym razem propozycja pieniędzy wydaje się być sprzeczna z zabezpieczeniem na przyszłość. Czy zresztą Józef nie nadaje się bardziej do walki w związkach zawodowych? Dlaczego więc wybierze seminarium? Pięćdziesiąt lat później tak odpowie:

„Poprzez walkę w JOC zacząłem już myśleć o uwolnieniu mych braci... A walczyć dla nich, walczyć, by nigdy już żadna rodzina nie była podobna do mojej, to było stać się kapłanem Jezusa Chrystusa, który umarł i zmartwychwstał. Nie możecie sobie wyobrazić, jak wspinały był ten czas. Wiedziałem już, że moje życie wpisuje się w przedwieczny plan, że biedni będą ewangelizowani i że wniosę swój wkład w przemianę ludzkich serc. Bo dla mnie wszystko było połączone. Odnaleźć wiarę, to nie znaczyło tylko znaleźć sens walki – to miałem – ale było to oddanie swojego życia Jezusowi Chrystusowi”.

## Rozdział trzeci

# „Wybór, którego nikt nie mógł przewidzieć”

### Droga ku powołaniu

Powołanie Ojca Józefa pozostanie tajemnicą między nim a Bogiem. Zdumiewa, zwłaszcza wobec tego, co on sam nauczył nas na temat nędzy niszczącej wszelkie wysiłki kochania. Jak Ojciec Józef pokochał Boga, wzrastając przy rodzicach, którzy wyrażali swe nieszczęście przez nieustanne kłótnie? Jakie sposoby miała pani Wrześcińska, aby kształtować serca swoich dzieci?

„Nędza tłumi miłość. Mąż i żona, rodzice i dzieci nie mają możliwości robienia rzeczy, które mówiłyby drugiemu: Kocham cię. Miłość więdnie, gdy nic nie można zrobić, by ją wyrazić”. Ojciec Józef mówi z doświadczenia. Rodzinom, z którymi dzieli życie w obozie dla bezdomnych, ukazuje bez ustanku gesty, nawet najmniejsze, które każdy z nich robi, by swoich bliskich uczynić mniej nieszczęśliwymi. „Z Krzysztofem na pewno wszystko będzie dobrze, skoro pani tak się męczy, żeby go posyłać do szkoły”. „Pana żona ma szczęście, mając takiego męża. Pan tak świetnie zatyka te szpary, że dzieciątku będzie naprawdę ciepło”. „Twój ojciec jest bardzo dzielny, że idzie zbierać złom przy takiej pogodzie”. Mówi też często, jak ważną rzeczą dla Kościoła jest odkrywać każdy gest ubogich, który mówi o Bogu. „Musimy wciąż podkreślać pomoc, serdeczność, którą okazują jedni drugim, mimo nędzy w której żyją. Musimy wciąż odkrywać drobne gesty rodzące łaskę”.

Przygotowując program telewizyjny w 1981, powiedział nam: „Trzeba wiedzieć, co chcemy, by zrozumiano”. I dał taki przykład: „Przypominam sobie, jak przyszli do nas wydrzeć mojej matce pianino, które odziedziczyła po jakiejś ciotce. Przysłano je z Hiszpanii i mama bardzo chciała je zachować. Może któreś z jej dzieci

pokochałoby muzykę i to pianino pomogłoby mu wybrać tę drogę? Tak więc stało u nas, a jego nogi zagłębiały się pomału w podłogę przeżartą przez robaki. A potem przyszedł czas, gdy zaczęto mówić wokół nas: „Skoro ci ludzie mają pianino, to widocznie mają pieniądze i nie warto im udzielać pomocy”. I dlatego moja matka zmuszona była je sprzedać za jakąś śmieszłą sumę. W zamian za pomoc, sprzedała nadzieję. Z tym pianinem pieściła nadzieję na lepszą przyszłość mojej małej siostrzyczki. To był jej sposób kochania dzieci i wyrażania im swej miłości. Wydarto go jej, w imię pomocy dla ubogich. Jeżeli uda się nam przekazać takie fakty w telewizji, umożliwimy ludziom zrozumienie tego, co to znaczy być biednym”.

„Nędza oddziela ludzi od przedmiotów, które im są niezbędne, ponieważ to one dają określone przyzwyczajenia ich rękom, oczom, ustom, sercu; przyzwyczajenia, które umożliwiają dostęp do kultury manualnej, uczuciowej, intelektualnej i pozwalają nawiązać relacje z innymi ludźmi. Taki brak, trwałe, głębokie i dotyczące wielu dziedzin, sprawia w końcu, że ludzie ci myślą inaczej niż inni. Nawet ich życie duchowe na tym cierpi”.

Czy nie odnosiło się to do pani Wrześnińskiej, kobiety wierzącej i kulturalnej, która obciążona zbyt długo brakiem pieniędzy, nie mówiła już o niczym innym do swoich dzieci? A przecież zachowała postawę miłosierdzia. Zapraszała do stołu syna sąsiadki, która piła i nie przygotowywała już posiłków. Dawała chleb innym, nawet wtedy, gdy jej samej brakowało. Ale, jak wyjaśniał Ojciec Józef: „Nędza zatruwa nawet takie gesty. Ludzie w końcu zawsze się pokłócą i będą mówić: „I po tym wszystkim co ja dla nich zrobiłam”. Zresztą ci, co rozdzielają pomoc, zawsze precyzują: „Daję to dla pani dzieci”. „Proszę, daję ci cukierki, zachowaj je dla siebie”. Ci, którzy dają coś biednym, z trudem pozbywają się swej własności. Nadzorują ją, kontrolują obdarowanego: czy robi z niej dobry użytek, czy nie pójdzie sprzedać, czy nie zniszczy? Czy moja matka włoży mi na nogi buty, które dla mnie dostała, a które tak naprawdę wcale nie były moich rozmiarów? No i moja biedna mama musiała kłamać: „Oczywiście, proszę pani, mój syn jest bardzo zadowolony ze swoich botków, a chleb, och jakże dzieci go zjadały”. W ten sposób robi się z biednych jakieś istoty wyobcowane, oddzielone, osamotnione, odcięte od tych, którzy im udzielają pomocy, ale także skłócone między sobą, nieprzyzwyczajone do otwartego dzielenia

się, dające ukradkiem, by pożałować tego za chwilę. Sąsiad staje się człowiekiem, którego należy unikać, bo jego nieszczęście zbyt rzuca się w oczy, udzielenie mu pomocy spowodowałoby kłopoty z asystentką społeczną. To prowokuje głuchą nienawiść tam, gdzie powinny panować solidarność i pokój”.

Nie wiemy, jak serce młodego Józefa stało się sercem kapłana Jezusa Chrystusa, pomimo życia, w którym wszystko sprzysięgało się, by zrobić zeń człowieka zamkniętego, zgorzkniałego, szukającego wyjścia z trudnej sytuacji tylko dla siebie samego. Jak agresja stanęła w służbie miłości? „Gdy miałem 12 czy 13 lat, podobnie jak inne biedne dzieci zacząłem wszystko rozdawać. Nie przez dobroć, ale jako rodzaj reakcji przeciw konieczności stałego przyjmowania. Oddawałem wszystko. Mój najstarszy brat robił podobnie. Nie umieliśmy dłużej znosić tego, że nie mamy prawa dawać. To trwało aż do czasu, gdy miałem 18 czy 19 lat”. A tak naprawdę trwało to całe życie. Nie można było Ojcu Józefowi zrobić prezentu, który nie powędrowałby do innych. Nigdy nic nie zachował dla siebie. Tylko to robiły jego ręce: podać, przekazać, podzielić się, dać... Może nie robił tego z tych samych powodów co w młodości? Więc co się stało? Jak stał się takim, jakim nie mogła go ukształtować nędza?

To, co Ojciec Józef mówi o sobie, nie daje nam klucza do tej tajemnicy. Mówi wiele o swojej matce, która go kochała i rozumiała. „Ona wiedziała, że nie byłem głupi, że byłem obciążony nadmierną odpowiedzialnością, miałem także zbyt dużo cierpień i zbyt głęboko odczuwałem niesprawiedliwość. Dla nas, którzy otrzymywaliśmy miłosierdzie, ale nigdy nie to, co się należy, niesprawiedliwość była chlebem codziennym. Matka nie chciała dodać mi więcej. To ona zapisała mnie na ten egzamin ukończenia szkoły, dający oficjalne prawo do podjęcia pracy lub nauki zawodu”.

Wiele lat później ojciec Józef mówi także o tych, od których doświadczył miłości. „W dzieciństwie znałem jednego człowieka, który považał moją matkę. To był proboszcz. Przychodził do nas po podatek parafialny. Odbierał z godnością 50 centymów, które przygotowała moja matka. Siadał przy stole, przy którym dzieci pakowały bibułki do papierosów zig-zag. Ofiarowywaliśmy mu paczuszkę, oszukując na innych paczkach, dziękował nam z powagą. Moją matkę prosił o jakąś przysługę, o zrobienie czegoś dla naszych niewierzących sąsiadów mieszkających nad nami. Szanował



ją i przeżywał z nami zaszczyt dzielenia się, możliwość wzajemnego świadczenia usług”.

Ale czy to, że znał takiego proboszcza i kilka osób podobnych do niego, mogło wystarczyć, by otworzyć serce dziecka żyjącego na co dzień w nędzy i poniżeniu? Jak – pogrążony w upokarzającym świecie – potrafił rozpoznać i zaufać nielicznym osobom, które szanowały jego rodziców? Jak nauczył się wierzyć w dobroć człowieka i miłosierdzie Boga? Tylko inne dzieci, inni ludzie sami żyjący w nędzy mogą wyobrazić sobie odpowiedź. My możemy pochylić się tylko z szacunkiem przed miłością i wiarą, które wzrastały w nim wbrew wszystkiemu. Miłość do Kościoła, który jest kruchy i pokorny – może tu właśnie kryje się zagadka, właśnie w tej kruchości i pokorze?

„Z Kościoła świat będzie się zawsze wyśmiewać. Nie będzie go chciał. Odkryłem go wychowywany przez matkę, kobietę najbiedniejszą w całej dzielnicy Świętego Jakuba w Angers. Nauczyłem się kochać Kościół, ponieważ moja matka była kobietą modlitwy. Każdego ranka wysyłała mnie do Dobrego Pasterza, byłem tam ministrantem od czasu, gdy miałem cztery i pół roku. Lubiłem piękno kościoła i pogodę zakonnic. Pomimo tego, nawet jako dziecko odczuwałem kruchość tej wspólnoty, jej oddzielenie od dzielnicy. Mówiłem sobie: już je kiedyś wygnano, to może je jeszcze raz spotkać. Przypomnijmy sobie, że w tym okresie wielu ludzi nie ukrywało swej wrogości do Kościoła. Tak więc widziałem zawsze te same osoby na Mszy, niewielką ilość mężczyzn, wiedziałem też, że dyrektor szkoły, która nazywała się świecka, uczęszcza na Mszę w innej parafii, by nie podpaść... to mi dawało do myślenia. Wszędzie na ulicach afisze ośmieszały zakonników i zakonnice. Czasem w sklepach wyśmiewano się z „czarnych”. Istniał wielki przedział między mieszkańcami mojej dzielnicy a kościołem, który wznosił się pośrodku. Oczywiście kłaniano się proboszczowi na ulicy, ale czułem, że nie było to bynajmniej szczere. Mówiłem sobie: „(...) dla wszystkich tych ludzi Kościół nic nie znaczy”.

„Z czasem, w miarę jak roستم, ta słabość Kościoła była dla mnie coraz bardziej oczywista: był tak krytykowany i oczerniany. Widywałem księży i zakonnice wyśmiewanych, a czasem nawet znieważanych na ulicy. W okresie Soboru Watykańskiego II, gdy znów zarzucano Kościołowi zarozumiałość, posiadanie pieniędzy i władzy, wiedziałem, że nie była to prawda. Zniosłem sam zbyt



wiele zniewag i obelg z powodu mojej sutanny, by się ludzić, co do potęgi Kościoła. Gdyby chrześcijanie mieli trochę lepszą pamięć, wiedzieliby, że Kościół, jak Jezus i ubodzy, jest wciąż zagrożony przez potęgę finansowe, polityczne i ideologiczne, które chcą zapanować nad nimi”.

### **Miłość Jezusa najbiedniejszego z biednych**

„Kościół, jak Jezus i ubodzy...” Tak Bóg, Jezus i Kościół przedstawiają się młodemu człowiekowi pod upokarzaną postacią ubogich, którzy sami siebie nie umieją szanować, podobnie jak nie szanują ich bogaci. Ukochał Boga bezbronnego, wydanego ludziom, Boga, o którym powie później, że jest pierwszym, którego prawa są wyszydzone. I ukochał Jezusa, który w godzinie kuszenia na pustyni posłuszny takiemu właśnie Bogu, wybrał drogę poniżenia i ubóstwa.

„Godzina kuszenia była nie tylko wyborem określonej drogi życia w świecie, była też wolnym wyborem doli ludzi, którzy ją muszą znosić. W tłumie ubogich, wybranymi Jezusa będą ci, których nikt inny nigdy by nie wybrał: kulawi, trędowaci, przestępcy, prostytutki, paralitycy, słowem ci, których sami biedni wolą nie zauważać, a którzy właśnie dlatego są najniezwyklejsi, najstabsi (...)”.

„Jak wznieść oczy ku Chrystusowi, który dokonuje w sposób wolny takiego wyboru, nie doznając zawrotu głowy? Ubodzy sami nigdy nie byliby zdolni tak wybrać. Jeśli chodzi o mnie, to tym, co żywiło moją wiarę w bóstwo Jezusa, były nie tyle cuda czy Jego nauka, lecz to, że ośmielił się uczynić rzecz, której żaden człowiek przed Nim nie zrobił i nikt nie zrobi po Nim. To, że poszedł dalej niż ubóstwo wybrane, które staje się przywilejem. On utożsamiał się z tymi, którzy byli i zawsze będą na samym dole drabiny społecznej: trędowatymi wyrzuconymi z miasta, chorymi bez pomocy, bezradnymi paralitykami, ludźmi opętanymi przez złego ducha lub których uważano za takich, ze zhańbionymi prostytutkami, jednym słowem ze wszystkimi, którzy dziś, jak i wczoraj traktowani są jako margines”.

Tymi z marginesu byli: sąsiadka pijaczka, dzieciak, który pozwalał się bić drugiemu „o tyle mocniejszemu”, a także koledzy z dzielnicy Świętego Mikołaja, którzy nie znajdują pracy. Za obronę cherlawego chłopca, który był „niczym” dla niego, Józef został wydalony ze szko-

ły. Dla obrony Jezusa pokrzywdzonego wybiera drogę kapłaństwa. Chce nie tylko służyć Jezusowi Chrystusowi, Bogu i Kościołowi, ale zrobi więcej, poświęci cały zapal, aby ich bronić. Kościół nie będzie dla niego pretekstem, by służyć najbiedniejszym. „Najbiedniejsi są Kościołem”, prawa Boga i prawa człowieka to jedno.

Pewnego dnia w 1986 r., modląc się z rodzinami Czwartego Świata, Ojciec Józef tak skończy Ojciec nasz:

„Amen, Panie, wysłuchaj mnie,  
niech moja modlitwa zrealizuje się w moim życiu,  
ponieważ byłeś obecny we mnie i trochę mnie przymusiłeś.  
Byłeś tak bardzo obecny we mnie,  
że nie mogłem już widzieć nic innego  
jak tylko Ciebie”.

Czy nie było to echo tych odległych lat młodości, o których powie pewnego dnia: „To walcząc pomiędzy najbiedniejszymi i dając im we wszystkim pierwszeństwo, obudziłem się pewnego dnia w Kościele, tak dalece w Kościele, że pomyślałem, że trzeba, żebym został księdzem”.

Czy matka, która tak dobrze rozumiała go, gdy był dzieckiem, przeczuwała jego powołanie? Wydaje się, że pomysł siostry Leroux, by jej rodzice opłacili studia Józefa, pochodził właśnie od matki. Te dwie kobiety znały się i z biegiem czasu pani Wrzesińska zdobyła szacunek zakonnic. Rodzice Leroux, rolnicy z Tardenois, żalowali, że nie mają syna księdza. Byli gotowi umożliwić studia innemu młodzieńcowi. Ale kto pomyślał, by zaproponować tego rozrabiakę, jeśli nie jego własna matka? Sama nie powiedziała ani słowa, ani ks. Douillard, proboszcz parafii, który musiał być w zмовie. Gdy Józef oznajmił matce, że chce iść do seminarium, ograniczyła się do westchnienia: „Teraz przynajmniej będę wiedziała, że codziennie zjesz do syta”. Ale jeśli o to chodzi, to ten jeden raz mama się pomyliła.

## Rozdział czwarty

# Żołnierz, kleryk i „brat”

### Służba wojskowa

W 1936 r. decyzja jest więc podjęta. Za radą ks. Douillard, który zostanie później jego biskupem, Józef zapisał się do seminarium w Soissons. Trzeba jednak uzupełnić wiedzę i odnajdujemy dwiętnastoletniego członka JOC z innymi młodymi o spóźnionych powołaniach obok dwunastoletnich dzieci na ławkach małego seminarium w Beaupréau. Potem będzie krótki pobyt w szkole łaciny prowadzonej przez starego proboszcza w St-Jean d'Angély. „Zdaje mi się, że przede wszystkim opiekowałem się moimi szkolnymi kolegami, byli o tyle młodszy ode mnie”. Ile pokory, ile siły woli potrzeba było Józefowi, by wreszcie znaleźć się w seminarium. I ile wytrwałości, by stawić czoła następnym latom! Nie miną one spokojnie, bez przeszkód.

15 października 1937 kleryk Józef Wrzesiński zostaje powołany do wojska i 20 przyjeżdża do koszar. Gubimy wtedy jego ślad, by go odnaleźć 1 października 1938 r. kapralem 94 pułku piechoty. Tego dnia, jako szef kwatery, przyjmuje kleryka Leona Bach, także kaprała. Jest to początek przyjaźni, która trwać będzie całe życie. To od niego dowiadujemy się, jak poważnie Józef traktował swe obowiązki kleryka i żołnierza.

„To było w Bar-le-Duc, był zadowolony, że nie jest jedynym klerykiem w koszarach. Zajmował się już w tym czasie sprawami wielu i był znany w mieście. To on kierował „Ogniskiem Żołnierza Katolickiego”, organizował zebrania Akcji Katolickiej, prowadził żołnierzy do kościoła, wskazywał im w mieście „miejsca, których lepiej unikać” i organizował wycieczki, żeby ich naprawdę unikali (...). Było nas dwóch kleryków i środowisko było nam nieprzychylnie. Ale nikt nie śmiał nas zbyt atakować, bo trzymaliśmy się razem. Raz

dostał osiem dni paki za zatarg z porucznikiem, który chciał zastąpić mszę niedzielną jakimiś ćwiczeniami. Józef powiedział „nie” i dostał osiem dni. Miałem wtedy służbę, byłem sierżantem. Józef zjawił się ze swoim kocem, klnąc na tych „tumanów”. Wysłałem go co wieczór do jego kwatery. Sprzymierzylśmy się na długo. Nigdy nie było między nami nieporozumień”.

Na froncie 1939 r. Józef żył w okopach. Dowodził patrolami, cierpiąc z zimna tej zimy wyjątkowo mroźnej. Został zamianowany starszym kapralem. Ksiądz Bach opowiada: „Józef był na pierwszej linii od pierwszego do ostatniego dnia. Na Boże Narodzenie 1939 r. byliśmy na froncie trzech granic: Niemcy, Francja, Luksemburg, koło miasteczka Sieck, w wiosce Remelig. Przez trzy tygodnie było poniżej 27<sup>o</sup> mrozu. Staliśmy w lesie naprzeciw Niemców. Chleb zamarzał. Kopaliśmy doły, by się chronić od wiatru północno – zachodniego. Józef źle znosił klimat. To może wyjaśniać jego późniejsze kłopoty ze zdrowiem. (...) W maju 1940 r. cały 94 Pułk Piechoty przeniesiony został do departamentu Aisne. To tam, koło Berry-au-Bac Józef stał się sławny...”.

W istocie starszy kapral Wrzesiński wypatrzył żołnierzy francuskich otoczonych przez natarcie niemieckie po drugiej stronie rzeki Aisne. Chce iść po nich, sprzecza się ze swoim porucznikiem i wreszcie decyduje się pójść na własną odpowiedzialność. Wieczorem z żołnierzami buduje prymitywną tratwę i przeprowadza się przez rzekę. Na drugim brzegu źle przymocowuje tratwę i prąd ją porywa. Wtedy okazuje się, że kapral Wrzesiński nie umie pływać. Żołnierze zawiadamiają Korpus Ochotniczy: kleryk Bach, który do niego należy, rzuca się do wody, by wyłowić przyjaciela przy pomocy sznura.

„Józef się nie bał” – mówi Leon Bach, który wydaje się także nie być tchórzem. „Wszystko skończyło się w Verberie nad Oise. Był jeszcze w pierwszej linii, podczas gdy ja broniłem... Punktu Dowodzenia Sztabu. Wszystko trwało półtora dnia. Rano pierwszego dnia Niemcy zaatakowali. Ale ochotnik poszedł wysadzić most. To był Józef. Nazajutrz słyszałem go z drugiej strony wsi, jak wystrzeliwał ostatnie naboje, by chronić uchodźców pośród ogólnego bezładu. Podoficerowie pouciekali. „Mieliliśmy tylko jednego kleryka, który nas bronił” – powiedzą żołnierze. To wtedy dostał się do niewoli. Wystrzelał wszystkie naboje. Nie miał już nic. Ale żył i to było najważniejsze. Niemcy dołączyli go do kolumny jeńców prowadzonej na

północ. Ale Józef zrezygnował z ich towarzystwa. To było do przewiedzenia. Trudno sobie wyobrazić takiego typu w obozie jenieckim!”

Książeczka wojskowa Józefa Wrzesińskiego mówi, że został wzięty do niewoli 11 czerwca 1940 r. w Verberie. Jest internowany w Frontstalag 101 w Valenciennes do 11 lipca. Książeczka nie mówi o tym, co przypomina sobie inny jeńiec, a mianowicie: „jeśli jadaliśmy, to dzięki niemu. Zmuszał Niemców, żeby pozwalali nam iść po żywność. To zresztą on chodził”. W każdym razie 25 lipca starszy kapral Wrzesiński ucieka. Kłeryk wraca pieszo do swego seminarium.

## Poszukiwanie ubogich

Ten, którego będzie nazywał przez całe życie „mój kumpel Bach”, zobaczy go w 1942. Józef odwiedza go wtedy w Seminarium Misji Zagranicznych<sup>6</sup>. „Był pełen entuzjazmu. Marzył o wielkich rzeczach”. Tak naprawdę to Józef nie tylko marzył, ale i działał. W Soissons spędza cały czas wolny w dzielnicach zamieszkiwanych przez najuboższe rodziny (osiedla St Crepin, St Medard); organizuje także kolonie letnie. Potem, gdy seminarium przeniosło się do opactwa Entrammes w Mayennes, będzie spędzał wakacje w swych rodzinnych stronach.

Ks. Pardon zwraca się do niego w gazecie parafialnej nazajutrz po jego odejściu do Boga: „Józefie (...), nigdy nie mówiłem do ciebie inaczej, od czasu gdy mieszkaliśmy naprzeciw siebie w opactwie Entrammes. Nazywano cię jeszcze prościej „Brat”, bo miałaś ciągle to słowo na ustach. Odwiedzałaś moźnych i książeća, ale sam skrupulatnie pozostałaś człowiekiem z marginesu, ubogim, biedakiem. Przypominam sobie czas twoich seminaryjnych wakacji, które spędzałaś w fabryce farb Valentine jako robotnik niewykwalifikowany. Widzę cię, jak po powrocie z wyczerpujących dniówek drzemiesz w czasie wykładów z dogmatyki czy Pisma Świętego, by nadrobić brak snu”.

Spotykamy go jeszcze, jego, którego współkłerycy nazywają „Brat”, w kopalni w Sesseval, koło Douai, znów w okresie wakacji. Przyjechał do swego przyjaciela, przyszłego księdza Franciszka Sans

---

<sup>6</sup> Seminarium Misji Zagranicznych w Paryżu od 1663 r. przygotowywało misjonarzy do pracy na Dalekim Wschodzie.

prosić go, by mu zorganizował zjazd do kopalni. „Chciał poznać ich życie i przeszło miesiąc pracował na dole. To szyb bardzo głęboki. Z kilofem i motyką w ręku poznaje pracę na dole, bardzo ciężką, szczególnie dla kogoś, kto nie jest do takiej pracy przyzwyczajony. Zwłaszcza, że nie zadowala się tylko tym. Po wyjeździe na powierzchnię odwiedza rodziny górników, z którymi pracuje. Chciał naprawdę dzielić ich życie. Nie miał własnego pokoju. Mieszkał w pokoju dzieci, których było troje lub czworo”. To opowiada siostra księdza Sans i dodaje: „Mój brat mówił mu: „Zabijesz się”. I rzeczywiście nabawił się straszliwej dezynтерии. Chciał „być razem”, a nie tylko „widzieć”. Mógł być roztropniejszy. Po ośmiu godzinach na dnie szybu, jechał na rowerze odwiedzać rodziny, bawił się z dziećmi, interesował się życiem żon górników... Chciał wszystko wiedzieć. Przypominam sobie, jakby to było wczoraj. Wcale nie sypiał”.

Nie spać w czasie wakacji, drzemać podczas wykładów z Pisma Świętego, czy był to dobry sposób odbywania studiów? Stary Testament, jego pasja, na tym nie ucierpiał. Będąc proboszczem w Dhuzel zadziwiał konfratrów z diecezji: „Józef należy do tych, którzy zabierają się do katechizowania. Dominikanie, którzy przyjeżdżają co miesiąc do Braine, zwłaszcza O. Feret, odświeżają naszą znajomość Starego Testamentu. Wielkie zdumienie wywołuje kultura biblijna Józefa. Nie waha się cytować takich proroków jak Amos czy Ezechiel. Nie tylko cytuje z pamięci całe ustępy, ale też z pamięci podaje referencje”.

Prawdą jest, że wedle kleryków z Entrammes „uczy się z pasją”. Uważają zresztą, że z równą pasją odszukuje ubogich (przejdzie jeszcze do Mission de France<sup>7</sup>). Ale pozostanie w ich pamięci przede wszystkim jako „Brat”, chociaż jakby trochę inny niż oni. Tym bardziej, że po każdym powrocie z wakacji pisze całymi godzinami, także w nocy, w swoim pokoju. Nie zdają sobie sprawy, że to dawny członek JOC notuje swoje obserwacje na temat fabryki, kopalni, mężczyzn, którzy oddychają ciężko, bo przez cały dzień mieszają proszek w kadzi, w źle przewietrzanych suterenach fabryki farb... Notuje wszystko, „żeby nie zaginęło nic z życia ubogich” – jak sam to nam powie dwadzieścia lat później.

---

<sup>7</sup> Misja Francuska – stworzona przez kard. Suhard – to akcja międzydiecezjalna, grupująca od 1941 r. w służbie episkopatu Francji księża diecezjalnych oddanych ewangelizacji środowisk najbardziej zdechrystianizowanych, zwłaszcza robotniczych.

Ks. Babilotte z opactwa w Solignac przypomina sobie tego kleryka nie całkiem takiego jak inni. „On był w klasie teologii, a ja na kursie przygotowawczym spóźnionych powołań. Miałem z nim mało kontaktu. Jednak widziałem w nim kogoś, kto wyróżniał się uporem, by robić rzeczy niecodzienne... To był naprawdę człowiek silnej woli, odważny, dynamiczny, pełen zapału, człowiek Ewangelii, pragnący nieść Dobrą Nowinę ubogim, najbiedniejszym z biednych. Gdy mówił o swym przyszłym apostołstwie, chciał zawsze iść do nich”.

Seminarzyści przypominają sobie jeszcze Józefa, jak w tych latach okupacji i niedostatku wyrusza na zdobywanie żywności. Ma w tych sprawach najwięcej doświadczenia i przełożeni dają mu wolną rękę „tak długo, jak to się nie rzuca w oczy”. „Najbiedniejszy spośród nas, czuwał, żebyśmy nie byli głodni”.

A jakie są wspomnienia samego Ojca Józefa? Jak już zaznaczyliśmy mówi mało o sobie, ale zwierzył się nam kiedyś, jak bardzo jest wdzięczny przez całe swoje życie kapłańskie, że miał Jezuitów za profesorów i że tak bardzo mógł nasycić swój głód lektury i wiedzy. „Jako chłopiec nie chciałem pozostać nieukiem. Matka też nie godziła się, abym nim był. Ale dopiero w seminarium zacząłem nadrabiać czas stracony, zacząłem zaspokajać głód lektury, który miałem od dziecka: czytałem wszystko, co mi wpadło w ręce. To tam zacząłem czytać i odczytywać wielokrotnie św. Augustyna”. Powie nam także, jak te lata naznaczone były przez księży starszych od niego: księdza Godin<sup>8</sup>, księdza Depierre<sup>9</sup>. „Żywiłem się życiem tych księży; będących świadkami kontestacji prześladowanych”. Ksiądz Depierre, już zakopany w parafii robotniczej, pisze do niego:

„Kapłaństwo, widzisz, dopiero od dwóch lat je rozumiem. To jest wielkie. (...) Czuwać do drugiej godziny w nocy, męczyć się, upadać ze zmęczenia, to nic. Tak trzeba. Ale zasadnicze, to być drugim Chrystusem, być świętym. Bo widzisz, ci ludzie wtedy cię przyjmują, to jest wspaniałe. Ale jeżeli ksiądz nie odpowiada ich oczekiwaniom, patrzą na niego zdziwieni i smutni; potem zbuntowani opuszczają

---

<sup>8</sup> Ksiądz Henryk Godin (1906–1944) poświęcił życie pracy w środowiskach robotniczych. Autor wraz z księdzem Daniel książki „Francja kraj misyjny” (La France, pays de mission).

<sup>9</sup> Ksiądz Depierre, członek Misji Paryskiej. Jeden z pierwszych księży pracujących w fabryce. W Montrenie udało mu się stworzyć prężną wspólnotę chrześcijańską złożoną przede wszystkim z robotników.

go, są straceni dla klasy robotniczej (...). Tak więc, w seminarium nie trać minuty czasu; napełniaj się Chrystusem. (...) Przemyśl całą dogmatykę, przeżywaj teologię moralną w zastosowaniu do sytuacji realnych (...). Jesteś przytłoczony – ja także (...). Przysięgam Ci, że nigdy nie żałowałem, że jestem księdzem”.

Ojciec Józef pójdzie dalej, dalej niż klasa robotnicza, aż do samego dna nędzy, którego żadna walka jeszcze nie dosięgła. Ale zachowa głęboką przyjaźń dla księży, którzy, jak ksiądz Depierre, byli jego natchnieniem w okresie studiów w seminarium.



## Rozdział piąty

### „Żyliśmy nadzieją utożsamienia z biednymi”

#### **Pierwsza parafia: „schodzić coraz głębiej w ludzkość cierpiącą”**

„Chrystus uczynił mnie kapłanem 29 czerwca 1946 roku w katedrze Soissons”.

Obrazek ze święceń Ojca Józefa przedstawia Jezusa Chrystusa zwróconego ku dzielnicy miasta, nad którą zapada noc. Na pierwszym planie mieszkania robotnicze o oświetlonych oknach. Za nimi fabryki, których kominy buchają dymem w ciemniejące niebo. Poniżej słowa: „Żał mi tego ludu”.

W godzinie swoich święceń Ojciec Józef jest więc młodym księdzem francuskim, dobrze pasującym do swego czasu. W seminarium poza zajęciami, o których pamiętają jego koledzy, spędzał także niezliczone godziny na lekturze. Będzie znał na pamięć historię francuskiego kościoła katolickiego między dwiema wojnami i w okresie okupacji. Mówiąc nam o tym później, będzie cytował wszystkich znanych autorów tego okresu i znajdziemy ich ślady w skromnej bibliotece, którą prznosił w pudle z parafii do parafii. Wszyscy ci, którzy znali Ojca Józefa jako młodego księdza, przypominają sobie, że czytał dużo. „Na plebanii w Tergnier miał tylko jeden pokój. Spał tam i robił zebrania z młodzieżą. Nie było ogrzewania, ale kominek cały zawalony był książkami”. „Był tylko jeden pokój nadający się do zamieszkania na plebanii w Dhuizel i wszędzie było pełno książek”. „W baraku, w obozie Noisy nie było nic: tylko nędzne łóżko i książki leżące na ziemi (...)”.

Książki – jakie książki? Oczywiście św. Augustyn: część Wyznań, Kazania o Psalmach, Doktryna Chrześcijańska... („Nigdy nie stać mnie było, by zgromadzić wszystkie znane pisma tego, który był pierwszym spośród moich mistrzów”). Bernanos, Malraux, le Roy,

Claudel, Saint-Exupéry, Teilhard de Chardin, Emmanuel Mounier, Maritain, Chenu, Giraudoux, Daniel Rops, ale także Zola, Thorez, Lenin..., a oprócz tego Lhande, Daniel Godin, kanonik Boulard, Ojciec Voillaume, Van der Meersch, ojcowie Lagrange, Lebreton, Prat. „Wszyscy ich czytali” – powie Ojciec Józef, kiedy dwadzieścia lat później będziemy układać jego bibliotekę. „Nie miałem środków na kolekcjonowanie książek, ale te były łatwe do dostania”. Congar i de Lubac sąsiadują ze starymi numerami *Esprit*, z *Zeszytami Tygodni Społecznych*, Encyklikami Leona XIII, Piusa X, Piusa XI... Jest także kilku autorów, których pewnie nie wszyscy czytali: Gorki, Dostojewski, Tołstoj (później dojdą do nich wszyscy dysydenci rosyjscy). Wiele książek pochodzi z antykwariatów i noszą ślady poprzednich właścicieli.

Jednym słowem są to lektury tej epoki. Być może ten kleryk, trochę oryginalny, włączy się wreszcie w świat młodych księży swojego czasu. „Żal mi tego ludu” – to język całego Kościoła francuskiego, który odkrył na nowo własny kraj, Francję składającą się z mas wiejskich i miejskich, zdechrystianizowanych, podzielonych między sobą, odciętych od klas zamożniejszych i prowadzących każda własną egzystencję. Kościół francuski uznał wtedy, że aby do nich dotrzeć, musi posłubić rzeczywistość ich życia, ich język.

To odkrycie zrodziło w latach dwudziestych JOC. Z niego wywodzą się: Misja Francuska, Mali Bracia Ojca de Foucauld<sup>10</sup>, ekipy Roberta Garric<sup>11</sup>. Wielka różnorodność inicjatyw duchowych, społecznych, kulturalnych, a nawet związkowych czy politycznych daje księżom liczne możliwości zanurzenia się w realne życie ludzi, zwłaszcza biednych. Powołanie Ojca Józefa, by iść za Jezusem Chrystusem, który stał się najbiedniejszym z biednych, musi znaleźć swe miejsce w tej obfitości idei i przedsięwzięć. Tak, jak wielu księży z tego pokolenia mówi o utożsamianiu się. „W seminarium, ale także prawie wszędzie w Kościele księża mówili o wejściu w lud na kształt ziarna wpadającego w rolę. Ideałem było, by stać się

---

<sup>10</sup> Mali Bracia Ojca de Foucauld – są kongregacją zakonników pracujących zawodowo, chcących ukazać światu, że w każdych warunkach i w każdym środowisku można prowadzić życie oddane Bogu i bliźnim.

<sup>11</sup> Celem ekipy Roberta Garric było zbliżenie młodzieży studenckiej i robotniczej. W 1929 r. ekipy liczyły 10000 członków. Robert Garric był katolikiem, lecz wśród jego współpracowników byli też niewierzący.

częścią integralną ludzkości cierpiącej, podejmując ryzyko, że się zginie. To było moim natchnieniem. Żyliśmy w nadziei wcielenia się w ludzkość. To był jeden z tych okresów, w których najpełniej przeżywałem swoją przynależność do Kościoła (...) W tych latach widziałem wielu księży porzucających plebanie, by żyć w skromnych mieszkaniach pośród ubogich. (...) W całej Francji widziałem księży porzucających wszystko. (...) W ten sposób moje kapłaństwo zaczęło się w nadzwyczajnej atmosferze”.

„Chcieliśmy być obecni wśród ludzi cierpiących. Gdy prosiłem mojego biskupa o pozwolenie wstąpienia do Misji Francuskiej, to nie po to, by tam prowadzić jakąś działalność polityczną, ale aby współuczestniczyć w życiu ludzi najbiedniejszych. Naszym pragnieniem, w każdym razie większości z nas, było zakorzenienie się w masach, by odnaleźć prawdziwą rzeczywistość Kościoła, a także odkryć to, czym byliśmy my sami. Chcieliśmy głosić Ewangelię ubogim, jak Chrystus nam to nakazał, a równocześnie, przyjmując na siebie to, czego Chrystus już dokonał: „Ubogim głoszona jest Ewangelia”. Wierzyliśmy i wierzę w to nadal, że ewangelizacja ubogich już się dokonała (...). Chcieliśmy schodzić wciąż głębiej w ludzkość cierpiącą, wiedząc, że w ten sposób odnajdziemy Kościół w całej jego prawdzie i blasku. Chcieliśmy przeżywać nasze kapłaństwo w samym sercu Kościoła ubogich”.

„To był jeden z tych okresów, w których najpełniej przeżywałem swoją przynależność do Kościoła”.

Czyż więc ten okres jedności i entuzjazmu nie trwał dłużej? Chodźmy za Ojcem Józefem do jego pierwszych parafii. W 1946 r. zostaje wikarym przy starym proboszczu w Tergnier. Ma sobie powierzoną parafię w Vonël i osiedle kolejowe w Quessy. „Był młody, przypominają sobie dawni parafianie, był ze starym księdzem, który nie cieszył się dobrym zdrowiem, więc dla młodych w tym czasie to był nowy powiew i jaki powiew! Był bardzo wymagający w stosunku do siebie i innych. Nie miał nic własnego, był już bardzo blisko najbiedniejszych (...)”.

„Wyprzedzał swój czas: z nim musiało się coś robić! To w czasie przejazdu figury Matki Bożej z Boulogne zaczęło się odkrywać jego głęboką miłość do Maryi. To on wszystko zorganizował. Umiał znaleźć i zmobilizować 10 mężczyzn do ciągnięcia wozu. To był nawet – rzadkość w tych czasach – wóz na oponach! Kościół był pełen kwiatów,

to było prawdziwe święto. Dla nas, ludzi stamtąd, to było wspaniałe (...). Józef zrobił wszystko, aby udało się przyjęcie Najświętszej Maryi Panny i żeby była to naprawdę wielka manifestacja!”

Jednakże zdaniem księdza Józefa, zbyt wielu kolejarzy nie uczestniczy w święcie. Na następne Boże Narodzenie urządza wraz z dziećmi z Quessy olbrzymią szopkę, która stanie się sławna. Najświętsza Panna i Dzieciątko siedzące na wózku alzackim są otoczone codziennym krajobrazem z Tergnier: wagony, fabryki, znajome osobistości... Na szopce napis: „Przyszedł do swoich, ale swoi Go nie poznali”. „W tym czasie taka szopka stanowiła prawie skandal, ale nie dla młodych. I wszyscy przychodzili ją zobaczyć!”

Parafianie przypominają sobie także młodego wikarego, który jest zawsze obecny tam, gdzie zdarzy się nieszczęście, tragedia, śmierć. „Troszczy się o to, aby wszyscy uczestniczyli w życiu parafii – robi się składki na pogrzeby, kiedy rodziny mają trudności ze związaniem końca z końcem (...). To on sprawia, że ludzie zmieniają się dzień i noc przy rodzicach, którzy stracili dziecko (...). Nie miał nic, a jednak przychodził często nas odwiedzić, kiedy tatuś nas porzucił i nie przychodził nigdy z pustymi rękami (...). Jak nas opuszczał nie miał mebli – skrzynki służyły za stoły i krzesła, a przecież dostał prezent, kiedy wyjeżdżał i mógł się nim posłużyć”.

„Mieszkał z księdzem dużo starszym od siebie. Gospodyni miała zwyczaj zamykać zawsze dom. My, młodzi, żeby przyjść na zebranie, wchodziliśmy przez okno. Jedyne pokój, który do niego należał, nigdy nie był ogrzewany (...) Zdarzało mu się, że pochłonięty swoim zapalem duszpasterskim, ale także przyjaźnią, którą mu świadczone w mieście, wracał spóźniony na posiłki na plebanii. Często już nic dla niego nie zostawało. Na szczęście u nas każdy dom stał dla niego otworem”.

Z braku sali zebrań i z powodu stałego zamykania plebanii Ojciec Józef robi zebranie JOC w pralni. Dziewczęta spotykają się w suterenie u kapelusznika. Na katechizację zdobywa na kolei stary wagon. Kolejarze urządzają go, a on gromadzi tam dzieci. Wkrótce wagon staje się także punktem spotkań i salą zebrań dla dorosłych. Dziś kolejarze emeryci wspominają ten wyjątkowy okres: „Dla niego wszyscy ludzie byli równi i wszyscy byli braćmi Jezusa. Powtarzał zawsze: trzeba abyście się jednoczyli. To nie był zwyczajny ksiądz. Robił wszystko całym sercem i z całą wiarą. I powiedzieć, że było

to już czterdzieści lat temu. Nie był nigdy rozumiany przez Kościół, a nawet przez niektórych chrześcijan”.

### **Najbiedniejsi za cenę jakich wyrzeczeń?**

Czy kolejarze z osiedla w Quessy, z którymi przebywa na co dzień zrozumieli go?

„Nigdy nie zapomniałem tych lat, gdy będąc młodym wikarym w Tergnier, wśród kolejarzy, włączałem się w ich strajki. Pytałem kobiety, które stały na progach domów: „Czemu nie jesteście z waszymi mężami, to was przede wszystkim dotyczy ich walka (...)”. Przypominam sobie, że opróżniłem cały parafialny zapas żywności przeznaczonej na kolonie letnie, którą uprzednio z wielkim trudem zgromadziłem. Dawałem rodzinom strajkujących cukier, makaron, ryż”.

„Ale podczas tych pierwszych doświadczeń wikarego w środowisku walczących robotników, zrozumiałem, że przyłączając się do strajkujących, wciągając ich żony, oddalałem się, nie zwracając na to uwagi, od robotników najniższej kategorii. Robotnicy niewykwalifikowani, bez prawdziwego zawodu i najbardziej pokrzywdzeni, zatrudniani byli do prac niewdzięcznych, dorywczych i najslabiej opłacanych w fabrykach u Japy i Beautor. Pewne podwyżki wywalczone przez kolejarzy, nie rozciągały się oczywiście na nich. Nie należeli do tej samej grupy pracowników i ich sytuacja pogarszała się. Spędzałem coraz więcej czasu z nimi samymi i z rodzinami tych ludzi, którzy czuli się zdradzeni i poniżeni tym, że zapomniano o nich lub uważano ich za niewartych tego, by o nich walczyć. Nie zdawałem sobie jeszcze wtedy sprawy dokąd mnie to zaprowadzi”.

„To była lekcja dla mnie. Na co dzień i to już od lat seminaryjnych starałem się być obecnym przede wszystkim w osiedlach najuboższych. Rzuciłem się w walkę, odnalazłem w niej swoje miejsce i satysfakcję osobistą, a oto okazało się, że nie jestem już po stronie najbiedniejszych. Pozwolić naruszyć – pozornie – skuteczność walki robotniczej przez tych pracowników najniższej kategorii, przyjąć właśnie ich jako punkt wyjścia dla naszej walki: czy nie jest to odpowiedź Jezusa dana kusicielowi?”

Później Ojciec Józef powie jeszcze z perspektywy czasu: „Kościół musi mówić o związkach zawodowych i polityce. Ale nigdy

nie może robić tego tak, jak robią to inni. Chrześcijanin musi iść aż do końca w spotykaniu ludzi. Nie mogą mu nigdy wystarczyć spotkania, które nie obejmują wszystkich, tak najbiedniejszych, jak i najbogatszych... Chrześcijaninowi nie wolno myśleć ani o polityce, ani o życiu związkowym bez odniesienia do tej części Kościoła, która jest najboleśniejsza. „Lud poniżej poziomu morza”, lud ukryty na samym dnie, lud, którego świat nie widzi. Kościół musi zawsze, odpowiadając na apele o więcej sprawiedliwości, pytać: „sprawiedliwość, ale dla kogo?”

Czy można myśleć, że młodzi w Targnier-Vouël rozumieli to wtedy? W lutym 1988 roku pismo „Aisne Nouvelle” notuje: „Po czterdziestu latach przypominają sobie jego dynamizm, wiarę, siłę charakteru, miłość do najmniejszych, to jak rozumiał dzielenie się, idące aż do oddawania wszystkiego, co posiadał”. Dawni parafianie wyrażają to własnymi słowami: „Nie było nic do powiedzenia. Trzeba było koniecznie coś zrobić i to coś takiego, czego się jeszcze nie robiło! Zaprowadził nas na Krzyż. Poszliśmy... Z nim poszłoby się wszędzie (...). Nigdy nie odczuwał potrzeby chwalenia się, ale była w nim prawdziwa potrzeba działania. Coś musiało się dziać”. Jeden z tych, którzy to mówią, stwierdza: „Jeżeli nie będzie się kontynuować tego, co zaczął, gotów jest wrócić. Spędził niewiele czasu między nami, ale wspomnienie o nim jest zawsze tak żywe, że pomagają nam w myśleniu i robieniu czegoś dla innych, mimo naszych własnych trudności”. Stworzyli stowarzyszenie dla niepełnosprawnych. „No i widzicie, kontynuujemy to, co on zasiał”.

## Rozdział szósty

### „Ksiądz nietypowy”

#### **Dhuizel-la-Jolie: „On nam przynosi nowe idee”**

Dopiero później parafianie z Tergnier zdadzą sobie sprawę, jak słabe było zdrowie ich wikarego. On sam nie zwracał na nie uwagi. To jego przyjaciel ks. Bach niepokoił się, znając tę sprawę z lat 39-40, z czasów wojny. „Ja go widziałem takim, jakim był. Wszystko go męczyło, ponieważ nie miał zdrowia. Był zawsze podatny na choroby, był wychowany w biedzie. To go naznaczyło na całe życie. Jest pewne, że gruźlica pochodzi z okresu jego dzieciństwa, a także z okresu, kiedy żył w Aisne. Żył zawsze bardzo ubogo”.

Gdy w 1948 roku ks. Józef prosi biskupa o pozwolenie na udanie się na pewien czas do seminarium Misji Francuskiej w Lisieux, dostaje tam zapalenia opon mózgowych. Zdrowieje, wyjeżdża jako pomoc dla misjonarzy diecezjalnych głosić misję do Saint Dizier, do Reims, do Bordeaux. Wkrótce dostaje gruźlicy. Na noszach zawożą go w 1949 r. do Angers, na pogrzeb matki, którą kochał tak, jak tylko dziecko zrodzone w nędzy może kochać swoją mamę, nie znając słów jakimi mógłby jej to powiedzieć. Potrzeba roku, żeby poradził sobie z chorobą, ale nie umie pozostawać bezczynnym. W sanatorium pełni funkcję salowego, potem ks. Bach przyjmuje go w Pressigny w departamencie Haute Marne.

„Odprawiał nabożeństwa – ludzie go lubili. W niedzielę wielu przychodziło go słuchać, stawał się sławny przez swoje kazania i zapraszano go. Umiał mówić do ludzi. Po jego śmierci, 35 lat później, telefonowano jeszcze do mnie, bo ludzie zachowali o nim niezatarte wspomnienie”. Dzieci przypominają sobie zwłaszcza I Komunię św., ponieważ miał własny sposób przygotowywania jej. „Trzeba było znajdować obrazki, przykłady z życia codziennego”. Wielu zachowało zeszyty, które wtedy prowadzili. Ks. Bach, który

go słyszał, jak mówił znakomite kazania, prosił, by przyjeżdżał co roku.

Na razie pojechał autostopem na pielgrzymkę do Rzymu, a potem powrócił do Soissons. Dlaczego do Soissons a nie do Lisieux? W Lisieux znalazł przyjaciela, ojca Emeriau, profesora socjologii i teologii moralnej; ale wydaje się, że nie znalazł tam swej drogi schodzącej „stałe coraz głębiej w ludzkość cierpiącą”, drogi której szukał od czasów seminarium. Biskup proponuje mu, by zakorzenił się wśród ludności rolniczej, ubogiej i zdechrystianizowanej, „bez ciebie ta parafia nie będzie miała księdza”. Zostaje mianowany proboszczem w Dhuizel, skąd będzie musiał wkrótce zająć się 4 parafiami i 3 aneksami. Posłuchajmy księdza z jego diecezji oraz dawnego mera miasteczka i samych mieszkańców.

„To prawda, że gdy tylko się zjawił, oczyścił kościół z różnych figur, co zdziwiło ludzi”. Tego właśnie chciał Ojciec Józef: pokazać, nawet zaskakując, że wierzący nie zostawiają domu Bożego, obecności Bożej jedynie pod opieką kilku gipsowych świętych. Mobilizuje młodych, którzy często mogą przyjść dopiero wieczorem, także prace odbywają się nocą. „Wywozili taczki za taczkami, aż ludzie zaczęli mówić: „co oni tam wykopują? Widać proboszcz znalazł skarb!” Skarbów jest jednak tak mało, że ksiądz Bach musi pomagać w finansowaniu robót. „To tam zobaczyłem, że jeśli chodzi o sprawy artystyczne, ma gust. Całkowicie odnowił swój kościół. Pomagałem mu finansowo, bo był zawsze bez grosza. Ale na renowacji to się znał”. Pojawił się w ten sposób ołtarz drewniany poświęcony Najświętszej Maryi Pannie, potem wielki blok obciosanego kamienia, który miał być głównym ołtarzem. I nagle pewnej niedzieli już tam jest i proboszcz odprawia mszę zwrócony twarzą do zdumionych wiernych. Sprowadza też swego starszego brata rzeźbiarza, by odrestaurował figurę z XVII wieku.

Ręce rozentuzjazzmowanej młodzieży z trzech wiosek czynią z kościoła cudo i Ojciec Józef urządza znów swoje sławne szopki

---

<sup>12</sup> We Francji dzieci uczęszczały na lekcje religii do parafii we czwartki, który to dzień był wolny od nauki szkolnej. Do pierwszej spowiedzi i I Komunii przystępowały w małych grupkach stopniowo, gdy nauczający uznał te akurat dzieci za dostatecznie przygotowane. Pod koniec 3-letniego cyklu miała miejsce tzw. Komunia Uroczysta połączona z odnowieniem obietnic chrzcielnych, wprowadzająca we wspólnotę dorosłych. Na tę uroczystość dzieci ubrane były w specjalne „komunijne” stroje. Z czasem zmieniono nazwę z Komunii Uroczystej na Wyznanie Wiary.



oraz I Komunie św. i Komunie Uroczyste<sup>12</sup> w stronach, gdzie ludzie „już o nich dawno zapomnieli”. „Ubodzy, mówi Ojciec Józef, potrzebują znaków. Kościół nie może iść naprzód bez nich”. Pewna parafianka przypomina sobie: „To, co najbardziej zwracało uwagę ludzi, to szopki. W pierwszym roku razem z dziećmi zrobił Nowy York. Zrobili drapacze chmur z kartonu. U stóp miasta z boku Dzieciątka Jezus, opuszczone przez świat współczesny. W następnym roku polecił nam zrobienie olbrzymiej kuli ziemskiej. Mieliśmy ubrać nasze lalki w stroje reprezentujące wszystkie dzieci, które miały podawać sobie ręce wokół całej kuli ziemskiej”.

Inna sprawa była z plebanią. Był to niewielki budynek z jednym pokojem nadającym się do zamieszkania. Bo, pomijając odbudowę domu Bożego, tym, co niepokoi proboszcza, jest los pracowników sezonowych. Są to Belgowie, Polacy, Włosi, Hiszpanie, Portugalczycy. Zarabiają mało, a mieszkają w rozpadających się domach z potłuczonymi szybami. Ojciec Józef, ku wielkiemu niezadowoleniu kilku bogatych plantatorów zbóż i buraków, najmuje się sam do pracy. Okopywanie, przerywanie i wyrywanie buraków to praca ponad jego siły, ale prowadzi ją aż do końca. „To nie jest jego miejsce” – mówią zamożni rolnicy, widząc pracowników sezonowych wieczorem na plebanii. Plebania staje się z czasem schronieniem wszystkich ludzi nieszczęśliwych z całej okolicy. „W gruncie rzeczy – mówi z namysłem jeden z dawnych parafian – przyszedł szukać tego, co zginęło”.

Pewnego dnia zjawia się na plebanii młody człowiek, po którego wkrótce przychodzi policja. Czekają na niego dwie sprawy sądowe. Jest poszukiwany. Proboszcz zapytany odpowiada spokojnie, stojąc w drzwiach domu, by wszyscy mogli go słyszeć. „Wiem. W nocy z soboty na niedzielę przewiozłem tego młodego człowieka do Belgii”. Czyż tego nie było już za wiele?

Dawny mer Dhuizel obecnie jest już wyrozumiały: „Ten proboszcz to był człowiek o wielkim sercu. Bezwarunkowa pomoc dla wszelkiej nędzy stanowiła dla niego rodzaj obsesji, dawał jej zawsze pierwszeństwo, nawet wbrew wszystkim, nawet podejmując ryzyko zrażenia sobie tych, którzy, jak sądził: „...nie zdawali sobie sprawy z wagi problemu”.

Dawny konfrater z diecezji mówi nam: „Jego kazania z tego okresu nie były naszpikowane poezją. Mówił o właścicielach, którzy często nie byli mili ani sprawiedliwi w stosunku do pracowników.

Ale nie wymieniał nigdy nikogo po imieniu i był pełen delikatności w stosunku do wszystkich. W czasie podniesienia słyszało się czasem, jak mówił: „klasa robotnicza, klasa robotnicza”, a innym razem, podnosząc hostię powtarzał: „sprawiedliwość, prawda, miłość, pokój”. Pewnego dnia przechodziłem przez kościół w czasie Mszy św. – był całkiem sam, zwrócony twarzą do nieistniejącego ludu – i usłyszałem jak mówił: „Ach mój biedny Jezu, proszę Cię za tych wszystkich nieboraków”.

Równocześnie właściciele ziemi nie przestawali mówić: „Ależ on nie jest tu na swoim miejscu, u nas na dużych uprawach nie ma klasy robotniczej takiej, jak w miastach”. Może rzeczywiście nie był na swoim miejscu, ksiądz, którego plebania znalazła się pod nadzorem policyjnym z powodu przyjmowania ludzi, których obawiało się otoczenie i który szedł okopywać buraki, a wieczorem pracował w szortach we własnym ogrodzie. Czy był na swoim miejscu proboszcz, który z okazji Uroczystej Komunii Świętej zapraszał biskupa do najnędzniejszej rodziny w parafii? Wielu z tych, którzy go wtedy znali myślało, że „tutaj, to było za małe dla niego. Pomyślcie tylko, on z całym tym potencjałem inteligencji i otwarcia na drugich”. Ojciec Józef sam nigdy tak nie mówił o parafii w Dhuizel, którą ochrzcił „piękną”. Cztery parafie nie wydawały mu się zbyt małe: „Jedna by mi wystarczyła, gdybym mógł uwierzyć, że jest to właśnie owo ostateczne dno nędzy, gdzie mam się zakopać”. Ale z kim mógł dzielić się niepokojem, że nie znalazł jeszcze swej właściwej drogi?

Konfratry go lubią, niektórzy nawet otaczają opieką. Dziekan z Braine opowiada: „Znałem Józefa w latach 1955-58. Było sześciu księży w dekanacie. W tym on. Gdy przychodził do nas, rektor seminarium powiedział mi: „Jest jeden między tymi sześcioma, którego nie można zaklasyfikować, człowiek niezwykle bogactwa i niezwykle oryginalny. Ciekawe jest jego pochodzenie: ojciec Polak, matka Hiszpanka, cechuje go duża inteligencja, wielkie serce i prawdziwe oddanie. To ksiądz nie do zasufladkowania”. A wikariusz generalny powiedział mi jeszcze: „Nie bądźcie zbyt rygorystyczni w stosunku do niego na waszych spotkaniach. Jeśli będzie się zjawiał tylko w ciągu dnia lub tylko na posiłki, przyjmijcie go takim, jakim jest”. Zgadzałem się na to: chcieliśmy tylko, by był zintegrowany z ekipą. Tym, którzy czasem protestowali mówiłem: „Przynosi idee, których my nie mamy”. Jego oryginalność raziła czasem parafian, a nawet

nas, ale mówił prawdę, bo był prawdziwym księdzem”.

Ks. Edward Polyn dodaje, że nie wszyscy konfratry mogli to zrozumieć. „Dla nas plusem było to, że pracowaliśmy razem nad katechizmem. Przygotowywać samemu katechizację to była rewolucja. Pracowaliśmy godzinami, bardzo blisko. Inni proboszczowie mniej go znali, widzieli tylko, że nie jest do nich podobny. Wielu myślało, że ma jedynie w głowie pracę, że chce być księdzem robotnikiem. Ja osobiście myślałem, że ma w głowie całkiem co innego. Szukał, myślał, czekał. Uczestniczył we wszystkich naszych zebraniach z wykładami z teologii. I podróżował. Chciał widzieć na własne oczy”.

„Kościół był dla niego świętością. Ale cóż chcecie, wystarczy być już w pewnym wieku, by sobie mówić: „No, ale cóż to takiego ten proboszcz”. A jednak on nie odstraszał od kościołów. Przeciwnie, chodzono go słuchać, nawet jeśli tylko po to, aby go potem krytykować. Bo nie mówił pod publiczność. Z całą swą szczerością był jednak subtelny, dystyngowany. To dziwiło, bo ten proboszcz „rewolucjonista” był równocześnie delikatny i był zawsze proboszczem wszystkich”.

Inny ksiądz dorzuca: „Było w nim wiele delikatności i kiedy się zezłościł, był potem bardzo nieszczęśliwy i natychmiast starał się wyjaśnić sprawę. Jego złości to był najczęściej wyraz cierpienia. W pewnych momentach, rzeczywiście nie mógł milczeć”

## **Gdzie są uciemienieni?**

Tak więc jego konfratry są równocześnie pełni przyjaźni i bezradni. Jakaż przyszłość przed księdzem tak nietypowym? „Prowadził nas do rewolucji, grubo przed Soborem Watykańskim II i to było fantastyczne, ale zbijało z tropu. Jego plebania była bardzo uboga – było tak zresztą na wszystkich kolejnych parafiach – ale przewijało się tam zawsze pełno ludzi. Prawdziwe miejsce spotkań. Istna stacja kolejowa (...). W kościele też wszystko zdawało się zmieniać. Brał dziewczynki z chłopcami za ministrantów. Przywrócił powagę Komunii Uroczystej, Wyznanie Wiary odbywało się tak prawie, jak w czasie święceń kapłańskich. Wszystkie dzieci leżały krzyżem na ziemi. Nie robił rzeczy połowicznie. Był prawdziwy, zresztą byli ludzie, którzy go podziwiali, inni zrzedzili, a jeszcze inni gwałtownie krytykowali”.

A co myśleć o podróżach Ojca Józefa? Mówił: „Nie jadę na pielgrzymkę. Jadę zobaczyć”. Tak właśnie zabrał ks. Bach do Nadrenii. Oczywiście, modlili się w Maria Lach, ale przede wszystkim zwiedzali zrujnowany kraj. Potem to ks. Bach zabiera go na Bliski Wschód. Ojciec Józef odprawia mszę w kościele Grobu Chrystusa, ale potem idzie odkrywać dzielnicę nędzy. „Jest opętany nędzą. A przy tym ma taki łatwy kontakt. Rzadko zdarzają się ludzie z takim łatwym kontaktem”. Następna będzie Hiszpania, gdzie prosi towarzyszy, by zoczyli z trasy do prowincji Murcia. Słyszał, że w tych okolicach nauczyciele nie mają ani książek, ani zeszytów dla dzieci. „Dla Ojca Józefa, to była jeszcze jedna forma upośledzenia i nędzy”. Wkrótce potem zwiedzają sanktuaria pełne strojnych figur przyozdobionych drogocennymi klejnotami. „To straszne nadużycie – mówią jego towarzysze: z jednej strony nędza z drugiej brylanty”. Ojciec Józef irytuje się: „Jak możecie tak mówić. Dla Najświętszej Panny nic nie jest zbyt piękne...i w końcu właśnie to jest normalne, wszystkie te bogactwa są dla Pana”.

„Ojciec Józef – mówi dziś jeszcze z czułością Ojciec Emerian – miał specjalne powołanie. Jeszcze szukał swojej drogi. Zresztą większość księży z Misji Francuskiej też nie miała klasycznego powołania. Ale i wśród nich Ojciec Józef się wyróżniał, miał więcej rozmachu”.

W 1955 r. przełożony seminarium w Braine określił to prościej: „To jest ksiądz nie dający się zaklasyfikować”. Wikariusz generalny dorzucił: „Przyjmijcie go takim, jakim jest”. Jak nie współczuć młodemu księdzu, który w 1946 r. zaczynał swoje życie kapłańskie „w nadzwyczajnej atmosferze”. Po sześciu latach w Dhuizel, dziewięciu latach kapłaństwa czyżby wspólnota dążeń stała się samotnością? Ojciec Józef tak sprawy nie stawia.

„Nic się nie zmieniło. Byliśmy wszyscy na tej samej drodze. Wszyscyśmy szukali, ale nie szukaliśmy w ten sam sposób. Nie pochodziliśmy z tego samego środowiska, nie mówiliśmy o tej samej rzeczywistości. Ja musiałem rozpoczynać od miejsca, w którym się urodziłem, z tym doświadczeniem, z tym spojrzeniem, które dała mi nędza. Nie wiedziałem lepiej od nich, gdzie to mnie zaprowadzi”. Pasjonując się historią, ale także jednością i wiernością Kościołowi, uważa się zawsze za spadkobiercę, a nigdy za dysydenta, a jeszcze mniej za rewolucjonistę. Przypominać nam będzie wszystkie bogac-

two nowych inicjatyw zrodzonych w Kościele tej epoki: spotkanie z realnym życiem ludności zdechrystianizowanej, („ale czy są oni zdechrystianizowani naprawdę?”...), odkrycie, że biedni są jakby wykorzeni z historii i że wielki problem rozłamu między różnymi środowiskami stanowi różnica kultur. Obudzenie pragnienia „życia razem z ludźmi”, bardziej niż zdobywania nowych terenów dla Kościoła. Gorąca miłość do człowieka, ale także miłość wspólnoty i pragnienie, żeby się wyzwolić z dawnego poczucia bezpieczeństwa, by dotrzeć do ludzi; udział świeckich w apostołstwie Kościoła... We wszystkich tych nowościach Ojciec Józef uczestniczy bez niechęci a nawet z entuzjazmem.

Ale stwierdza także istniejące pomieszanie pojęć. Nie wiadomo do końca, kto są „uciśnieni”, „masy cierpiące”, „masy wydziedziczone”, „środowiska ludowe, w których brak poczucia bezpieczeństwa”, duchowość wspólnotowa, ale z kim? Dzielić nędzę, ale czyją? Gdzie są najbiedniejsi? Jakie miejsce im się przyznaje? Jakie pragnienia Kościół i świat żywią w stosunku do nich? Czy jesteśmy pewni, że nie zatrzymamy się w połowie drogi podczas, gdy ubogi Jezus czeka na nas jeszcze dalej? Oto pytania, które go nurtują, ponieważ jego zdaniem stoją one przed Kościołem. „Kościół wie, że zawsze są jeszcze biedniejsi, w których wciela się Jezus Chrystus, że nie może spocząć, nim do nich nie dotrze, będąc skazanym, by iść wciąż dalej, wciąż głębiej. (...) Czy naszym kapłańskim cierpieniem nie jest to, że u kresu życia może się zdarzyć, iż Pan nam powie: „Byłem w tym człowieku, w tej ruderze, w tych slumsach. Ta rodzina sparaliżowana rozpaczą, to dziecko, które nie mogło chodzić do szkoły, skazane na życie w ciemnocie, to byłem ja. Przeszedłeś koło mnie, ale mnie nie rozpoznałeś, nie zatrzymałeś się”.

Gdzie są ci najbiedniejsi? Pewnego dnia w 1956 r. biskup Duilard wzywa Ojca Józefa: „Jest taki obóz dla bezdomnych koło Paryża. Przyszli się mnie radzić. Duszpasterze tam nie wytrzymują. Co o tym myślisz? Możesz się wybrać zobaczyć. I jesteś wolny. Możesz wrócić, jak tylko zechcesz”. Ojciec Józef, człowiek czynu, spontaniczny, zdolny do szybkich decyzji, jest w istocie bardzo ostrożny. „To jest refleks ubogiego (...). My ludzie biedni musimy zawsze być czujni, starać się przewidzieć nieszczęście”. Wraca do Dhuizel, aby się zastanowić. Jedzie incognito zobaczyć obóz w Noisy-le-Grand. Potem jedzie do ks. Bach, swego dawnego, oddanego, wiernego

przyjaciela. Nie mówi mu o obozie, prosi tylko, by przyjechał do Dhuizel: „Powiedz mi, co dziś myślisz o mojej parafii”.

„Prosił, żeby go odwiedzić. Pojechałem w niedzielę, kiedy mogłem mieć zastępstwo. Byłem na mszy po cywilnemu z dwiema osobami, które zabrałem z Pressigny. One mi powiedziały: „To nie jest parafia dla takiego człowieka jak on. Człowiek tak dynamiczny w parafii, gdzie nie ma praktykujących...” Był tam, dzieci śpiewały, powiedział wspaniałe kazanie. Powiedziałem mu: „Słuchaj, Józef, nie trzeba tu zostawać. Powinieneś wziąć coś większego”. Wtedy powiedział mi o Obozie w Noisy i odpowiedziałem, że to pasuje do niego. Nie znałem zbyt dobrze tego obozu, ale znałem jego i jego życie w nędzy. Posłuchał mnie. Poszedł”.

Ojciec Józef zachowa niezłomną przyjaźń dla konfratrów z diecezji Soissons, do których będzie przywiązany przez całe życie. „To oni kierowali moimi pierwszymi krokami. Są moimi przyjaciółmi...” 30 lat później oni powiedzą o nim: „Byłeś istotnie nie do zaklasyfikowania, zirytowałeś nieraz, nie bez racji, ludzi porządných i sytych, ale z oślim uporem pozostałeś wierny samemu sobie, swej przeszłości i temu powołaniu, które ci dał Pan”.

## Rozdział siódmy

# Obóz dla bezdomnych: powrót na drogi poniżenia

### „Tego dnia powróciłem do świata nędzy”

„Mój biskup zaproponował mi spędzenie jakiegoś czasu wśród rodzin bardzo biednych, potem miałem zdecydować, czy chcę zostać z nimi. Pojechałem więc, najpierw na pół roku i w tym pierwszym okresie włączyłem się do „Compagnons Emmaus”<sup>13</sup>. Pracowałem razem z nimi, a ponieważ wykonywali pracę w Obozie w Noisy mogłem się zbliżyć do rodzin, które tam umieszczono”.

„Przyjechałem 14 lipca 1956 r. na to płaskowzgórze zwane Chateau de France (zamkiem Francji). Upał był straszliwy. Uliczki puste, nikogo na zewnątrz. Patrząc na tę pustkę, myślałem: niegdyś gromadziły ludzi źródła wód, skrzyżowania dróg, dzwonnice, przemyśl. Tutaj te rodziny zgromadziła nędza. To było jakby olśnienie. Wiedziałem, że nie stoję wobec banalnej sytuacji „względego ubóstwa” (jak wtedy mówiono), czy trudności osobistych. Miałem do czynienia z nędzą zbiorową. Od razu poczułem, że stoję przed swoim ludem. Tego nie można wytłumaczyć. Po prostu tak było. Od tej chwili nastąpił zasadniczy zwrot w moim życiu. Ta oślepiająca nędza, która rozpościerała się przed moimi oczyma, w tym duszącym upale i absolutnej ciszy złapała mnie w potrzask (...) Wtedy, 14 lipca 1956 r. podpisałem mój los, mimo że czekałem jeszcze do 11 listopada, by zainstalować się ostatecznie w Noisy-le-Grand. A nawet tego

---

<sup>13</sup> Compagnons d'Emmaüs – stowarzyszenie samopomocy i solidarności stworzone przez Abbé Pierre w 1949 r. grupujące ludzi samotnych i bezdomnych, utrzymujących się ze zbiórki makulatury, złomu i wszystkiego, co można odzyskać ze śmietników, stąd ich popularna nazwa „gałganiarze z Emaus” (pod tym tytułem wyszła w Polsce książka o nich, autorstwa Gilberta Cesbron). Administracja obozu w Noisy-le-Grand zlecała im reperacje baraków – „igloo”, przeprowadzki mieszkańców i roznoszenie poczty.



11 listopada zachowałem jeszcze moją dawną parafię. Jeździłem tam w każdą sobotę i niedzielę. Urodzony w nędzy, gdzieś na samym dnie mojego ja, zostałem człowiekiem nędzy. Nauczyłem się wierzyć we wszystko, ważyć się na wszystko, ale zostawiałem zawsze maleńką rezerwę, coś na czarną godzinę, jakiś kawałek czerstwego chleba na dnie kieszeni. Nie jest biednym ten, kto tak nie robi. Tak robiła moja matka, zachowując zawsze parę butów na później dla dzieci, o jedną parę majtek za dużo (...). Mówiła mi: „Józef (...), jeśli nie przyjmiesz tego, co ci dziś dają, wtedy gdy będziesz tego potrzebował, okaże się, że wszystko już rozdali innym”. Zachowałem przez kilka miesięcy moją dawną parafię, jako zabezpieczenie na wszelki wypadek, tak jak moja matka chowała zapasową parę butów”.

„Podpisałem mój los” – mówi Ojciec Józef. Potrzebny był jego podpis. Nikt go nie zmuszał. Jedyńm człowiekiem, który mu dodawał odwagi był ks. Bach. Później dowiemy się, że inni mu odradzali. Czyż nie miałyby zresztą racji, nie chcąc zaangażować się w podobne piekło?

Już w pierwszych latach kapłaństwa mógł z czystym sumieniem zatrzymać się, jak to mówił w połowie drogi. „Dla mnie kapłan to człowiek, który należy do swego ludu. Wtopiony weń. W czasie pierwszych lat mojego kapłaństwa mogłem realizować tę osmozę z rodzinami moich parafii. To były najszczęśliwsze lata mego życia”. „To prawdziwy kapłan” – mówili jego konfratry, nawet jeśli nie zawsze w pełni go rozumieli. Czegóż chcieć więcej? My wiemy, że Ojciec Józef wymagał czegoś więcej od swego kapłaństwa. Nie chciał więcej satysfakcji czy więcej szczęścia, lecz większej wierności Jezusowi Chrystusowi ubogiemu, ukrzyżowanemu jak bandyta.

„Nikt nie jest kapłanem bez prawdziwej, pokornej i żarliwej miłości do Jezusa Chrystusa. Do Niego, do osoby, nie do symbolu. Do żywej rzeczywistości, żyjącej tym, czym świat żyje, co najbiedniejsi wokół nas wyrażają i czego pragną. Ksiądz musi chcieć w taki czy inny sposób odwzorowywać swoje życie na życiu Jezusa Chrystusa. Inaczej nie będzie księdzem. A życie Pana Jezusa na tym świecie, to życie dziecka narodzonego w takim miejscu, gdzie mogły się rodzić tylko dzieci ludzi z marginesu społecznego, jakimi byli pasterze. Jego życie, to życie rodziny bez pieniędzy, bez mieszkania, wydalonej z miejsca pobytu, życie człowieka bez pracy, człowieka wyśmiewanego nawet w chwili największego cierpienia, takiego, o którym się mówi, że cierpi wyłącznie z własnej winy (...)”.



Gdy później będzie mówił z miłością, ale także z czułością, którą dobrze znamy, o swoim Panu w godzinie kuszenia, to czyż nie dlatego, że sam chciał i tam pójść za Nim? O dniu 14 lipca powie pod koniec życia: „Wtedy wróciłem do dni nieszczęścia. W tych kobietach zobaczyłem moją matkę, te dzieci to byli moi bracia, moja siostra”. A przecież, sam twierdził, że człowiek, który wyszedł z nędzy, nie może chcieć do niej wrócić.

„Człowiek zrodzony w biednej rodzinie, w środowisku ubogich, w sytuacji ciągłego zagrożenia i upokorzenia, nie może chcieć powrócić do takich warunków. Ani poczucie przynależności, ani nawet przekonanie o obowiązku solidarności w walce o lepszy byt, nie może wystarczyć, by ktoś chciał stać się człowiekiem pogardzanym. To byłoby przeciwne naturze i powołaniu człowieka. Bieda, braki materialne, uzależnienie od silniejszych są trudne do zniesienia. Natomiast nie do wytrzymania – mówią nam o tym co dzień rodziny Czwartego Świata – jest pogarda, bezustanne przypominanie, że jest się istotą niższego rodzaju i całkiem bezużyteczną. Jest nie do wytrzymania, gdy nawet najbliżsi traktują człowieka jak istotę pozbawioną godności osobistej. „Traktuje się nas jak śmiecie..., nie jesteśmy psami, żeby nas tak znieważano w merostwie”.

„Na tym polega różnica między ubóstwem a nędzą. Człowiek żyjący w nędzy jest w sytuacji nie do zniesienia, traktowany jak nic nie znaczący, czy jeszcze gorzej, jak istota szkodliwa, która nigdy nie powinna się była urodzić. A przecież każdy w głębi własnego serca wie, że mimo wszystko jest człowiekiem. Pragnąć godności, marzyć, by być kimś, a być pogardzanym nawet przez niewiele bogatszych od siebie sąsiadów, przez sklepikarza, listonosza... to jest nędza. To stanowi różnicę między biedą a wykluczeniem”.

W 1956 r. Ojciec Józef znajduje się ponownie na tej granicy. Czy trzeba przejść ją jeszcze raz? Przez całe życie zachowa tę wrażliwość najuboższych, którzy czytają w oczach drugich zdziwienie, pogardę, nawet gdy usta milczą. Wie, że wielu uważa go za dziwaka. Jednakże aż dotąd jego ufność i poczucie humoru brały zawsze górę nad upokorzeniami i nieśmiałością. Spokojnie i pogodnie szedł własną drogą. Kiedyś matka uczyła go tego, co wszyscy biedni rodzice powtarzają swoim dzieciom: „a przede wszystkim, Józef, nie zwracaj na siebie uwagi”. Jeśli mimo to wyróżnia się spośród innych, to dlatego, że w sprawie ubogich często nie może zrobić inaczej. Ale

dotychczas mógł sobie na to pozwolić, mając jakieś zabezpieczenie – uznane miejsce w Kościele. Teraz mu go zabraknie. Wie, że szuka się dla niego oficjalnej funkcji. Będzie związany z ekipą parafialną w Noisy-le-Grand, pełniąc rolę kapelana „Sióstr Włoskich” ze zgromadzenia Franciszki Cabrini. Obóz dla bezdomnych nie jest parafią, mimo że żyje tam sześć razy więcej rodzin niż w Dhuizel. Nie stanowi też ośrodka duszpasterskiego. Ale to co odkrywa w tym obozie przekona go szybko, że bez solidnego oparcia jego działalność nie ma przyszłości.

### **Jedynе rozwiązanie: „Te rodziny wejdą kiedyś na schody Watykanu, Pałacu Elizejskiego, ONZ”**

Co bowiem ma oznaczać „wtopić się” w ten lud, pozbawiony wszelkich praw, spędzony na to pustkowie u bram Paryża? Ojciec Józef przez krótki czas marzy raz jeszcze o ukryciu się wśród najbiedniejszych, by obumrzeć jak ziarno wrzucone w ziemię, ale przeczuwa, że życie potoczy się już inaczej. „Od tego dnia prześladowała mnie myśl, że lud ten nigdy nie wyjdzie z nędzy, chyba że będzie przyjęty jako całość, właśnie jako lud, tam gdzie dyskutują i walczą inni ludzie (...). Przysięgłem sobie, że jeżeli zostanę, zrobię coś, by te rodziny mogły wejść na schody Watykanu, Pałacu Elizejskiego, ONZ-tu”...

Ojciec Józef odnalazł nędzę swej rodziny, wykluczenie, pogardę, z którą odnoszono się do rodzin z dzielnicy Świętego Mikołaja, całe dzieciństwo pełne stałego niepokoju i poniżenia. Jak się nie zaangażować? Przecież właśnie po to poszedł za swoim Panem! Ale Ojciec Józef także się boi. Nie ma żadnych środków, żadnego oparcia. Gdyż „stać się bojownikiem sprawy wydziedziczonych, nie jest tak łatwo. Nie staje się działaczem na rzecz jednostek rozproszonych: tu matka pijaczka, tu jakiś babsztyl, tu dzieciak cherlawy. Trzeba było, żebym ich spotkał jako lud. Trzeba było, bym rozpoznał samego siebie jako kogoś należącego do tego ludu. Żebym w wieku dojrzałym rozpoznał siebie w tych dzieciach mieszkających w przeklętych dzielnicach wokół naszych miast, w tej młodzieży bez pracy, która płacze z wściekłości. Oni utrwalają nędzę mego dzieciństwa i mówią mi o odwieczności ludu w łachmanach”.

„Jest w naszej mocy zniszczyć tę moc przeklętą. Nędza przestanie istnieć, jeśli pomożemy tym młodym, aby zrozumieeli, że należą

do określonego ludu i aby poczuli się zań odpowiedzialni, aby stali się świadomymi członkami swego ludu, by przemienili agresję w świadomą walkę, by uzbili się w miłość, nadzieję i wiedzę, aby doprowadzić do końca walkę przeciw ciemnocie, przymieraniu głodem, jałmużnie i wykluczeniu”.

„Ale nie będzie to tylko sprawą rządu, to musi być najpierw sprawą ludzi, którzy zgodzą się iść z wyłączeniymi ze społeczeństwa, związać swoje życie z ich życiem, a czasem nawet porzucić wszystko, by dzielić ich los”.

Ojciec Józef wie, że związanie swego życia z życiem ludzi ze skrajnego marginesu społecznego wydawać się będzie szaleństwem w oczach świata. Myśli stale o Jezusie w godzinie kuszenia, ale czyż ta myśl może go pokrzepić na duchu w chwili, gdy właśnie on sam miałby dokonać ostatecznego wyboru? „Jak nie dostać zawrotu głowy, myśląc o przewrocie jakiego dokonuje Jezus w biegu spraw tego świata. Nic nie będzie już tak jak dawniej, wszystko staje się jednakowo możliwe dla wszystkich: bogatych, biednych, a także dla odrzuconych. Strach, onieśmienie i bezgraniczna wdzięczność mieszają się we mnie. Tak wiele nauczyłem się od najuboższych w mojej młodości i nadal bezustannie się uczyć”. To są słowa Ojca Józefa wypowiedziane 30 lat później. Wtedy nie zdawał sobie jeszcze w pełni sprawy ze zmian, które wywołają przewrót również w jego własnym życiu. Ale boi się, bo przeczuwa, że wejdzie znów w świat cierpienia, nie wiedząc, czy zwycięży. Przeczuwa ciężar, który nań czeka, choćby tylko z powodu niezręcznych działań, których ofiarami są rodziny z Obozu. „Obóz był miejscem ukrytym przed opinią publiczną, ale był równocześnie jakby placem publicznym dla działań charytatywnych tego okresu: darmowe obiady, dzieła adopcji, odzież używana... dwadzieścia siedem organizacji dobroczynnych działało, jak im się wydawało najlepiej...”

„Tego dnia wróciłem do świata nieszczęścia...” Przez delikatność Ojciec Józef nie precyzuje, jak daleko sięgało owo nieszczęście. Przez troskę, by nie umniejszyć olbrzymiej dobrej woli rozbudzo-

---

<sup>14</sup> Abbé Pierre – skaut, potem wikary w Grenoble. Działacz ruchu oporu we Francji, przeprowadzał Żydów przez granicę, drukował w prasie podziemnej. Po wojnie działacz polityczny. Stał się sławny przez akcje prowadzone na rzecz bezdomnych, zwłaszcza w czasie ciężkiej zimy w 1954 r., założyciel wspólnoty ludzi bezdomnych – „Gałganiarzy z Emaus”.

nej przez apel Abbé Pierre<sup>14</sup>, nie mówi, w czym owo nieszczęście przypominało aż za bardzo to, które znała jego własna rodzina. Bo było ono wywołane nie tylko obojętnością, ani nawet nie zimnym okrucieństwem społeczeństwa w stosunku do swoich najbiedniejszych członków. Pochodziło ono także z dobrej woli – nieświadomej i często wnoszącej zamieszanie – ludzi, którzy sami nie przeżyli nędzy, od organizacji, które w sposób całkiem nieodpowiedzialny, powtarzały w stosunku do wydziedziczonych odwieczne gesty tych, którzy nie są biedni, bez pytania biednych o zdanie, bez wysłuchania ich sprzeciwu, nie podejrzewając ich rozpacz. W Obozie Noisy Ojciec Józef odnajduje drogi poniżenia: „...sylwetka uciekającej kobiety niosącej wiadro do jedynego wspólnego wychodka... Rano dzieci grzebiące w zbiornikach na śmieci w poszukiwaniu skórek chleba... Chantal przynosi mi karteczkę, na której jej matka napisała: „Ojcze, od wczoraj dzieci nie mają nic do jedzenia”... Cała społeczność żyje w atmosferze strachu przed śmiercią głodową. Z momentami lepszymi i gorszymi, żyje jednak zawsze w sytuacji przymierania głodem. Jest zmuszona żebrać”. Jak zatrzeć na zawsze te drogi, jak zamienić je na drogi godnego życia?

Być może niektórzy myśleli, że Ojciec Józef przychodzi zająć miejsca tych, którzy przychodzili tam poprzednio. Ale człowiek zrodzony w nędzy, uformowany i wykształcony przez nią nie mógł przejąć inicjatyw ludzi urodzonych w całkiem innych warunkach, mających zupełnie inne doświadczenie życiowe. Wchodząc w historię rodzin obozu, stapiając się z nimi, musiał dokonać odwrócenia biegu dziejów całej tej społeczności. Nie mógł być kontynuatorem. Będąc tym, kim był, mógł tylko ciałem i duszą położyć się w poprzek drogi.

Ojciec Józef utożsamiając się z ludnością Obozu Noisy stał się radykalnym „nie”. Znakiem sprzeciwu najbiedniejszych wobec losu, jaki zgotowali im ich współcześni, nawet przez swoje działania dobroczynne, znakiem sprzeciwu wobec losu, jaki był udziałem ich rodziców i dziadków, losu, który już nie mógł dłużej trwać. Ojciec Józef sformułował ten sprzeciw w zdaniu, które stało się sławne: „Nędzy nie można ulżyć. Musimy ją wykorzenić”. Tak, tylko jakiej nadziei się ucześcić? „Obóz to piekło, które ludzie w swej nieświadomości czynią biednym. Piekło, które Jezus zwyciężył, a ludzie je sobie odbudowali”. Z tego piekła, trzeba będzie wyjść. Aby z nie-

go wyjść, lud musi stanąć mocno na własnych nogach. Ale w jaki sposób? Cóż warte są iskierki nadziei, które te rodziny zachowały w nawałnicy klęsk, które je tu doprowadziły. Co wart jest ich głuchy sprzeciw przeciw ponizeniu, sprzeciw, którego inni nie słyszą, a który rozpoznaje Ojciec Józef, bo znał go u swej rodzonej matki? Przecież po tych wszystkich ponizeniach i szarpaninie, te nieszczęsne rodziny mogą najwyżej dawać słabe znaki życia.

W 1956 r. Ojciec Józef odkrywa środowisko rodzin, które nie było miejscem nędzy, podobnym do innych. Jest to miejsce szczególne w swym nieszczęściu. Świat otaczający uparł się, by traktować te rodziny jako podopiecznych, ludzi niezdolnych do usamodzielnienia się, ludzi nie do odzyskania, zamiast dostrzec w nich lud spragniony godności, autonomii, odpowiedzialności i praw. Ze swej strony Ojciec Józef nie doceniał jeszcze ogromu zadań do wykonania. Ale wiedział, że tym razem dotarł do samego dna nędzy. Nędzy, którą znał zbyt dobrze, by nie przeczuwać tego, co go czeka: lęku i nieufności ze strony rodzin, niezrozumienia i nieprzychylności ze strony świata. Wiedział na ten temat zbyt wiele, aby się nie bać, on który jako dziecko dobrze znał strach.

Urządzając się 11 listopada w baraku w Noisy-le-Grand, ma serce ściśnięte, ale pokój w duszy. Kto to zrozumie? Jeszcze nadal będzie się o nim mówić, że nie jest na swoim miejscu. „Ten Obóz to nie jest miejsce, gdzie powinien mieszkać ksiądz – napisze kierownik jednego z dzieł charytatywnych – jest w nim zbyt wiele agresji, bezprawia i rozwiązłości”. Ojciec Józef powie później o tym okresie: „Startowałem ze spalonej pozycji, ale to była moja szansa. Nie miałem nic, nie miałem oparcia, moją jedyną szansą była nadzieja”.

## Rozdział ósmy

### Pierwsze stowarzyszenie, akt wiary

#### Nędza, nieznana historia pewnego ludu

Nadzieja jako szansa w walce z nędzą, jak należało to rozumieć? Przypomnijmy, że wielka bieda rozprzestrzeniła się w latach pięćdziesiątych w całej Francji i krajach z nią sąsiadujących. Ojciec Józef odkrywał ją w trakcie swych podróży w Hiszpanii, we Włoszech i w Niemczech Zachodnich. We Francji widoczna była głównie w warunkach mieszkaniowych. Rodziny najuboższe mieszkaly w warunkach rozpaczliwych, lepsze mieszkania były zajęte przez rodziny nieco zamożniejsze. Wiele rodzin bardzo ubogich uciekało ze wsi, gdzie mechanizacja wypierała robotników rolnych. Nie znajdowali oni mieszkań w miastach, zresztą nie było tam dla nich pracy. Przebudowa przemysłu nie sprzyjała też najuboższej ludności miejskiej, która nędznie opłacana, mieszkała również w warunkach opłakanych. Bezdomni stanowili w tym czasie tylko wierzchołek góry lodowej. Cała ludność miast i wsi była uwięziona w czymś w rodzaju podziemnej nędzy. Obóz w Noisy stworzony w 1954 r. stanowił tylko jeden z przykładów warunków w jakich bytowała cała uboga ludność Francji, błakająca się z lepianek do pokoi umeblowanych, wynajmowanych na czas określony, z szop na narzędzia do różnego typu ośrodków społecznych. Wszyscy oni byli ofiarami ogólnego ubóstwa i chronicznego braku pracy, spowodowanego brakiem przygotowania zawodowego i zbyt ciężkimi warunkami życia.

Ojciec Józef widział to, co umykało opinii publicznej podczas fali entuzjazmu wznieconego przez Abbé Pierre. Nędza nie zniknęła z Francji ani z Europy Zachodniej. To prawda, że z powodu pewnego zmniejszenia liczby najuboższych, nie niepokoiili oni już współobywateli tak jak poprzednio. Politycy przestali o nich myśleć.

Nawet administracja przestała zajmować się ostateczną nędzą. Około 1956 r. tysiące dzieci było głodnych, a opinia publiczna nie niepokoiła się tym, ani nie domagała zdawania sprawy z tego faktu. Ojciec Józef zamieszkał w Obozie Noisy świadomy, że wyzwanie stanowiła nie tyle sprawa mieszkań, co nędza całego ludu. Ale musiał to tłumaczyć całemu krajowi, a czasem też swemu Kościołowi. Nie mógł po prostu zabrać się do zwalczania tej plagi. Świat, który go otaczał domagał się dowodów na to, że ta plaga istnieje, że stan ruiny i rozprzężenia całej grupy społecznej zasługuje na miano nędzy.

Od tej pory mamy już coraz więcej świadków życia Ojca Józefa. Między innymi liczne rodziny żyjące w nędzy na całym świecie. Ale posłuchajmy raz jeszcze ks. Bach, wiernego przyjaciela i konfratra, który go najlepiej rozumiał:

„Pojechałem do niego do Noisy-le-Grand. Było to dla mnie tak, jakbym się zjawił na księżycu. Były tam igloo<sup>15</sup> z ludźmi biednymi wszelkiego rodzaju. Nawet w baraku, gdzie on sam spał, umieścił gruzliczkę, która kasłała dzień i noc. Ja też tam spałem. Był to nędzny barak ze źle połączonych desek. Nie było ogrzewania. Jedynym luksusem była stara wanna, ale trzeba było chodzić po wodę do studni. Miał rzeczywiście zasługę mieszkając tam, podczas gdy mógł żyć inaczej”.

„Zostałem dziesięć dni, w tym jedną niedzielę. Nie wyobrażałem sobie takiego kontaktu z nędzą. Przychodziły dzieci i patrzyły na mnie wielkimi oczami, jak dzieci, które są głodne. Kupiłem im chleba. Przychodziły codziennie, żeby go dostać. Mój Boże, jakaż to była nędza. Gdy wróciłem do Moselle, miałem już tylko bilet powrotny, tak wielka była ta nędza. Litość brała. W Europie nie było się już do tego przyzwyczajonym”.

„Widziałem tam, że on robi naprawdę coś nadzwyczajnego. Był akceptowany przez wszystkich. Miałem echo z całego obozu. Nikt nie mógł go zaczepić. Komuniści, czy ludzie antyreligijni, wszyscy byli za nim. Wszystkich podbił. A było to coś niewyobrażalnego pod bicie tego świata w 1958 r. To byli ludzie, którzy przegrali w walce z nędzą, ale którzy znaleźli kogoś”.

---

<sup>15</sup> „Igloo” – małe baraki jednorodzinne z eternitu ustawione na gołej ziemi, bez podłóg, elektryczności, ogrzewania, przeznaczone dla ludzi bezdomnych. W podobnych rolnicy w rejonie Paryża hodowali świnie.



„Józef był opatrzością. Znał ich wszystkich. Nigdy nie miał grosza, ale miał ogromne pole dla swego złotego serca i swej bezbrzeżnej pomysłowości”.

Pole większe niż wyobrażał sobie ks. Bach. Pole bez granic. Jak przy takim ubóstwie, kiedy jedynym ziarnem jest nadzieja, Ojciec Józef sprawi, że wyda plon.

Pani Aubert, wdowa po kolejarzu, która pojechała za młodym wikarym z Tergnier do Dhuizel, by czuwać nad jego osobą, plebanią i naczyniami liturgicznymi, nie porzuciła go, gdy przeniósł się do Noisy: „Miałam małą rentę, byłam wolna, nie mogłam go tak zostawić”. Urządziła najpierw „igloo”, potem mały barak. Wraz z ks. Bach jest jednym z niewielu świadków, którzy piszą o okresie między listopadem 1956 a grudniem 1960 roku. Ona także ma serce ściśnięte, ale podobnie jak ks. Bach, a wbrew powszechnej opinii uważa, że Ojciec Józef jest „naprawdę na swoim miejscu”. Zgadza się tylko, że warunki są nieludzkie tak dla niego, jak i dla rodzin.

„Wstawiłam mu mały piecyk, który słabo tlił się, gdy był zapalony. Ale wiatr przewiewał przez źle połączone deski i było lodowate zimno. Łóżka nie było widać spod kawałków podartych kocy. Swoje koce już komuś oddał. Naliczyłam osiem kawałków kocy robionych z kwadracików kolorowej wełny zwisających z boków łóżka. Musiał trząść się z zimna w nocy, bo te kawałki były za małe, spadały przy najmniejszym ruchu. Rano znajdowałam je na ziemi”.

Ale pani Aubert wie, że Ojciec Józef ma inne zmartwienia: „Gdy przychodziłam na skrzyżowanie ulic, (ale czy te kałuże można było nazywać ulicami?) widziałam zawsze co najmniej trzy lub cztery kobiety, które czekały na pocztę, na zasiłki. Co dzień stały tam kobiety, którym brakowało pieniędzy, lamentowały, że nie mają co dać jeść dzieciom. Kupowały na kredyt albo przychodziły prosić Ojca Józefa, który miał puste kieszenie. Gdy przychodziły zasiłki myślę, że nikt z tych, co je otrzymywali nie oszczędzał. Trzeba było powetować sobie, że nie było dosyć jedzenia w poprzednie dni”.

„Zwłaszcza w zimie było ciężko. We wszystkich rodzinach byli chorzy, których należało oddać do szpitala. To stwarzało dodatkowe koszty, transport i inne. Widzieć, jak wam topnieją w rękach pieniądze to coś rozpaczliwego, coś nieludzkiego. Ci, którzy je mają, nie mogą tego zrozumieć. Do obozu przychodzili dawać rady: „Ja



na waszym miejscu”. Ale przecież nie byli na miejscu rodzin. Tylko Ojciec mógłby tak mówić, a on tego nie robił”.

„Był także problem wody. Ojciec Józef porobił studzienki. To była pierwsza rzecz, którą zrobił. Nikt, kto tego nie przeżył, nie może wiedzieć, co to znaczy chodzić po wodę z wiadrem setki metrów, a przecież tyle się jej zużywa, zwłaszcza gdy się żyje zatopionym w błocie. Ten czas stracony, zmęczenie, kto o tym myśli, kiedy ciepło, a woda płynie z kranu i uchodzi spokojnie do ścieków. Wszystkie te brudne wody, które widziałam przed igloo, te tłuste wody, które tworzyły kałuże i łączyły się z kałuzami sąsiadów. Nikt nie mógł wyjść nie zabłociwszy butów. A zimą to były ślizgawki”.

„Często dzieci muszą pracować. Więc nie idą do szkoły. Ciągną beczkę lub wiadro na wózku. Mają przemoczone nogi w swoich za dużych butach. Zimą trzeba chronić krany słomą lub starymi szmatami. Przed tymi, które nie zamrzły tworzą się olbrzymie ogonki. Trzeba stać na mrozie, czekając swojej kolejki. Jakież ciężary noszone w rękach i z bolącym krzyżem. Ileż nerwów wobec pustego wiadra, które trzeba iść znów napełnić! Lata charówki dla kobiet i dzieci. I kiedyż to się skończy?”.

„Każdy wie, ile odpadków zbierze się w ciągu dnia, zwłaszcza gdy jest się liczną rodziną. Jeżeli śmieci nie są wywożone, zostają na łasce psów, kotów, a zwłaszcza szczurów, które prędko je roznoszą. Dzieci wyrzucają je byle gdzie. To jest obrzydliwe i niezdrowe. Latem jest to opanowane przez muchy, od których nie można się uwolnić, mimo środków owadobójczych. A w dodatku deszcz pada na to wszystko i ma się wrażenie, że się żyje na śmietniku”.

„Ale najgorsze ze wszystkiego było może darmowe rozdawnictwo, które powodowało nie tylko wstyd, ale także niezgodę i kłótnie między rodzinami. Ponieważ wszystko było za darmo, to powodowało niezadowolenie, jedni uważali, że drudzy dostali więcej”.

„Kobiety przyjeżdżały z Paryża, żeby pomagać w rozdawnictwie, wszyscy się do tego mieszały. Ojciec Józef prosił mnie, żebym usuwała wszystko, co nie było dobre, ale one przychodziły za mną. To, co było niemodne i podarte kładły z powrotem na półki. Uważały za całkiem naturalne, że dają to, czego same nie chcą. Mówiłam sobie, że chciano ubierać biednych dziwnie, mieli być ubrani byle jak. To nie do wiary, co otrzymywaliśmy ze wszystkich stron. Mnóstwo kapeluszy starszych osób, surduty sprzed 1914 roku, boty na guziki, pieluszki

sfilcowane i poźółkle... Buty to był koszmar, obcasy połamane, podeszwy odklejone, trzeba było palić to wszystko”.

W tym koszmarnym świecie pani Aubert widzi Ojca Józefa wzywanego ze wszystkich stron. On, który przyszedł pełen lęku „ma zawsze słowo, gest, projekt dodający każdemu odwagi. Gromadzi ludzi, daje im serce”.

„Widywałam go często idącego wieczorem wielkimi krokami, ręce wciśnięte w kieszenie sutanny. Widywałam go, jakby osłabłego pod wielkim ciężarem, z czołem zatroskanym. Widziałam, jak płakał zakrywszy twarz rękami, gdy ciężkie ciosy waliły się na Obóz: odbierano dzieci, spaliło się przedszkole, pożary, w których tracono wszystko, młodych zabieranych w kajdankach... Widywałam go także z twarzą bladą ze złości, z głosem drżącym z bólu w obliczu zmarnowanej pracy. W kościele jest głęboko zaangażowanym księdzem, a na zewnątrz zwyczajnym człowiekiem, oddanym z pasją walce ze straszliwą niesprawiedliwością”.

Z perspektywy trzydziestu lat pani Aubert mówi jeszcze w 1987 r.: „Zawsze rozumie nędzę, jego działalność nie jest dziś taka sama, ale jest równie żarliwa. Wszystko zaczęło się z rodzinami, wszystko zależało od nich. To rodziny się zmieniły”.

## **Przywrócić prawo do wolności słowa i prawo do stowarzyszania się**

Co więc wydarzyło się, aby rodziny się zmieniły? Ojciec Józef mówi: „Musiałem najpierw żyć wśród rodzin. Pomału, pewne sprawy zaczęły mi się narzucać. Najpierw оголочение (...). Znałem biedę, gdy byłem wiejskim proboszczem. Podczas pierwszych miesięcy w Dhuizel niewiele miałem do jedzenia. Przyjechałem bez większych bagaży i długo jadłem z garnka. Ale to wszystko jest tylko оголочением powierzchniowym. Wokół mnie byli zawsze ludzie, którzy mogli mi pomóc. W Noisy оголочение było prawdziwe, bo wszystkie rodziny były jednakowo biedne. Nie miałem żadnej pomocy. To uczyniło mnie w pełni solidarnym z tymi ludźmi”.

„Potem narzuciła mi się inna rzecz. Przypominam sobie samotną matkę, która z nastaniem nocy zjawiła się z pięciorgiem dzieci. Wszystko, co mogłem jej ofiarować to połowę igloo, cztery i pół metra na pięć, na gołej ziemi. (...) Zastanawiałem się, co w tej

sytuacji zrobiłaby moja własna matka. Byłaby poszła do merostwa, zajęła przedpokój i powiedziała: nie wyjdę stąd, dopóki nie dostanę mieszkania. Myśl, że należy zmusić społeczeństwo, by przyjęło na siebie odpowiedzialność za ten stan rzeczy nie opuściła mnie od tego wieczoru”.

Problem stanowiło więc, w jaki sposób zmusić społeczeństwo, nieświadome niesprawiedliwej nędzy w swoim łonie, by poczuło się odpowiedzialne? Ale o jaką odpowiedzialność chodzi? Czyż nie mamy Państwa – Opatrzności, czy nie wchodzimy w erę powszechnego dobrobytu? Jeśli rodzinom brak jest wszystkiego, kto jest za to odpowiedzialny? Czyż ich słabość nie rzuca się w oczy? Lud w nędzy? A może raczej lud, któremu brak woli? Czy już nie od dawna przezywano tego księdza „proboszczem motłochu”?

Walka przeciw wielkiej biedzie, siłą rzeczy, stawała się walką o godność, o prawo tożsamości historycznej, prawo do zabierania głosu i mówienia we własnym imieniu. Ojciec Józef zrobił jedyną rzecz praktyczną, rozsądną i słuszną w tych warunkach. W Obozie Noisy-le-Grand stworzył wraz z rodzinami stowarzyszenie. Odnowił wolność stowarzyszania się, refleksji i wspólnego zabierania głosu. Od 1957 r. Ojciec Józef zaangażował się wraz z rodzinami, nie używając jeszcze tego określenia, w walkę o Prawa Człowieka. Tworząc „Grupę działania, kultury i zmiany mieszkań mieszkańców prowincji regionu paryskiego”, wkrótce wspomaganą przez „Europejskie Bractwo Budowniczych”<sup>16</sup>, złożył swoje własne osiągnięcia człowieka i księdza w ręce rodzin, od których nikt nie oczekiwał niczego dobrego. Świat nie zwrócił na to uwagi. Co najwyżej bliższe otoczenie wzruszało ramionami. Jednakże Ministerstwo Spraw Wewnętrznych było nieufne.

„Bardzo prędko zorientowałem się, że sami nic nie osiągniemy. Zaledwie stowarzyszenie zostało założone, policja wezwała mnie, by jej zdać sprawę. Między członkami zarządu niektórzy mieli do czynienia z sądami, siedzieli w więzieniu. Co ja robię? Stowarzyszenie złoczyńców?... Zwróciłem się do przyjaciela protestanta i stworzyliśmy nowe stowarzyszenie. Mój przyjaciel chciał, by się nazywało

---

<sup>16</sup> Europejskie Bractwo Budowniczych – organizacja szwajcarska rekrutująca młodzież do prac społecznych, głównie fizycznych. Ojciec Józef zwrócił się do nich o pomoc. Niektórzy zostawali dłużej, pomagając także w działalności kulturalnej na terenie obozu.

„Aide à Toute Détresse” (Pomoc dla Wszelkiego Nieszczęścia). Straciliśmy więc nazwę, która znaczyła coś ważnego dla rodzin, ale zgodziły się. To nie zmieniało naszych celów”.

Istotne było, że to same rodziny były założycielami. Ojciec Józef nigdy nie chciał czerpać chwały własnej z tej inicjatywy. Chciał uczynić z najbiedniejszych pierwszych członków, autentycznych partnerów: „co mogłem zrobić innego. Nie myślcie, że okazywałem zbytnią gorliwość. Byłem swój, byłem z ich wspólnoty. Było mi zimno i byłem głodny jak oni. Wyśmiewali się ze mnie, bo nie wykorzystywałem swej pozycji księdza (...). Z kim innym mógłbym się sprzymierzyć? Żyłem takim samym życiem jak rodziny. Sześć miesięcy to można było wytrzymać. Rok, to już było nie do zniesienia, a na początku drugiego roku musiał być albo bunt, albo poszedłbym na dno wraz z nimi. Z tego strachu, że sam nie wytrzymam dłużej, zrodziło się pierwsze stowarzyszenie: to był sposób na dzielenie się codziennym dramatem. Wszystko co przyszło potem rodziło się zresztą w ten sam sposób, z życia, z nadmiaru niesprawiedliwości, ze strachu, że zatoniemy razem. Wszystko zrodziło się ze wspólnego życia, nic z teorii”.

Tak więc równocześnie strach, ale też zaufanie do tych braci najbardziej poniżanych, najnędzniejszych w oczach świata. Przez długie lata strach i zaufanie będą nierozłączne. „Bez strachu, czy byłaby nadzieja?” – mówi uśmiechając się Ojciec Józef – „Może to jest droga krzyżowa? Ale to była nasza szansa”.

## Rozdział dziewiąty

### „Wypuść mój lud”

#### Ubodzy naszymi mistrzami

Ojciec Józef z 1959 r. to „Kapłan Boży w kościele, a w świecie człowiek oddany całkowicie walce o prawa człowieka”. Taki pozostał w naszych oczach. Od tego roku jesteśmy coraz liczniejsi – rodziny, przyjaciele, pierwsi wolontariusze – spotkaliśmy go, pokochali, poszli za nim. A powody, które nas zatrzymały, a także przemieniły, przedstawiamy w tej książce.

Spotkaliśmy człowieka opowiadającego się jednoznacznie za ludem, którego istnienie nawet poddawano w wątpliwość, ludem w łachmanach, pozbawionym wszelkiej władzy, wszelkiego prestiżu. Spotkaliśmy człowieka, który nie przemawiał na temat tego wyboru, ale żył nim na naszych oczach, godząc się, że zła opinia rodzin plami też jego sutannę. „Jeśli jest z nimi, to znaczy, że nie jest lepszy od nich”. Tak zda się słaby pośród swoich, znoszący każdego dnia przeciwności, przeszkody stojące na drodze do wyjścia z piekła – stąd czerpał swoją determinację? „Wypuść mój lud”... Było jasne, że jest zdecydowany wyprowadzić z mroku te rodziny, gdy tymczasem zewsząd zagradzano mu drogę, w szczególności do przyzwoitych mieszkań.

Władze lokalne i państwowe chętnie widziałyby zniknięcie tego, co niektórzy określali jako gangrenę („byliby skłonni przyznać mi znaczne subwencje, gdybym wyprowadził całą tę ludność w jakieś miejsce odizolowane, w odległej prowincji”). Ojciec Józef nie bierze tego w ogóle pod uwagę. Jest dwieście pięćdziesiąt dwa igloo, trudno jest doliczyć się rodzin, bo jedni przyjmują drugich. Jest co najmniej tysiąc dzieci, „których rodzice kręcą się w koło, w nędzy jak w kieracie. Szybko zrozumiałem, że jeśli nie będziemy razem budować, nawet bez środków, pójdziemy na dno”. Ojciec Józef

robi więc najpierw to, czego nikt nie może mu zabronić: buduje kaplicę i organizuje katechizację. „To do mnie należy. To w tym celu biskup mnie tu przysłał. Nie będziecie mi chyba przeszkadzać w przynoszeniu im Boga”. „W nocie Bożego Narodzenia, te, gdy ziemia zamarzała, jak i w te, gdy nogi zanurzały się w lepkiem błocie, stół „czuwania”<sup>17</sup> jest zastawiony dla wszystkich. „Nic nie brakuje” – stwierdza pani Aubert, a otoczenie się dziwi: „Jak on to zrobił ten proboszcz? Przesadza, mają ciasto, indyka, szampana!”. Pani Aubert dodaje: „było zawsze coś trudnego do określenia, modlitwa, radość z powodu Dziecka, które miało się narodzić, ale także wszystkie lęki o własne dzieci i o nadchodzący rok, jeszcze jeden rok w igloo”... W Wielki Piątek Droga Krzyżowa odzyskuje całe swe znaczenie na uliczkach Obozu. A otoczenie także się dziwi: „Tego się już nie robi, co mu jest, że wskrzesza niemodne zwyczaję?”<sup>18</sup>.

Rodziny Obozu mają własne zdanie o tym wydarzeniu, które tak opisuje Karol Sleeth – amerykański protestant, jeden z pierwszych wolontariuszy: „W Wielki Piątek brałem udział w Drodze Krzyżowej prowadzonej przez Ojca Józefa. Przechodząc przez środek Obozu, pobudzał do aktywnego udziału wszystkich. Wielki tłum złożony z dorosłych, dzieci, psów przylączał się spontanicznie. W centrum tego zamieszania, Ojciec Józef wprowadzał rodziny jako aktorów w lekturę tekstów przy każdej stacji. Wyjaśniał je na przykładach z życia codziennego. Przy stacji, gdzie Weronika ociera Twarz Chrystusa, powiedział do matki rodziny pchającej się w tłumie: „To tak, jak pani, gdy przebacza pani mężowi, który panią pobił i rozpoczyna z nim życie od nowa”. Wszystko to odbywało się przy krzykach, w rozgardiaszu, szczekaniu psów, przepychaniu, początkach bójek. Tak zapewne działo się na tamtej Drodze Krzyżowej. Widziałem, że rodziny były głęboko poruszone. Droga Jezusa ku Golgocie była ich drogą. Jak nie być wstrząśniętym przez prawdziwe wewnętrzne porozumienie tego księdza z tymi mężczyznami i kobietami, których tak wyraźnie zna i kocha i których przez swą czynną wiarę umie wezwać do przewyciężania siebie, do wielkości. Wracając, by się położyć spać, powiedziałem sobie, że przeżyłem przedsmak Zmartwychwstania”.

---

<sup>17</sup> We Francji nie ma zwyczaju wieczerzy wigilijnej. Dopiero po pastercie, a więc już w pierwszy dzień Bożego Narodzenia w nocy odbywa się uroczysty posiłek.

<sup>18</sup> Było to jeszcze przed tym, jak papież Jan Paweł II przywrócił w całym Kościele zwyczaj odprawiania Drogi Krzyżowej.

To w 1962 r. po Drodze Krzyżowej zakończonej w kurzu i przy krzyku dzieci, Ojciec Józef powtórzy w kaplicy słowa św. Wincentego a Paulo (te słowa rodzący się Wolontariat przyjmie za swoją dewizę): „Ubodzy są naszymi panami. Przypominają nam, że Jezus przechodzi, potykając się, przed naszymi drzwiami drogą ku Golgocie”.

„Biedni są naszymi panami”. W tych latach wspólnego życia w Obozie Noisy słowa św. Wincentego nabierają nowego znaczenia. Ojciec Józef wypełnia je treścią. Za pośrednictwem jego osoby stają się wezwaniem skierowanym do wszystkich ludzi bogatych i biednych, bez różnicy wykształcenia, kultury czy wiary. Ale Ojciec Józef uważa, że ubodzy są nie tylko panami, którym należy służyć, lecz stają się mistrzami mającymi nauczyć nas nowego spojrzenia na świat. „Biedni mają doświadczenie, mają jakieś opinie. Niezależnie, czy jesteśmy ich sąsiadami na rozwalającym się osiedlu, czy zamieszkujemy odległe luksusowe dzielnice, mogą nas nauczyć własnej wyjątkowej wiedzy o człowieku, o miłości, o sprawiedliwości, o dzieleniu się, nawet jeżeli z braku wykształcenia myśli wyrażają z trudem, język mają ubogi, a słownictwo niepewne”.

Ojciec Józef w tych latach przypomina nam często, że w zaangażowaniu na rzecz ubogich nie jesteśmy wynalazcami, lecz spadkobiercami. Św. Wincenty mówił: „Mam odnosić się z szacunkiem do biednego wieśniaka czy biednej kobiety nie ze względu na ich wygląd zewnętrzny, ani według tego, co wydaje się dostępne dla ich poziomu umysłowego, tym bardziej, że najczęściej prawie nie mają wyglądu zewnętrznego ani umysłu osób rozumnych, tak są ordynarni i przyziemni. Ale spójrzcie na drugą stronę medalu, a zobaczycie, dzięki światłu jakie daje wiara, że Syn Boży, który chciał być biednym, jest dla nas widzialny w tych właśnie biednych”. Czy prawidłowo rozumieliśmy te słowa? Najbiedniejsi nie stanowią dla chrześcijan tylko symbolicznego odbłasku Pana. W Obozie Noisy-le-Grand Ojciec Józef uczy rodziny i pierwszych wolontariuszy, że każdy człowiek jest godzien miłości. „Jest bardzo trudne nawet – a zwłaszcza – dla sąsiadów, kochać biednych, tak są niepodobni do ludzi. Ale tylko od naszego spojrzenia zależy, by ośmielili się podnieść głowę i by odkryli, że są przemienieni, zdolni, inteligentni. Cóż nas mogą obchodzić ideologie, byle tylko rodziny najbardziej upośledzone odnajdywały w nas zwierciadło swojego człowieczeństwa. To człowieczeństwo nie jest ideą ani bajką, ono istnieje. Od



wieków najbiedniejsi nam to mówią. Gdy znieważają nas w naszych przytułkach, w ośrodkach dla ubogich, u drzwi naszych kościołów, to mszczą się za to, że nie są kochani dla siebie samych, jak winni być kochani bracia, którymi są”. Czyż św. Paweł nie powiedział: „Każdy otrzymuje dar Ducha Świętego dla dobra wspólnego”? Zdaniem Ojca Józefa słowa te odnoszą się do wszystkich ludzi, zaczynając od najbardziej poniżonych i należy pomagać każdemu człowiekowi, by mógł ukazać ten dar, który w nim JEST. Kapłaństwo traktował od początku jako współuczestniczenie w cierpieniach każdego człowieka.

Czy, gdyby Ojciec Józef miał inną koncepcję kapłaństwa, Obóz stałby się w tych latach sześćdziesiątych punktem wyjścia dla Ruchu? „Kochać ludzi, to chcieć, by byli wolni i więksi niż my sami jesteśmy. Pójście aż do końca naszego powołania kapłańskiego pociągnie nas wcześniej czy później na teren pracy obywatelskiej i to tam świat nas oczekuje”. Świat nie zawsze czekał życzliwie.

Od 1958 r. zamyka się rozdawnictwo darmowych posiłków. „Mężczyźni i kobiety ze swymi menażkami obchodzili Obóz z zewnątrz, żeby nie przechodzić przed moim barakiem, tak się wstydzieli, tak wiedzieli, że wstydę się za nich. „To dla mojego psa” – mówili, kiedy mnie jednak spotkali (...). Wszystkie te gesty pomocy były równocześnie gestami poddania się rodzin, zamknięcia się w tym obozie cierpienia (...). One tylko zubażały i co dzień trochę głębiej poniżały rodziny. To popchnęło mnie do stworzenia z mieszkańcami stowarzyszenia. Trzeba było za wszelką cenę doprowadzić do pozostawienia na miejscu tylko wsparcia istotnego i wartościowego; trzeba było wygnać najeźdźców”.

### **Biblioteka zamiast darmowych posiłków, przedszkole zamiast rodzin zastępczych**

Jaka pomoc jest istotna ? Rodziny to powiedzą. Darmowe posiłki ustępują miejsca bibliotece, mimo że w igloo nie ma elektryczności. Paczki od rodzin z USA, które przyjęły pod opiekę niektóre rodziny z Obozu, przychodzą coraz rzadziej. Otwiera się przedszkole. Rozdawnictwo ubrań przekształca się w wyprzedaż, a zimą 1959-60 stają mury ogniska dla kobiet i nowoczesnej pralni. Następne jest ognisko dla mężczyzn i młodzieży oraz pracownia dla zajęć cha-



łupniczych, proponująca pracę kobietom i dziewczętom. Miesiące wakacyjne są nie do wytrzymania w igloo. Urządza się więc kolonie letnie zastępujące dawne „wakacje”, które polegały na zabieraniu dzieci na czas nieokreślony przez zamożne rodziny szwajcarskie lub belgijskie. Rodzice tracili wtedy wszelką kontrolę nad przyszłością własnych dzieci. Procent uczęszczających do szkoły podnosi się między 1958 a 1965 rokiem z 60% do 90%. To są „realizacje-odskocznie”, które zakładają nieustanną walkę o przeniesienie wszystkich do specjalnego osiedla „promocji rodzinnej” umożliwiającego stopniowe przystosowanie do życia w normalnym mieszkaniu (nie zapominajmy, że niektóre rodziny spędziły w Obozie nawet 15 lat). Ale najważniejsze jest życie codzienne. „Ojciec Józef każdego z nas zna. Dla niego każdy jest kimś, nikt nie jest taki sam jak drugi. A w gruncie rzeczy to Ojciec Józef zrobił kogoś z każdego z nas”. Czyżby pan Lefaou, który żył w Obozie już 18 miesięcy przed przyjazdem Ojca Józefa nie był kimś? Był bardzo dumny, bo mając pięćdziesiąt lat znał się na położnictwie, a na wezwanie stowarzyszenia Emaus bił w bęben, by ogłaszać nowiny ważne dla mieszkańców. „Ale z Ojcem Józefem nie było już tak samo. Można mu było powiedzieć nasze opinie, chodziłem dyskutować z nim i słuchał mnie. On nam przywrócił godność”.

### **Kultura orężem w walce z nędzą**

Między 1957 a 1970 rokiem Ojciec Józef prowadzi ciężką walkę o przekwaterowanie rodzin z obozu, a równocześnie o prawo do godziwego mieszkania dla wszystkich biednych. Obie bitwy zostają wygrane. W momencie wyburzenia obozu pod nowe osiedle mieszkaniowe, każda bez wyjątku rodzina, dostaje jakieś mieszkanie, a także zostają zbudowane dwa osiedla „promocji rodzinnej”. Równocześnie w tle rozgrywa się jeszcze inna walka. Ojciec Józef walczy przede wszystkim przeciw zniechęceniu, złości, przeciw: „a czy to warto?” i o godność każdego. Walczy o kulturę. Tworzy bibliotekę, wprowadza dzieła sztuki (dzwonnica, mur, który odbija promienie wschodzącego słońca w kierunku przedszkola, reprodukcje płócien: Bazaine, Miro, Chagall zawieszane na ścianach ogniska dla kobiet...). Marzenie Roberta Garric i jego ekip społecznych realizuje się w rozmiarach, o których te ekipy marzyły,

rzadko mogąc je osiągnąć. Witraże Jana Bazaine czynią z kaplicy w formie igloo świetliste miejsce modlitwy i ufnej medytacji Słowa Bożego pokazujące jak Ojciec Józef doprowadza aż do końca swoje ideały. To ta walka o kulturę i życie duchowe, więc o pełnię człowieczeństwa i o godność każdego, liczy się dla pana Lefaou tak jak i dla wszystkich rodzin. „Czemu służyłoby stowarzyszenie, gdybyśmy się poddali?” – mówi pani Permentier, której mąż nie pracuje już od sześciu lat.

Ale co w postępowaniu Ojca Józefa niepokoiło tak dalece całe otoczenie? Być może, gdyby pozostał sam na placu boju, gdyby był tylko skutecznym działaczem lokalnym, nie poruszyłby tak współczesnych. Ale tak nie było. Na swoje święcenia Ojciec Józef wybrał jako dewizę zdanie: „wyjedź na głębię i zarzuć sieci”. Na głębię, z jakim przesłaniem? Jakież to są sieci, w których pragnie gromadzić ludzi?

Osoba i życie Ojca Józefa od czasu, gdy osiedlił się w Obozie Noisy-le-Grand, odpowiada na pytanie, które przez wieki zabija klina ludzkości. Jeżeli każdy człowiek jest człowiekiem, to czy najbardziej opuszczony, najbardziej pogardzony nie jest pierwszym w porządku miłości, czy nie jemu pierwszemu należy się sprawiedliwość? Czy nie powinien być pierwszy we wszystkim? Czy bez niego istnieją Prawa Człowieka? Może wszystkie nasze walki są niesprawiedliwe, jeśli to nie on jest naszym pierwszym partnerem? Dotyczy to pierwszeństwa najbiedniejszych we wszystkich naszych wspólnotach, naszych stowarzyszeniach i naszych programach, a to przewraca ustalony porządek. Co warte są nasze przedsięwzięcia, jeśli nasi bracia wydziedziczeni, usunięci poza nawias społeczeństwa, nie mogą w nich wziąć udziału w pierwszym rządzie?

„Ale czy społeczeństwo kiedykolwiek będzie chciało partnerstwa z najbiedniejszymi?” – Ojciec Józef zadaje sobie to pytanie przez całe życie.

## Rozdział dziesiąty

# Zarzucanie sieci

### Narodziny ruchu idącego pod prąd

Wróćmy jeszcze na chwilę do wydarzeń z roku 1957: trzysta rodzin słoczonych na pustkowiu, aby nie wystawiać swojej nędzy na widok publiczny, jednoczy się wokół księdza, tworząc stowarzyszenie. Jego nazwa: „Grupa działania, kultury i zmiany mieszkań”. Jego cel: zerwać z zamknięciem, wyjść z izolacji, dać możliwość lepszego życia materialnego, tworzyć ośrodki rozwoju kulturalnego, budować solidarność ze światem zewnętrznym i przez to wszystko sprawić, by zaistniał lud, któremu należy umożliwić zajęcie sprawiedliwego miejsca w historii ludzi i współudział w budowaniu przyszłości. „To było wiele” – powie w 1987 r. Ojciec Józef, jakby usprawiedliwiając się. „Ale naprawdę robiliśmy to właśnie. Nie byliśmy jeszcze tego świadomi, ale byliśmy już w trakcie tworzenia międzynarodowego stowarzyszenia dla obrony Praw Człowieka”.

„Bardzo prędko zrozumiałem, że sami nic nie osiągniemy. Otworzyliśmy konto w banku i zaangażowaliśmy księżową panią Fouchet, która mieszkała w Obozie. Ja sam zacząłem pisać apele. Opowiadały one o cierpieniach i godności rodzin. Miały wpływ i przyczyniły się do wyjaśnienia opinii publicznej przyczyn uporczywego trwania nędzy. W ten sposób powstał ruch pomocy i tworzenia opinii”. Skromne słowa mówiące o wzroście stowarzyszenia, dzięki któremu mogły być wprowadzone w życie pierwsze dokonania w Obozie: studzienki uliczne, cementowe podłogi w igloo, przedszkole, lokale dla różnych grup mieszkańców, kolonie letnie. Z czasem to przymierze zwykłych obywateli nabiera rozmachu. Apele Ojca Józefa ze skromnych powielanych kartek stają się wkrótce gazetką a potem miesięcznikiem „Igloos”, który świadczy w latach 1960-1985 o dość nieoczekiwanym

rozwoju. Małe stowarzyszenie wychodzi z poczwarki. Z garstki osób nie znajdujących uznania w oczach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, rodzi się rzeczywisty ruch myśli i działania. Ruch oprze się na Wolontariacie jednoczącym członków wszystkich narodowości, kultur i przekonań religijnych. Osiągnię status konsultanta przy wielkich instytucjach europejskich i światowych. Najbiedniejsze rodziny z czterech kontynentów zajmą w nim pierwsze miejsce.

Jest prawdą, że „wszystko narodziło się z życia (...), wspólnego życia, nigdy z teorii”. Pismo „Igloos”, które mówi o życiu najuboższych i do którego dochodzą stopniowo konferencje i kolokwia, daje początek akcji pomocy, ale także zagorzałym sprzeciwom. Z pewnością zetknięcie w latach sześćdziesiątych z prawdą: „dzieci umierają z zimna”, „gruźlica podkopuje życie rodzin”, rodzi przyjaźnie, ale prowokuje także niedowierzanie, rozdrażnienie, waśnie. Stanowi ciężar, budzi czasem nieoczekiwane reakcje, sprzeciw przed uznaniem nędzy za pogwałcenie Praw Człowieka. Sprzeciw przed uznaniem godności ofiar, wyraża się często przez prawdziwe obelgi w stosunku do rodzin tak w mediach, jak i w administracji i blokuje na długo opracowanie sprawiedliwych praw. Bo jak zaradzić sytuacji, której opinia publiczna nie zgadza się nazwać prawdziwym imieniem? Jak rozwinąć politykę zmierzającą do uznania Praw Człowieka w stosunku do ludności, którą współcześni określają jako niestałą, a rodziny jako bezwolne lub nawet upośledzone umysłowo.

Nie dotyczy to tylko samej administracji. To cała klasa intelektualna sili się na wytłumaczenie, że Ojciec Józef się myli. Myli się co do spraw biednych. Socjologia i psychologia dowodzą tego, co świat mówił od wieków o najbiedniejszych: te rodziny nie są biedne, ale nieprzystosowane, społeczne, z marginesu, psychopatyczne, to rodziny z problemami, które trzeba wychowywać. „Świat pozbawił je wszelkich dóbr, nawet tego ostatniego prawa, prawa, by być uznany za biednego. Co im teraz pozostaje, aby się bronić?” – pyta Ojciec Józef. Na razie Minister Zdrowia Publicznego wydelegował psychiatrę i socjologa do Obozu w Noisy, żeby wyjaśnić sprawę.

## **Badania naukowe w obronie honoru najbiedniejszych**

Ojciec Józef udręczony przez upokorzenia, które muszą znosić rodziny, już stworzył małe biuro badań naukowych w nadziei zmo-

bilizowania poważnych badaczy. Od 1961 r. zaczyna cierpliwie i pokornie otaczać się ludźmi nauki, którzy odkryją i powiedzą na temat wielkiego ubóstwa wiele rzeczy, które on zna od dziecka. Na jego prośby odbywają się w UNESCO w 1961 i w 1964 roku kolokwia na temat ubóstwa. On sam będzie przewodniczył grupie, która zajmie ich miejsce, spotykając się w Paryżu od 1962 do 1967 roku. W 1964 r. stworzy w łonie Międzynarodowego Stowarzyszenia Socjologii (A.I.S) grupę badań międzynarodowych nad ubóstwem z udziałem socjologów i ekonomistów francuskich, a także belgijskich, angielskich, duńskich, norweskich i amerykańskich. Na otwarciu pierwszej sesji nie boi się powiedzieć: „Najbiedniejsi dźwigają ciężar ignorancji świata. Zamyka się ona nad nimi jak kłapa za każdym razem, gdy starają się podnieść głowę”.

I tak człowiek szerokich lotów, człowiek z terenu, spędza wiele czasu w miejscach badań naukowych, aby pchnąć naprzód wiedzę na temat ubóstwa w tej Europie, która zdaje się o nim całkowicie zapominać. Ruch przestaje się nazywać Ruchem Pomocy dla Wszelkiej Nędzy, lecz przyjmie nazwę Czwarty Świat (zachowując litery ATD jako znak ciągłości organizacyjnej). Będzie on pierwszą organizacją pozarządową do walki z nędzą, dysponującą instytutem badawczym. Ani twórca, ani wolontariusze, którzy w nim pracują nie unikną krytyki. „Robią z ludzi biednych króliki doświadczalne dla swoich badań”. Ale nie przeszkodzi to badaniom nad ubóstwem w nabraniu rozmachu w całej Europie dzięki temu księdzu, który wchodzi na teren uniwersytetów w zniszczonej sutannie.

Ruch rozprzestrzenia się zresztą w tym samym rytmie, co wzbudzone przezeń debaty. W 1961 r. rodziny ze slumsów Campa i Courneuve przysły w delegacji: „Ojciec jesteście prześladowani, tylko Ojciec może coś zrobić”. W 1965 r. miasto Paryż prosi o obecność stowarzyszenia w „Cerisaie”, osiedlu baraków dla bezdomnych w Stains. Oczekują także osiedla Emouleuses w Créteil i Grands Chênes w Wersalu. Oczekuje – niespodzianka! – Lower East Side w Nowym Yorku, przytułek w Frimhurst w Anglii, Heuvelkwartier w Bredzie w Holandii, ubogie przedmieścia w Luksemburgu, a także Fryburg w Szwajcarii, dzielnica Molenbeek w Brukseli i koszary opuszczone, ale przeludnione w Rastalt w Niemczech Zachodnich. Do Ruchu przyłączają się ludzie ze wszystkich kontynentów. Od 1965 r. Ojciec Józef jest wzywany do Indii.

W Europie, w krajach uprzemysłowionego Zachodu, intuicja Ojca Józefa z 1957 r. sprawdza się w ciągu tych wszystkich lat. Chodzi rzeczywiście o lud, o własną wspólną historię, historię ludzi żyjących w nędzy, tę samą niezależnie od granic państwowych. Ludzi bez wykształcenia i bez stałej pracy, podobnych do siebie, nie należących do klasy robotniczej, o której w tych latach mówi się tak wiele. Lud ten posiada specyficzną wspólną pamięć, sposób życia i myślenia oraz własne związki pokrewieństwa. Rodziny odnalazły szeroką przynależność i nie jest już ona wstydliva. Wraz z Wolontariatem odtwarzają historię Czwartego Stanu, tego „quatrième ordre” uznanego za niegodnego, by mieć reprezentację w godzinie Rewolucji Francuskiej: „Jesteśmy Czwartym Światem” – mówią teraz z dumą.

W czasie zgromadzenia w 1973 r. młodzi Czwartego Świata zachwycają się: „mamy historię, to wspaniale (...) Ojciec Józef tak mówi a on ma rację”. To prawda, że on sam nie mógł się mylić ani co do „nowych biednych” – których odkrywają kraje bogate w latach siedemdziesiątych – ani co do biednych „od zawsze”. Jest świadkiem odwiecznej nędzy biednych z dzielnicy Świętego Mikołaja w czasach swego dzieciństwa, rodzin w dzielnicach Saint-Crepin czy Saint-Medard w latach seminarium w Soissons, jak i tych w Moulin Neuf w Stains w latach siedemdziesiątych. Ponieważ twierdzi się, że nie mają one własnej historii, wolontariusze tak, jak już powiedzieliśmy, stają się kronikarzami. Ojciec Józef zaprojektował raport z obserwacji codziennej jako „révision de vie”<sup>19</sup>, gwarancję wspólnoty z cierpieniami i nadzieją najbiedniejszych. „Raport jest jak modlitwa, która nas jednoczy niezależnie od naszych religii” – mówi Ojciec Józef. Na jego życzenie przywiązuje się specjalną wagę do historii, zwracając ludziom ich korzenie, ich tożsamość, ich godność uczestników historii ludzkości.

Gdy rodziny to zrozumiały – one, które tak bardzo wstydziły się swojej przeszłości – same zaczęły szukać, pisać, dyktować. Stało się to koło roku 1968. I wtedy zaczął się zmniejszać niepokój, który towarzyszył Ojcu Józefowi od momentu zamieszkania w Obozie Noisy. Cierpienie z powodu rodzin nigdy go nie opuściło. Zawsze współistniało w nim

---

<sup>19</sup> révision de vie – w JOC, a także z czasem w innych organizacjach religijnych, zastanawiano się wspólnie nad niektórymi wydarzeniami z życia członków, „przeżywając” je, jakby na nowo i osądzając w świetle podjętego zaangażowania chrześcijańskiego.

z nadzieją, optymizmem, humorem. Wywoływało ono zresztą także ataki złości, które jak burze oczyszczały zachmurzone niebo, uspokajały wszystkich, przyprowadzały ponownie wszystkich i każdego z osobna do stanu pokory, a równocześnie mobilizowały do walki. Ale dzięki pisaniu jego lęk, wywołany brakiem odporności rodzin, mógł się nieco uciszyć: „Ten, kto przyjmuje swoją przeszłość, ten kto jest dumny z mocy przesłania, dumny z tego jak walczyli z losem jego przodkowie, może stać się obrońcą swego ludu, działać na rzecz praw nie własnych, ale Praw Człowieka”.

## **Prawa Człowieka i reprezentacja polityczna**

Rok 1968 był momentem zwrotnym. Wielkie wydarzenia tej wiosny przyśpieszyły jego przyjście, ale byłby przyszedł tak czy tak. Ojciec Józef nie tylko działał osobiście z rodzinami z obszarów nędzy, ale tworzył historię wraz ze swoim ludem i popychał go tak, jak popychał wszystkich wokół, tak jak „popychał” samego Boga, by ta historia posuwała się szybciej, zmierzając do celu wyznaczonego już od 1957 r. w sercu tamtego Obozu zatopionego w błocie. W sposób pozornie mało oryginalny stara się o nieco lepsze warunki życia przy pomocy bardzo prostych środków: przedszkole dla maluchów, kluby i podróże dla młodych, zebrania rodziców... Ale każdy w pobliżu Ojca Józefa musiał widzieć, że wszystko to wpisuje się w historię, która nie jest banalna: chodziło o to, by „zaistniał lud i zajął należne mu miejsce tak w historii ludzi, jak i w tworzeniu wspólnej przyszłości”. Był to projekt i język z pewnością nieoczekiwany w administracji państwowej. Lecz w pobliżu Ojca Józefa stawał się nie tylko do przyjęcia, ale stawał się normalny. Jak nie pragnąć pełnego człowieczeństwa, pełnej sprawiedliwości wobec tego, co aż do ostatnich dni piętnował jako nieludzkie, niesprawiedliwe, pełne cierpienia. Rodziny żyjące w wielkim ubóstwie były w każdym razie tego świadome, nawet jeśli brakowało im słów, by to wypowiedzieć: „on zwraca nam godność, razem z nim jest się szanowanym, z nim dojdzie do tego, że wszyscy podadzą sobie rękę”.

Na razie we Francji wydarzenia 1968 roku skierowały ATD Czwarty Świat ku tej przyszłości, której Ojciec Józef oczekiwał. Z powodu strajku generalnego nastąpił najpierw okres zwiększonych braków i upokorzeń. Nie było zasiłków ani pracy, ani najmniej-



szych nawet zarobków. Nie było pomocy lekarskiej ani możliwości kontaktu z rodziną czy sąsiadami zdolnymi przyjść z pomocą. Cały lud na dole drabiny społecznej zagrożony był głodem w imię walki, która go nie dotyczyła i dla której nikt nie potrzebował jego odwagi. Trudny okres, w którym część wolontariuszy kwestowała na ulicach Paryża, aby dzieci nie poumierły z głodu, podczas gdy inni, biorąc za wzór wydarzenia z 1789 roku, szli od osiedla do osiedla, by tworzyć Księgi Zażaleń. Dla Ojca Józefa była to chwila jak nigdy, by przemienić klęskę w zwycięstwo. Z pieniędzmi i żywnością, owocem zbiórek ulicznych szedł także od osiedla do osiedla: „musicie tworzyć komitety, to, co inni z urzędu robili w waszym imieniu, będziecie robić sami. Wy będziecie rozdawać pieniądze i żywność, ale sprawiedliwie dając najpierw tym, którzy tego najbardziej potrzebują”. Zdezorientowanej ludności, która nie nauczyła się dzielenia i która odmawiała wzięcia na siebie tej odpowiedzialności mówił: „To będzie dziś albo nie stanie się nigdy. Więc nie jesteście obywatelami?”.

Od maja ze strajkującymi studentami Ojciec Józef tworzył „wiedzę na ulicy”, tę „wiedzę udostępnianą”, która rozpowszechniła się z czasem w miejscach nędzy czterech kontynentów. 14 lipca 1968 roku w La Cerisaie, osiedlu najnędzniejszym w regionie paryskim, ci sami studenci stworzyli z rodzinami spektakl na temat rewolucji francuskiej. Stolica w najmniejszym stopniu się tym nie zainteresowała, ale najbiedniejsze rodziny francuskie być może niepostrzeżenie zaczęły „zajmować w historii ludzkości należne im miejsce”. Ich walka przyjęła wreszcie nazwę: walka o Prawa Człowieka. Od tej pory droga była otwarta dla autentycznej reprezentacji Czwartego Świata wszędzie tam, gdzie inni obywatele rozprawiali i decydowali o przyszłości.

## **Z najbiedniejszymi nie ma śmierci bez zmartwychwstania**

Rolę reprezentowania Czwartego Świata Ojciec Józef przyjmował na siebie od 1957 roku. Nigdy nie zrozumieliśmy do końca, jak umiał on pozostać wiernym ideałowi zakopania się wśród najbiedniejszych, idąc równocześnie do świata, zarzucając sieci na głębokie wody. Jak on to robił, aby być w każdej chwili do dyspozycji, by dzielić całym sobą niepokoję, katastrofy i przebłytki nadziei. Pani Aubert



przypomina sobie z pierwszych lat: „Nie szedł nigdzie, jeżeli go nie poproszono. Ale kiedy spadało nieszczęście, wtedy przychodził zawsze i często późnym wieczorem. Jeśli było trzeba, zostawał z nimi całą noc. I nie odchodził nigdy, dopóki nie przywrócił pokoju”. Ale dodaje: „trzeba było wciąż zaczynać od nowa. Zawsze były rodziny, które były nieszczęśliwsze od innych, a także przybywały wciąż nowe”. Ile posiłków spożytych wspólnie wokół stołu rodzinnego. Ile świąt, ślubów, chrztów, ile czasu spędzonego z dziećmi (czy było choć jedno dziecko, które by mu się nie zwierzało?). Ile cierpliwości, obecności, serdeczności, umiejętności pozostawania bez pośpiechu tak jakby nic nie wzywało go gdzie indziej!

Jak on to robił, by trwać nieruchomo przez wiele godzin obok kobiety opuszczonej przez męża i tracącej wszelką nadzieję? Jak on to robił, aby prowadzić równocześnie walkę na placach Paryża i w ministerstwach, torując sobie drogę w biurach, a także w chaosie pojęć dotyczących wielkiej nędzy? Wyjeżdżał mówić kazania i wygłaszać konferencje w całej Francji. Skąd brał nie tylko czas, ale także przekonanie, zaufanie, on, który był równocześnie pełen obaw i nieśmiałości?

„Mój brat zniechęcony?” – Ludwik Wrześniński jest wręcz oburzony, że można było postawić takie pytanie: „Pewnego dnia przyszedł w sutannie zalanej krwią. Zdaje mi się, że była jakaś bójka, ale miał coś do załatwienia w Paryżu, więc przyszedł się do nas umyć. Mój brat nie jest człowiekiem, który dałby się zastraszyć”. Sam Ojciec Józef idzie dalej. „Pragnienie wniknięcia w ziemię – jak ziarno, które ma obumrzeć – z jednej, a pragnienie otwarcia na szeroki świat z drugiej, to jest mniej przeciwstawne niż można by myśleć. Ja naprawdę wtopiłem się w nędzę w Noisy-le-Grand i wymagałem tego samego od pierwszych wolontariuszy. Ale rzeczywiste pragnienie najgłębszego zanurzenia się w serca ludności tak ubogiej, staranie się o nie i trwanie w nim aż do końca, doprowadziło mnie do zrozumienia, że z najuboższymi nie ma śmierci, jeżeli nie przemieni się ona w ich zmartwychwstanie. Trzeba było, aby oni sami stali się zwiastunami dla ludzkości. To, że tkwiłem w samym sercu nędzy zmusiło mnie do wypłynięcia na szerokie wody. Zawsze myślałem, że to jest nasza szansa”.

Co do nadziei zaś, to pani Jacques, siedząca na swoim jedynym krześle w nieopalanym igloo, wyjaśnia: „Ojciec Józef nie wierzy

w Boga. Tak powiedział mój mąż. Ojciec Józef zna Boga, mówi do Niego. On wie. Na Mszy św. zresztą oburzał się na nas, że nie robimy tak, jak on. „Gdybyście do Niego częściej mówili, byłby zmuszony was z tego wyciągnąć”. Przyjaciel z Paryża, który bywał w kaplicy dodaje: „Ojciec Józef mówi tak, jak Żydzi w Starym Testamencie. Domaga się od Boga tego, czego On sam oczekuje, aby wyzwolić swój lud”.

Bez tej nadziei Ojciec Józef stałby się może menedżerem, aktywistą. Ale on miał swój własny sposób bycia w pełni księdzem i równocześnie obywatelem w pełni odpowiedzialnym za losy społeczeństwa; nie rezygnując z żadnego z tych dwóch powołań. „Był księdzem we wszystkim co robił – mówi Jan Theisen, wolontariusz luksemburski – ale umiał nim być, nigdy nie urażając tych, którzy nie wierzyli tak, jak on. To był jego sekret”.

Zanurzyć się w sercu nędzy, aby lepiej wypłynąć na szerokie wody, by zgromadzić wszystkich ludzi wokół najbiedniejszych. Aby zbudować świat, który w to uwierzy, trzeba było zbudować Wolontariat.

## Rozdział jedenasty

# „Godzina Człowieka powróciła”

### **Wolontariat pragnący tego, czego my pragniemy: likwidacji nędzy**

Opowiadając o początkach obozu w Noisy, Ojciec Józef mówi: „Idea Wolontariatu pojawiła się prawie natychmiast i bez Wolontariatu zrodzonego w nędzy obozu nic nie byłoby zrobione. Co moglibyśmy zrobić – rodziny i ja sam, jeżeli mężczyźni i kobiety, pragnący zlikwidowania nędzy, nie stanęliby u naszego boku. Odczuwałem żywą konieczność tego, ale nie wiedziałem jeszcze nic o tym Wolontariacie mającym stanąć u boku najuboższych”.

Widząc Ojca Józefa tworzącego projekty, ruch, Wolontariat, pewien przyjaciel napisał do nas w latach sześćdziesiątych: „Ma tak mało środków, a jednak po prostu działa, idzie naprzód. Jego dewizą jest z pewnością: „pomagaj sobie, a Bóg ci dopomoże”. Było to tylko częściowo prawdą. Ojciec Józef uważał, że to Bóg jest autorem projektów. On nie wyprzedzał Pana Boga. Dla niego to zawsze Bóg szedł na czele, kierując historią swojego ludu. „Tylko Bóg przychodzi zawsze w odpowiednim czasie” – pisze w swoim „dzienniku pokładowym” w 1959 r. Znajdujemy tam jeszcze zdanie: „Nie ma wielkich ludzi, jest Bóg”. A także: „Nie można dotknąć Boga. Znieważając Boga, możemy tylko wzbudzać jego miłosierdzie. Nie możemy mu uczynić nic złego. Boga możemy osiągnąć tylko poprzez ludzi, czyniąc krzywdę biednym, którzy są nie tylko jego dziećmi, ale jego Synem... Bóg pragnie szczęścia każdej rodziny, a my mamy je dawać”. Ojciec Józef, który jest wśród biednych sam, bez żadnych środków, mówi jeszcze w 1959 r.: „Jeżeli w każdej minucie nie myślisz o Bogu, jeśli w swojej pracy nie jesteś bezustannie zjednoczony z Bogiem... na co się przyda twoje życie?”

Nie chodzi więc Ojcu Józefowi, by przedsięwziąć coś zgodnie z własnym mniemaniem, ale by wejść w historię, której plan jest wytyczony. Rodziny Czwartego Świata mają własną historię. Na ich nieszczęście ludzie wkraczali w nią często w sposób destrukcyjny. Mieszają się w nią stale według swego widzimisie, swej dobrej woli albo co gorzej swej ignorancji lub odrazy. Ale historia zemściła się. Ponieważ zepchnięto biednych do osiedli, które wielkim głosem krzyczą o niesprawiedliwości, skandal musiał wybuchnąć któregoś dnia. Należy, dzieląc życie rodzin, szukać z pokorą i rozwagą miejsca, które należy zająć, wysiłku, jaki trzeba podjąć, człowieka, który ma uczestniczyć w ich walce. To do uczestniczenia w tych poszukiwaniach Ojciec Józef wezwał pierwszych wolontariuszy.

Zrobił to nie dlatego, że w tych powojennych czasach praca społeczna była w modzie. Cała młodzież europejska przekraczała w tym czasie granice, aby ofiarowywać przez pewien czas usługi ludom mającym trudności. Przychodziła do Obozu, jak przychodziła gdzie indziej. Ale obecność tych ludzi pracujących społecznie nie zmieniała sytuacji uzależnienia rodzin; raczej uwypuklała jeszcze rozprężenie, ukazywała wyraźniej, jak niewielką władzę mają one nad własnym życiem. Tu także Ojciec Józef nie mógł się godzić ze ślepą wspaniałomyślnością, której rodziny nie są ani podmiotem ani panami. „Jest niedopuszczalne, że przysyła się do slumsów... ludzi, którzy nie mają żadnego przygotowania, żadnej znajomości rzeczy ani zawodu, ani ludzkiej dojrzałości... Pierwszym zadaniem akcji miłosierdzia jest formacja dla ubogich sług świątłych, roztropnych i kompetentnych. Tylko pod tym warunkiem społeczeństwo ma prawo pokazywać się między nimi”. W Obozie Noisy, wśród swoich, Ojciec Józef otwiera dla mężczyzn i kobiet ze wszystkich środowisk i wszelkiego wieku inną drogę. Tworzy nową formę zaangażowania osób, nie „dobrej woli”, a po prostu „woli”, „chcących tego, co my chcemy: zniszczenia nędzy”. Tę nową formę trzeba było wynaleźć i tym razem, także zaczynając od rzeczywistości, tzn. dzieląc życie ubogich.

„Z pewnością wezwałem ich, ale musieli „wykuć” się sami. Nie byłem nimi, nie byłem stamtąd, skąd większość z nich przychodziła. Odpowiedzieli na mój apel, ale zbudować musieli się sami”.

## **Pierwsi wolontariusze: „To samo cierpienie przepaliło nam serce”**

Wolontariusze nie sądzą, że ukształtowali się sami. Ojciec Józef kształtował ich, każdego z osobna tak, jak to robił z rodzinami Obozu. Ofiarowywał cierpliwość, wyrozumiałość, bezgraniczną serdeczność, by im pomóc wzrastać. Taka jest prawda. Wszyscy będą o niej mówić i pisać przez kolejne lata, a po jego powrocie do Boga, świadectwa posypią się lawinowo:

„Najpierw Ojciec Józef miał nadzieję, że stanę się wielkim psychologiem. To było tło, na którym opierały się inne oczekiwania. Przez dwanaście lat, przy każdym spotkaniu przypominał mi: „Debuyst zawsze mówił, że będziesz wielkim psychologiem”. Miał swoje marzenia w stosunku do mnie, jak i w stosunku do innych wolontariuszy. Potem pragnął, bym przyjął na siebie w pełni odpowiedzialność w Wolontariacie i poznał radość przynoszenia własnego wkładu. Szukał mojego miejsca razem ze mną, niepokoił się”.

„Oczyszczał nasze intencje. Z nim wszystkie teorie obracały się w proch, wobec pytania: czy kochasz swojego bliźniego? czy kochasz najbiedniejszych?... Byliśmy wszyscy tak różni, ale umiał odkryć przed każdym z nas to, co naprawdę liczy się w życiu”.

„Ojciec Józef nie powiedział mi, żebym został wolontariuszem. Ale przez to, co mi proponował, sprawił, że wybrałem tę drogę. Wiedział, że się boję, mimo że nie mówiłem tego. Obdarował zaufaniem, pozwalał iść małymi krokami. Zdawało mi się, że prowadzę życie interesujące. To, które otwierał przede mną, było o tyle prawdziwsze, większe. Gdy się myśli o tym obozie zatopionym w błocie, z dala od dróg i ulic... jak on to zrobił, że uwierzyłem w coś olbrzymiego?”

„Ojciec Józef był chory. Zaledwie poczuł się lepiej, mimo zmęczenia, chciał pojechać do Nancy. Pierwszy etap tej wizyty odbył się w pokoju szpitalnym, gdzie Jean Pierre Bertran umierał, kontaktując się jeszcze tylko oczyma. Bardzo wzruszony, patrząc na tego, który był pierwszym wolontariuszem w Nancy, Ojciec Józef powiedział tylko: „dziękuję, dziękuję”. Długo na niego patrzył. Został długo... Oto człowiek, oto ksiądz, który nie tylko żyje zgodnie z Ewangelią, ale którego gesty, troska o innych są bezpośrednim wyrazem miłości Boga. Był przejrzysty dla tej miłości. Ale to ja w to wierzę i nie jest moją rolą narzucać to, w co ja wierzę, całemu Wolontariatowi”.

Ojciec Józef i wolontariusze... tyle byłoby do powiedzenia. Sami to powiedzą w innej książce. Ale to jest prawdą, że nie był nimi. Uprzedzał ich: „Jestem księdzem i jestem człowiekiem ubogim”. Stałą jego troską było, by szanować w nich ludzi przybyłych z innych warunków. Ofiarowywał im coś w rodzaju przestrzeni, w której mogli się tworzyć w sposób wolny. To wyjaśnia ten Wolontariat rodzący się w Obozie w Noisy bez reguł, tylko z liniami postępowania dyktowanymi stopniowo przez życie, przez nieszczęścia, przez oczekiwania rodzin.

Między Ojcem Józefem, pierwszymi wolontariuszami i rodzinami tworzyła się historia, o której dziś wiemy, że była historią miłości. „Przeżerało nasze serce to samo cierpienie, że nie mogliśmy za jednym zamachem odrzucić całej nędzy i że musieliśmy bez ustanku znosić ataki i niegodziwość”. Ale kto mógł powiedzieć, w tych latach sześćdziesiątych, co zwycięży; zaufanie czy nieufność, wola zniszczenia nędzy czy szalone pragnienie, by od niej uciec. Może takie zaufanie, jakie miał Ojciec Józef, nie mogło przegrać? Bo zrobił on dla wolontariuszy to, co zrobił dla rodzin: złożył swój własny los w ich ręce.

Gdyby szukał jakiejś chwały własnej, działałby zupełnie inaczej tak w stosunku do rodzin, jak w stosunku do Wolontariatu. Miał w głowie jasny projekt, stworzyłby więc organizację niezależną od dobrej woli, talentów, współdziału i jedności innych osób. Ale on chciał wolności i wielkości innych. Wolność i wielkość rodzin i wolontariuszy wydawała mu się nierozłączna. Najwyżej więc, w obliczu nadmiaru ignorancji, niezręczności czy opieszałości wolontariuszy, uprzedzał czasem: „jeżeli będziecie tak postępować, zostawiam was i razem z rodzinami stworzymy nowy ruch”. Mówiąc tak, przypominał, że wobec najuboższych wolontariusze winni tworzyć się sami jako ludzie odpowiedzialni i wolni. Ich sposób życia, reguła – jeśli miała kiedyś powstać – miała się narodzić nie pod dyktando, ale ze wspólnego życia w sercu nędzy. Jego sytuacja była inna i dlatego mógł tylko cierpliwie sugerować sposób bycia i działania. Nie mógł pozwolić – winien to był rodzinom – by wolontariusze stali się pod nowym szyldem, nowymi ciemiężcami. Czuwał nad tym bezustannie, czasem gniewając się, ale zawsze działając z wielką pokorą. Sprawozdania z zebrań z początku lat sześćdziesiątych świadczą o tym: „Przekazuję wam kilka myśli, porozmawiacie o tym razem...

To tylko propozycja... O ile ja wiem”. Wolontariusze byli wolni. To było chyba tym cięższe, ale jak nie pragnąc stanąć na wysokości zadania, aby odpowiedzieć na wezwanie założyciela, który chce ich widzieć wolnymi i większymi niż są obecnie.

Ojciec Józef pytany w latach osiemdziesiątych, mówi o pierwszych wolontariuszach z tym zaufaniem i serdecznością, która zawsze wygrywa. „Pierwsza ekipa żyła w Noisy-le-Grand bezbronna, z gołymi rękami, pozbawiona wszystkiego, nie mająca żadnych gotowych odpowiedzi. Nie wiadomo było, gdzie to wszystko ich zaprowadzi. Ci pierwsi wolontariusze mieli zresztą zagwarantować ten sam sposób działania na przyszłość. Wolontariat powinien pozostać taki sam, bezbronny, w poszukiwaniu własnego stosunku do społeczeństwa, demokracji, Kościoła, Boga. W dniu, w którym uwierzy, że zna odpowiedź, najbiedniejsi nie będą znów mieli głosu. Ich przesłanie zostanie znów zgubione...”

„Pomyśleć, że cały kraj odmówił prawa do istnienia tej ludności, że cały kraj odmówił słusznego rozwiązania. Francja, a także cała Europa nie odrzucała oczywiście bezdomnych, ale wybierała bezdomnych według własnego uznania. Najnędniejsza grupa ludności była po prostu niepożądana. Nie było nic przemyślanego i nie było nikogo, kto w tym czasie chciałby projektować odpowiednie instytucje czy prawa dla nich. Wolontariusze byli wyśmiewani przez administrację: „Oto damy, które robią jeszcze na drutach dla ubogich... Są tam tacy, co robią sobie studia na koszt rodzin w Obozie”. Byliśmy zwalczani wszędzie. Dlaczego więc zostali? Zapewne powiedzieli sobie: „Nie mogę porzucić tej nędzy, bo niszczy moich braci, a jeśli niszczy moich braci to i ja zostanę zniszczony”. To oni nie chcieli odejść. Rodziny nie umiały ich jeszcze zatrzymać. Widziały zawsze tylko ludzi, którzy pokazywali się na krótko. Były też nieufne: miały zwyczaj sprzedawania swojej nędzy, by coś uzyskać. Nie mogły łatwo zrozumieć, że ktoś może być bezinteresowny. Były zmuszone korzystać ze swojej nędzy, dlaczego więc nie mieliby korzystać z niej wolontariusze?”

„Zresztą ci ludzie, którzy proponowali rodzinom, by wzięły na siebie jakąś odpowiedzialność, dawali im odczuć, że za wyjście z poniżenia trzeba zapłacić. Trzeba zrozumieć stan poniżenia spowodowany przez akcje dobroczynne: ciężarówki Sucharda wysypywały tabliczki czekolady, Szwajcarzy urządzali nieustannie wakacje dla dzieci, nie pytając o zdanie rodziców... Nigdy żadna grupa ludno-

ści nie była tak przyduszona i ubezwłasnowolniona przez opiekę społeczną. Rodziny nie mogły nie zgadzać się z nami, ale musiały jednocześnie zatykać sobie uszy i uciekać od nas”.

„Zostali ci, którzy zrozumieli, że zasadniczą sprawą nie jest odpowiedź na pytanie czyja wina. Pozostali, by postawić prawdziwe pytanie: „Jaką naprawdę jest ta ludność, która tam żyje, jakby na marginesie świata, a równocześnie stale przezeń zagrożona”. Wolontariusze z tych lat przeżywali sami we własnym sercu stan nieustającego alarmu, strachu prześladowającego rodziny, które wiedzą, że są niepożądane i nigdy bezpieczne przed nieprzemysłanymi interwencjami. Akceptowali, że ich przeklinano (tak jak mnie czasem przeklinano) i że robią to ci, którym starali się służyć. Nasz brat, człowiek nawiedzony przez bezustanny strach... „Przyjrzyjcie mi się, czy jestem człowiekiem, ja któremu przecież mogło się poszczęścić, a teraz, jak teraz wyglądam? Kto takiego, na jakiego teraz wyglądam, mógłby pokochać?” Wydaje mi się, że pierwsi wolontariusze uczestniczyli w tym lęku. W Obozie Noisy zrodziła się głęboka więź między rodzinami a wolontariuszami. Nie wiem, czy jeszcze będzie się mogła powtórzyć. Zrozumiałem wtedy, że będą mogli utworzyć to ciało, którego rodziny potrzebują, jeżeli nauczą się żyć we wspólnocie między sobą”.

## **Formował ich każdego z osobna**

Ojciec Józef mówił zawsze o wolontariuszach tak, jakby nie było jego udziału w powołaniu, które ich zatrzymało. Nieustannie jednak pomagał, by wzrastało ono i stawało się coraz czytelniejsze. „Kilka lat temu – pisze do Francine de la Gorce w 1968 r. – sprawy przedstawiały się inaczej. Byliśmy po prostu sobą wobec grupy rodzin, które kochaliśmy i którym służyliśmy. Nie mieliśmy czasu, by stawiać sobie pytanie o nasze trudności i wewnętrzne sprzeczności... Czy rozumieliśmy dostatecznie, że nie jesteśmy ludźmi rewolucji ani rewolty, ale ludźmi należącymi do pewnego ludu? Rewolucja wymaga tylko solidarności. Lud wymaga, by uczestniczyć w jego życiu. Lud sam w sobie nie jest ideałem. Ideałem jest jego rozwój i postęp, sprawiedliwe prawa i wolność, wszystko to, co jest większe od niego i co sprawia, że idzie naprzód. To wymaga od nas ideału, wspólnoty życia i zaangażowania. Pragnąc zaangażowania bez



wspólnoty życia, to chcieć dojść do określonego celu, nie wchodząc na drogę, która doń prowadzi”.

Dzięki Ojcu Józefowi wolontariusze, w tych latach zupełnej bezbronności, nauczyli się na swój sposób uczestniczyć we wrażliwości i kruchości rodzin i tego, który chciał je z niej wyprowadzić. To w ten sposób historia Noisy-le-Grand staje się historią miłości. To, co zatrzymywało ich w tej trudnej sytuacji, to była prawda życia tego człowieka, który ich powołał. W jego diecezji mówiono o nim, że był „prawdziwym księdzem”. Oni, będący różnych wyznań, odkrywają w nim prawdziwego człowieka, który „żyje i mówi tak, jak myśli, tak, jak wierzy”. Ojciec Józef zaproponował im wtedy, żeby gromadzili się na intensywne sesje, które nazwał Posiedzeniami przez duże P. Było ich sześcioro, dziewięcioro, piętnascioro... co roku byli nieco liczniejsi. Izolowali się na kilka dni, zostawiając pomocników. Mówili wiele o zaangażowaniu wobec rodzin, mniej o wspólnocie między sobą, na której tak zależało Ojcu Józefowi. Obserwując ich rozwój powolny a często bolesny, czuł się obecnie odpowiedzialny za wolontariuszy tak samo, jak za rodziny. Odczuwał silniej niż oni sami, że potrzebują wsparcia w budowaniu własnej wspólnoty. Rodziny, pod koniec lat sześćdziesiątych, miały przejść na nowy etap, nauczyć się życia w pewnej odległości od niego. I tak w 1968 r. Ojciec Józef decyduje się opuścić teren obozu i zamieszkać w nowym miejscu, które trzeba dopiero stworzyć, w Pierrelaye, które stanie się ziemią rodzinną Wolontariatu.

Raz jeszcze człowiek szerokich horyzontów zakorzenia się. On, który nie może oprzeć się potrzebie przemierzania świata w poszukiwaniu swojego ludu, zmusza się do twardej codziennej dyscypliny. Zebranie co rano, godziny, dni, tygodnie cierpliwej formacji, niekończącej się osobistej korespondencji, wizyty w szpitalach i u rodziców wolontariuszy. Obecność dla każdego. Buduje ich jednego po drugim. Choć będzie zawsze mówił, że wykuli się sami. Ma rację w tym znaczeniu, że podsuwa im zawsze projekty, które – uważają – przerastają ich siły. Pozwala im samym odkrywać do czego są zdolni.

„To znacznie później zrozumiałam, że Ojciec patrzył zawsze dalej niż oni uważali, że są zdolni dojść sami” – pisze Annie van den Bosch, wolontariuszka holenderska. Inni wolontariusze podzielają jej zdanie:

„Bałam się Ojca Józefa. Zdawało mi się, że uważa mnie za znacznie mocniejszą niż byłam naprawdę”.

„Takie spojrzenie, takie zaufanie i taka miłość, tak szalona, by objąć tylu ludzi, wszystkich ludzi a mnie wśród nich, to może przemienić życie i ta serdeczność, to nabiera sensu”.

„Tego dnia powierzył nam nakręcenie małego filmu dla telewizji. Powiedzieliśmy sobie, że tu w tym Ruchu są wariaci i ludzie beztroscy. Stawiają przed nami zadania, które nas przerastają tak, jak przerastały wszystkich innych przed nami”.

„Ja się go bałam. Przerazało mnie zaufanie jakim nas obdarzał. Prędko zdecydował, że będziemy odpowiedzialne za ekipę. Powiedziałam do Moniki: Ależ on zwariował, żeby nas tak traktować. Nie zna nas, jesteśmy młodsze w Ruchu od innych”. Odpowiedziała: „Zna cię lepiej niż przypuszczasz. Rzadko się myli. Wie, że może ci zaufać”. Bałam się tego zaufania. To nie było wygodne”.

„Być może uczyłam się jak dziecko, bo byłam kochana i obdarzona zaufaniem, którego nie mogłam zawieść”.

A Ojciec Józef odrzucał nadmiar powagi i lęków: „Przed wszystkim, za każdym razem jak spotykacie rodziny, trzeba żeby mogły powiedzieć: „aleśmy się pośmiali”. Zachęcał nas. Jesteście fajne. Dacie sobie radę. Nie jesteście fajtłapy”.

Dając przykład zaufania, uczy ich z kolei obdarzać zaufaniem i budować z nowych ludzi nowe pokolenia wolontariuszy. Uczestnictwo ojca w niepokojach i nadziejach każdego staje się punktem odniesienia dla wspólnoty, której pragnie wśród wolontariuszy. Zapłacił za to, jak zapłacił za wspólnotę losu, w którą wierzy, między Wolontariatem a rodzinami Czwartego Świata: „Jeśli tobie się nie uda, to ja poniosę klęskę”. Zaakceptował tę cenę za wolne uczestnictwo rodzin, teraz zgadza się na nią w zamian za zaangażowanie wolontariuszy. Dla niego jest to ta sama wspólnota losu. „Jeżeli najbiedniejsi nie znajdą wspólnoty, która będzie dla nich wspólnotą odniesienia taką, która im pokaże, że dar z samego siebie jest możliwy i że można na nim budować świat, nie wyzwoła się sami, a wtedy nikt nigdy nie stanie się wolny”.

## **Być w szkole najuboższych**

Ale na czym polega dar z samego siebie? Ojciec Józef nie ma zaufania do pojęcia „słuchanie”, którym posługują się akcje społeczne w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Uważa, że mówi się

o tym dużo, nie zawsze wiedząc o co naprawdę chodzi. „My nie wsłuchujemy się, my się uczymy, a to co innego. Jesteśmy w szkole u określonego ludu. Ponieważ sytuacja zmienia się, a sam lud też nie stoi w miejscu, nie możemy nigdy przewidzieć w szczegółach walki jaką Wolontariat będzie prowadził pod jego wpływem. Jesteśmy z nim we wspólnocie i wyniknie z niej zawsze coś nowego. Wyjdzie też na pewno coś oryginalnego, bo nasza szkoła, ta, w której my się uczymy, to ludzie, którzy nigdy dotąd nie byli brani na serio”.

„Wolontariat to ludzie, którzy myślą. Ale nie biorą nigdy pomysłów gotowych, opakowanych, przewiązanych wstążką jak paczuszka z upominkiem. Oni są myślą w drodze, ponieważ żyją we wspólnocie z mężczyznami i kobietami, którzy sami też żyją, idą naprzód i myślą. Wolontariat ma swoją opinię o miłości, pokoju, sprawiedliwości, wszystkich wielkich problemach świata, ale nie jest ona nigdy zamknięta. Jest myślą przeżywaną, konfrontowaną z życiem, cierpieniem i nadzieją ludzi. Nie może nigdy skostnieć i zresztą to właśnie zbija z tropu tych, którzy nas obserwują. Nie uspakaja, gdyż wzywa każdego, by naprawdę dawał swoje życie i swoją osobę, by rozwijać dalej refleksję. Może nie jest trudno tworzyć wspólnotę wokół gotowej myśli. My musimy budować wspólnotę wokół myśli niewykończonych, którą musimy dopiero sami przeżywać wspólnie, by ją kontynuować”.

I Ojciec Józef dodaje: „Ktoś z nas wczoraj wieczór usiłował zrobić bilans: pojęcia specyficzne dla Ruchu, myśli wspólne, myśli rozbieżne wśród wolontariuszy... Jestem przekonany, że wszyscy socjologowie, wszyscy ekonomiści, wszyscy, którzy skończyli Wydział Nauk Społecznych znaleźliby tam coś dla siebie. Ale nie my. Naszą szansę stanowi właśnie to, że my nie możemy tak postępować. Jesteśmy kształtowani w szkole ludu, który nas instruuje. Naszą jedyną troską jest, jak pozwolić się uczyć i nauczyć się”.

Te uwagi pochodzą z 1979 r. Dziesięć lat wytrwałej pracy, by wypracować taki rodzaj formacji Wolontariatu, który stworzyłby z niego ciało zdolne do trwałego istnienia i odpowiadające aspiracjom rodzin. „Ta ludność nas prowadzi, lecz my także prowadzimy tę ludność. W pierwszych latach nie miała do nas zaufania i miała rację. Dziś wszędzie nam ufa, ale czy zawsze ma w tym rację? Czy jesteśmy pewni nie tego ku jakiemu społeczeństwu, ale ku jakiemu modelowi człowieka proponujemy jej drogę. Jeżeli nas bierze na serio, to ku czemu

kieruje się wewnątrznie? Czeką od wieków swojego wyzwolenia, ale nie oczekiwała go od nas. Nas o nic nie prosiła. Bernadette Cornuau co roku przypomina nam to samo pytanie: w imię kogo lub czego rościmy sobie prawo, by walczyć u boku najbardziejniejszych?”

## **Wspólnota losu**

Tak to od zebrania do zebrania, od Posiedzenia do Posiedzenia Ojciec Józef mówi do nas, tłumaczy. Ale czy przekonaliśmy nas, ukształtowanych przez tak różne środowiska, gdybyśmy nie widzieli, jak on sam żyje tym, w co wierzy. Z upływem lat on sam stał się rodzajem żywej encyklopedii w sprawach ubóstwa w świecie. A mimo to wiele czasu poświęcał nadal pytaniu, konsultowaniu, lekturze. Przed każdym ważnym przedsięwzięciem, przed każdą decyzją, która angażowała przyszłość, chodzi po osiedlu lub siada z jakąś rodziną w samotnym baraku: „co o tym powiecie?... waszym zdaniem... co zrobilibyście na moim miejscu?”. Wieczorem u siebie, a także w podróży, w pociągu, w samolocie czyta całymi godzinami starannie i uważnie słowo po słowie raporty z obserwacji nadsyłane mu przez ekipy z czterech stron świata. Nazywa to „przesiewaniem wszystkiego przez sito ludności”. Pyta także wolontariuszy, stażystów. Prosi, by czytać jego konferencje i artykuły. Pisze je od nowa, trzy razy, sześć razy aż do późnych godzin nocnych. „Ponieważ myśl nie jest nigdy w pełni skończona, słowa są zawsze niewystarczające, gdy chodzi o najbardziejniejszych. Pomyślcie, oni nie mogą się bronić przed nami ani nam zaprzeczyć”.

Przeżywanie, dzwiganie, obmyślanie całości wspólnego losu pozostanie głęboką troską Ojca Józefa aż do końca życia. „Czy będą umieli zbudować taką właśnie wspólnotę?”. Nie proponuje reguł, ma nadzieję na poczucie odpowiedzialności. „Nie jesteśmy ludźmi, którzy angażują się tylko w pracy, a nawet przyjaźni, łączy nas wspólny los, chcemy, by to, co dotyczy innych, dotykało nas samych, podejmując ryzyko, że będziemy musieli zmienić nawet naszą własną koncepcję życia”.

Na Posiedzeniu w sierpniu 1988 r. wolontariusze nie zobaczą go już między sobą. W styczniu napisał jeszcze do nich: „Chciałem stworzyć wspólnoty świeckich, których członkowie żyją blisko siebie, jedni dzięki drugim, znajdując siłę w wyzwalaniu najuboższych.

Myślałem, że te wspólnoty będą nowym sposobem życia wiarą, nadzieją i braterstwem; ponieważ najuboższe rodziny wskazywałyby nam, jakie są te trzy drogi. Rodziny powinny nam pozwolić pisać na nowo z dnia na dzień, naszym własnym życiem święte księgi i księgi życia naszych mistrzów w człowieczeństwie tak, aby to rodziny były rzeczywiście naszymi mistrzami. To wymagałoby od nas prawdziwej zależności od rodzin, ale także daru każdego z nas na rzecz wspólnoty Wolontariatu, ponieważ jest ona tygłem, który pozwoli nam wejść na nowo w to, co powszechne, żyć każdemu najmocniej według własnych przekonań. Te wspólnoty wyobrażałem sobie skierowane ku przyszłości, widząc poprzez nie przyszłość rodzin, które dzięki nam objawiałyby coraz prawdziwiej wolność, braterstwo i sprawiedliwość. Związane z tymi małymi wspólnotami, same będące częścią wspólnoty Wolontariatu, rodziny tworzyłyby nowy świat, który każdy człowiek nosi w sobie, ale do którego zgubił klucz”.

W ten sposób Ojciec Józef przypomina raz jeszcze to, czego oczekuje od Wolontariatu; zostawiając mu równocześnie czas na dojrzewanie. Nie omieszka też dorzucić, że ma zaufanie do wolontariuszy, których szczerą doświadczenia trudności każdego dnia. „Nie wątpię, że któregoś dnia wyłoni się z Wolontariatu nowa forma wspólnoty oparta o rodziny i wciąż tworząca jutro”. Istotnym jest, by wytrwale prowadzić wspólne poszukiwania. Wyjaśnia to jeszcze młodym stażystom: „Opieramy nasze życie na ludności, która nie jest ani uznawana, ani pożądana, która nie przynosi żadnego prestiżu, żadnego poczucia bezpieczeństwa... Na ziemi najuboższych, w Czwartym Świecie, uczestniczymy w walce, która jest hańbiącą w oczach świata (...). Jak wytrwać, jeśli nie będziemy zjednoczeni, jeśli nie będziemy sługami jedni drugich? Mamy rozmaite przekonania religijne, nie jesteśmy wyznawcami jednej wiary. Praktykujemy miłość, dzielimy się miłością. Zwalczamy nędzę zgodnie z wiarą, która jest w każdym z nas. Abyśmy byli zjednoczeni, musimy mieć zaufanie do wiary drugiego. Stawać się samemu małym, aby on wzrastał w tym, w co głęboko wierzy. Czy jesteśmy gotowi odkrywać wciąż od nowa, co to naprawdę znaczy?”.

Ojciec Józef nie żądał nigdy od wolontariuszy, by wszystko rozumieli, a tym bardziej, by pozwalali sobie narzucić zaangażowanie. Oczekiwał, że pójdą naprzód. Wiedział, że zrozumienie przyjdzie z doświadczeniem. Byle tylko ośmielili się podjąć drogę wspólno-

ty, która będzie ich prowadzić do zrozumienia tego Wolontariatu międzywyznaniowego, który już tworzą. Nie pozostał z nimi dostatecznie długo, aby zobaczyć, że doszli do tego zrozumienia. Był z nimi tylko tyle czasu, ile trzeba było, by zobaczyć, że wchodzą na tę drogę. Tego dnia Ojciec Józef wiedział, że ma rację, ufając, że „jeżeli nie ma wielkich ludzi jest Bóg”. Po latach siedemdziesiątych spędzonych na wyczerpującym wysiłku budowania jedności i miłości między wszystkimi, lata 80-te będą latami spokoju. Ojciec Józef mówi: „godzina człowieka powróciła”. Powiedział to w 1985 r. wobec funkcjonariuszy ONZ-u zgromadzonych pewnego wieczoru w Nowym Yorku. Przez troskę o najbardziej potrzebujących na świecie mówił tam wtedy także o Wolontariacie...

„Dopiero dzisiaj w systemie Narodów Zjednoczonych odkrywa się nędzę jako ranę zadaną człowiekowi, która podkopuje jego wiarę w siebie, w jego bliskich, we wszystkich ludzi. Odkrywa się, że rodziny, w których zaufanie zostało tak podkopane, nie są w stanie przekazać swoim dzieciom wiary w życie. Aby szybko przetrwać ten stan rzeczy, całe grupy ludności potrzebują ludzi, którzy żyjąc wśród nich, będą z nimi dzielić ich nadzieję i ich własne życie... Dziś taki Wolontariat istnieje: mężczyźni i kobiety, którzy nie opuszczają tej ludności po krótkim okresie kooperacji technicznej, ale którzy ofiarowują swoje osoby na długie lata”.

### **„Oni są moją rodziną”**

Teraz Ojciec Józef będzie mówił z głęboką ufnością o umywaniu nóg z Ewangelii św. Jana. Ten fragment ewangelii jest mu równie drogi jak Ewangelia o Kuszeniu Jezusa na pustyni. A wolontariusze wszystkich wyznań rozumieją, co chce powiedzieć o pokorze i służbie, którą winni sobie wzajemnie. Jego zaufanie zwyciężyło. W artykule wstępnym w czasopiśmie *Feuille de Route* ze stycznia 1988 r. wyraża swoją radość. Człowiek, który całe życie nie miał nic własnego, mówi o wolontariuszach: „oni są moją rodziną”. Powierza ich bezpieczeństwo przyjaciołom Ruchu, ale także Rodzinom Czwartego Świata...

„Oni są moją rodziną” – te słowa pomogą towarzyszom jego drogi, którzy tyle od niego wymagali, znieść jego odejście. Raz jeszcze uczynił ich większymi niż byli sami. W latach 60-tych mówił: „Czym bylibyśmy

bez nich, rodziny i ja sam?” W 1988 r. powie: „Moimi są”.

Rodziny Czwartego Świata – jego ojczyzna, Wolontariat – jego rodzina – Ojciec Józef nadal uczy nas wspólnoty. Ostatnia kasetka dyktowana w szpitalu Foch w przeddzień operacji towarzyszy nam w drodze ku przyszłości: „Mamy stworzyć klimat duchowy, ponieważ duch ma w nas mieszkać. Mamy stworzyć pewien rodzaj komunii z drugim człowiekiem, który sprawi, że im ten drugi jest mniejszy i słabszy, tym jest ważniejszy i większy dla nas”.

„Mówienie o duchowości wprowadza nas w dziedzinę religii, w relację z Bogiem. Można powiedzieć, że to jest szczyt duchowości: „summum”. Ale mamy żyć naszą duchowością wśród ludzi. To znaczy mieć określony sposób widzenia i zachowania w stosunku do ludzi. Tak jak stajemy przed Bogiem w postawie kontemplacji i modlitwy, starając się wyciszyć i przybliżyć najbardziej jak to jest możliwe do Niego, tak też winniśmy wypracować specjalny rodzaj duchowości w stosunku do naszych braci. Winniśmy nauczyć się żyć w pewien określony sposób z ludźmi, ponieważ liczą się dla nas, ponieważ utożsamiamy się z nimi, ponieważ są tacy, jak my. Prowadzą tę samą walkę z tymi samymi trudnościami, wątpliwościami, troskami, takimi samymi zmartwieniami, a także mają taką samą nadzieję i takie same radości. Nasza duchowość to właśnie to, a także wiara, że braterstwo stanowi podstawę zwycięstwa w każdej walce”.

„Tylko wtedy najbiedniejsi pójdą za nami, gdy zobaczą, że naprawdę jesteśmy zjednoczeni i naprawdę kochamy się między sobą”.



## Rozdział dwunasty

# Kapłan, obywatel, obrońca praw człowieka: jedno życie – jedna walka

### Niezwykłe życie publiczne

„Zniknąć, jak ziarno wrzucone w ziemię, pośród najbiedniejszych, umrzeć razem z nimi, to także wraz z nimi zmartwychwstać”. Ojciec Józef – jak mówiliśmy – przeżywa życie jako historię, która do niego nie należy. Jest to historia najbiedniejszych – historia Boża. „Wierzę głęboko, że nasz ruch musiał się narodzić, gdy życie rodzin zostało tak obnażone i wystawione na widok publiczny bez żadnej osłony. Z ich opuszczenia w Obozie Noisy, a także w innych osiedlach nędzy, musiały zrodzić się nowe inicjatywy i nowa analiza sytuacji”.

Te nowe inicjatywy, nowe spojrzenie przyniósł właśnie Ojciec Józef. On sam tak nie uważa. Nie mówi: „ja wybrałem, ja zdecydowałem”, ale: „co mogłem zrobić innego, z kim mogłem się sprzymierzyć, jeśli nie z rodzinami dającymi dowód uporczywej walki o przetrwanie, podczas gdy Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wciąż nie akceptowało naszej działalności. Żyliśmy, można więc powiedzieć, nie bezprawnie – ponieważ nie robiliśmy nikomu nic złego – ale poza prawem. Wiedziałem, że zaangażowałem się w długą walkę. Na razie godność i bezpieczeństwo rodzin wymagały położenia podstaw pod trzy kierunki działania: stworzyć warunki zapewniające minimum egzystencji materialnej, rozwijać umysły i być uznanym przez innych obywateli. To było ryzyko, ale nie mogliśmy przecież nic nie robić”.

I tak zaczęło się w Obozie w Noisy życie publiczne „poza prawem”. Przez wszystkie lata zachowa ono swoją oryginalność. Ojciec Józef prowadzi zawsze tych, z którymi ma do czynienia poza utarte ścieżki. „Jak robić inaczej, jeżeli najbiedniejsi przynoszą doświadczenia, myśl, sposób działania, których jeszcze nigdy nie brano



pod uwagę”. Ojciec Józef tłumaczy się: „Ja także byłem ubogim człowiekiem, nie wyobrażałem sobie, że pewnego dnia będę miał do czynienia z ministrami. To nie był mój świat”. I tak w 1960 roku, gdy pisaliśmy razem pierwsze podanie o poparcie do Ministerstwa Zdrowia, uśmiechnął się zdziwiony: „Nigdy nie myślałem, że taki ksiądz jak ja będzie proponował współpracę Państwu. Zbyt dobrze znałem Kościół mojego dzieciństwa, pogardzany i niezauważany przez Państwo. Nigdy bym nie pomyślał, gdzie te najbiedniejsze rodziny mnie zaprowadzą”.

Ale zaprowadziły go najpierw tam, gdzie spodziewał się dojść, stając się księdzem. W ministerstwach spotyka, w tych pierwszych latach, nieufność, brak szacunku i nie tylko odmowę załatwienia konkretnych spraw, ale nawet nie przyjmowanie do wiadomości tego, co mówi na temat współobywateli doprowadzonych do nędzy. To, że mówi w ich imieniu nikogo nie przekonuje. Wręcz przeciwnie, ubodzy nie mogą wiedzieć, co jest dla nich dobre. Myśl, że mogą mieć prawo do wyrażania swojej opinii, wydaje się wręcz niestosowna. Głos mają specjaliści. Wobec tego Ojciec Józef szuka sam poważnych profesorów. Jeżeli potrzebni są specjaliści, niech będą najlepsi! Ale w administracji opanowanej przez troskę o specjalizację odkrywa świat, w którym przepisy ważniejsze są od człowieka, nawet od nieszczęśliwego dziecka. „Warunki w tym Obozie nie odpowiadają normom ustalonym dla ośrodków rekreacyjnych”. A więc fakt, że ludzie żyją w nieludzkich warunkach, ma uniemożliwiać dzieciom dostęp do najprostszych form rozrywki. Nie może być plasteliny, gier, wycieczek.

Ojciec Józef jest przyjmowany niezbyt ciepło, niezbyt grzecznie, czasem w sposób upokarzający. „Uczę się” – mówi i pozwala dużo mówić swoim rozmówcom. Przyjaciół, który mu towarzyszy zwraca uwagę: „Nawet od tych, którzy go upokarzają, stara się czegoś nauczyć”. Nie odpowiada na oszczerstwa: „Ojciec Józef chce utrwalać istnienie slumsów... działania niepożądane prowadzone na terenie Obozu Chateau de France... poparcie dla złoczyńców”. Gdy pomaga mieszkańcom Campa, zmuszonym do opuszczenia swego obozowiska, w odbudowaniu prowizorycznych schronisk nieco dalej, notatka służbowa rozpowszechniana jest w Administracji: „Stowarzyszenie księdza Wrzesińskiego tworzy nowe slumsy”. Nie zwraca na to uwagi i nadal chodzi nie od biura do biura, ale od osoby do

osoby, od jednego urzędnika do drugiego, starając się nawiązywać przyjaźnie. Nie może robić inaczej, jeśli chce uzyskać najmniejszą nawet zmianę. Nie ma nic do ofiarowania, może tylko przekonywać. Ale nie tylko konieczność zdobywania sprzymierzeńców czyni go otwartym w stosunku do urzędników. Nie idzie do funkcjonariuszy, idzie do kobiety lub mężczyzny, by razem z nimi tworzyć historię. Jeden z wolontariuszy powie później: „Odkryłem jego wiarę w ludzkość po sposobie w jaki zwracał się do różnych osób. Za każdym razem zwracał się do człowieka, a nie do urzędnika, ze stałą troską, by zrobić z niego sprzymierzeńca sprawy najuboższych”.

W latach 60-tych musi jednak stawić czoła wielu trudnościom. Jeden z przyjaciół zatroskany o przyszłość Obozu pisze w 1962 r.: „Skromne osiągnięcia stowarzyszenia niepokoją władze. Niektórzy obawiają się stabilizacji najędźniejszej ludności, której woleliby się pozbyć. Inni myślą, że dostarczanie takim rodzinom środków działania stanowi ryzyko, że popchnie się je do rozruchów”.

Ojciec Józef zwraca się do jednych i drugich z tą samą prostotą: „Ufam, że nie zburzycie igloo, obozu ani baraków w slumsach, nie ofiarowując rodzinom przyzwoitych mieszkań. Na razie potrzeba przedszkoli i warsztatów”. Pewien dyrektor w Ministerstwie Zdrowia oburza się: „To człowiek, który sprzeciwia mi się we wszystkim, a potem przychodzi prosić o subwencje!” Ojciec Józef idzie do niego: „Jak Pan chce, żebym postępował inaczej? Jestem przekonany, że Pan zrozumie”. Dyrektor daje się przekonać, ale może spodziewał się tego? Przyjmuje Ojca Józefa po godzinach pracy. Ministerstwo jest puste. Rozmawia z nim długo, zwierając się z własnych trosk: „Oczywiście, gdybym miał współpracowników umiejących tak przygotować materiały, jak wy to robicie”. Zostają przyjaciółmi. To jest okres pierwszych poważniejszych dotacji rządowych.

## **Rodzina – walka pod prąd**

Jest rok 1964. Prawo Debré, dotyczące wchłonięcia slumsów, wprowadza niepewną równowagę interesów właścicieli terenów i ludności zamieszkującej je bezprawnie. W tym samym roku walka Ojca Józefa przeciw wielkiemu ubóstwu przyjmuje publicznie wymiar walki o rodzinę. We własnych oczach on sam niewiele tu znaczy: „Trzeba było, żeby ktoś wreszcie zaczął głosić, że ńedza to

nie tylko sprawa mieszkań ani osób wyizolowanych, że dotyczy ona rodzin, całej grupy ludności z dorosłymi, dziećmi, osobami starszymi, ludności złożonej z rodzin. Tak musiało się stać. Sama historia najuboższych do tego nas prowadziła”.

W czasopiśmie „Igloos”, poczynając od 1960 r., mówi o rodzinach i ich rozpaczliwych wysiłkach, by zachować dzieci. W 1964 r. wzywa do zjednoczenia wszystkich sił wokół rodziny bez dachu nad głową. „Nie może ona należeć do żadnej grupy, do żadnego Kościoła, ponieważ nie może ani zacząć ani kontynuować dialogu z kimkolwiek”. Niech więc Ruch buduje się jeszcze silniej wokół niej! Niektórzy wyrzucają mu ten bój uparty na rzecz rodziny w czasie, gdy należało raczej popierać sprawę wyzwolenia kobiet. Jedno zdaje się nie godzić z drugim. Jednak: „...ostatnim szańcem człowieka, jego ostatnim schronieniem jest niewątpliwie rodzina. Ona stanowi ostatnią obronę przed przeciwnościami, poniżeniem, wykluczeniem, zniszczeniem siebie samego”. Jak można nie zdawać sobie sprawy, że polityka przeciw ubóstwu musi być polityką na rzecz rodziny. Z samego dna nędzy, z obozu dla bezdomnych, Ojciec Józef wysłał cierpliwie swe apele: „...jeżeli stowarzyszenie miałoby dziesięć tysięcy członków, opinia społeczna i władze państwowe słyszałyby je lepiej”.

Jak to się stało, że było ich stopniowo dziesięć tysięcy, czterdzieści tysięcy, kilkaset tysięcy na całym świecie? Na razie założyciel zdaje się iść tam, gdzie nie ma przetartych dróg, żeby nie powiedzieć, że działa wręcz poza prawem: „O nędzy się nie krzyczy, ją się odkrywa”. Pismo „Igloos” przynosi prawdziwą dokumentację. Pierwsze, a w tym okresie jedyne, mówi z coraz większą precyzją i coraz poważniejszą analizą naukową o prawdzie życia najuboższych we Francji i Europie. „O tym cierpieniu będą mówić następne strony. Proszę nam wybaczyć, chcieliśmy, żeby ten dokument był poważny, ponieważ sprawa ubogich jest czymś bardzo poważnym”.

Z wolna prostota Ojca Józefa, jego siła przekonania, poważne i staranne przygotowanie dokumentów zmusza do szacunku. Może to zresztą przede wszystkim jego osoba, jego zaufanie do ludzi, zdobywa przyjaźń. Ojciec Józef cieszy się, ale patrzy trzeźwo: „Zdobywamy ludzi, serca, umysły, trochę ulg, trochę pieniędzy. Nie zdobyliśmy dostatecznej ilości praw. Nie zdobyliśmy pierwszeństwa dla ubogich. Dla nich świat inwestuje tylko to, co ma na dnie szuflad, środki niewykorzystane na koniec roku budżetowego, starocie

tam, gdzie trzeba nowych pomysłów, a więc zainwestowania tego, co najlepsze”.

W 1987 roku, mimo niezaprzeczalnych osiągnięć, nie mówi inaczej: „...żyjemy w społeczeństwie, które nie dotrzymuje słowa danego najuboższemu. Bez ustanku czyni obietnice polityczne, ale ich nie dotrzymuje. Już 30 lat albo i więcej było tak we Francji i to trwa nadal”.

Wymawianie rodzinom liczby dzieci tak, jak słyszy to bezustannie, wydaje mu się tym bardziej nie do przyjęcia. Jakim prawem społeczeństwo, które nie dotrzymuje słowa, chce regulować najintymniejsze życie ludzi? Pod koniec 1965 roku wyraża swój żal i oburzenie, które już nigdy go nie opuszczają: „Jesteśmy wciąż w czasie wchłaniania przez miasto slumsów, a najuboższe rodziny, pomimo wielu obietnic pozostawia się wciąż własnemu losowi”.

„Oto właśnie teraz ludzie postanawiają zniszczyć slumsy. Spisują wszystkich nędzarzy ziemi znajdujących się w slumsach i dzikich osiedlach. Mówią: „...nie chcemy wam zrobić nic złego, ale musicie zrozumieć, trzeba, aby nasze miasta były piękne i czyste, a wszystko w nich było w doskonałym porządku” I tak ludzie budują nowe miasta, ale na listach mających dostać mieszkanie, nie figurują ci, którzy zostali spisani. Oni pozostają więc w osiedlach prowizorycznych. Mówi im się: „...dlaczego tu zostajecie, co tu robicie, czy wam się tu podoba? Czy nie widzicie, że wasze dzieci są brudne i że jest im zimno? Czy nie widzicie, że nie jesteście godni być rodzicami? Zajmiemy się waszymi dziećmi, umieścimy je gdzieś”.

„Więc ubodzy porzucają prowizoryczne osiedla, wyruszają w drogę, udając się tam, gdzie żyli ich przodkowie – ci z rasy nędzarzy. Z pokoju do pokoju, ze skleconych na prędcie baraków do ośrodków dla bezdomnych i wracają znów tutaj, rozpalają ogień, robią sobie schronienie, wbijając w ziemię kilka desek w miejscu, którym nikt się nie zajmował, w ziemię na wysypisku śmieci, ziemię niczyją”.

Dla Ojca Józefa dziecko narodzone w przygodnym schronieniu ma za sąsiadów pasterzy z Betlejem. Przez duszę tego dziecka Bóg staje się obecny na ziemi nieszczęsnej, zniszczonej przez wstyd i łzy. Najbardziej si mogą świętować Boże Narodzenie na ziemi jałowej i zapomnianej, tylko dając życie nowemu dziecku. „Czy istnieje inne Boże Narodzenie dla nieszczęsników, jak dawać nowe życie światu?” Gdy Ojciec Józef jest wzruszony, przychodzi mu na myśl język z czasów jego dzieciństwa. Wtedy o nędzarzach mówiono „nieszczęśnicy”.

Ale prawdą jest, że walka przeciw nędzy, która wymaga obrony dziecka i rodziny nie należy do języka politycznego tej epoki. Poczynając od lat 70-tych Ojciec Józef podejmuje prawdziwy program walki politycznej pod prąd i nie na czasie. Nie ma upodobania do życia publicznego ani nie leży ono w jego temperamencie, ale przykłada się do niego pilnie i z dużą obowiązkowością, bo tak trzeba. „Sprzeciw jest ogólny i trwały na wszystkich poziomach: w administracji, partiach politycznych, Kościołach. Czasem ukryty, ale zawsze rzeczywisty i powszechny”. Do Wolontariatu kieruje ostrzeżenie; „...zaangażowaliśmy się z najsłabszą grupą ludności, a sami wcale nie jesteśmy z granitu. Żadna siła za nami nie stoi, trzeba, żeby rodziny to wiedziały. Mamy tylko wrażliwość i serdeczność, których nie możemy przeżywać sami dla siebie, ale winniśmy żyć nimi wspólnie, ażeby miały jakieś znaczenie w świecie... Mamy tylko nasze słowa, nasze zaangażowanie, nasze życie do położenia na szali. Najbiedniejsi nie mają żadnej władzy i nie mogą nam jej przekazać. Jesteśmy skazani na to, żeby przekonywać”.

### **Nowatorski program polityczny, który obiegł cały świat**

Gdy Ojciec Józef mówi o sobie (raz wyjątkowo), mówi z humorem: „Byłem raczej gwałtownym młodym człowiekiem, a teraz jestem człowiekiem pojednania. Nie miałem wyboru. Najbiedniejsi są przesyleni gwałtem, marzą o pokoju. Wiedzą lepiej niż ktokolwiek inny, że jedyną ich bronią jest cierpienie”. Jest to w kilku słowach program życia, ale także projekt polityczny być może bez precedensu, w każdym razie projekt polityczny początkowo nie do zaklasyfikowania. W okresie, gdy wielu mówi o rozwiązaniach siłowych i walce klas, Ojciec Józef rzuca wyzwanie światu, uważając, że samo cierpienie ludzi może przekonać serca i umysły, spowodować wydanie słusznego prawa. Odrzuca on dla ubogich zależność od opieki społecznej i arbitralnego kierowania ich losem. Odrzuca poddanie ich akcji socjalnej typu „terapeutycznego” albo „socio-wychowawczego”. Stworzy miejsca „dzielenia się wiedzą”<sup>20</sup>,

---

<sup>20</sup> tzw „pivots cultures” – program, którego celem jest tworzenie sytuacji umożliwiających rozwój kulturalny dzieci z najuboższych rodzin. Poprzez działalność artystyczną, rysunek, malarstwo, taniec, a także oglądanie i czytanie książek dzieci mają okazję rozwijać wszystkie swoje możliwości i zasypać przepaść dzielącą je od zamożniejszych kolegów.

ośrodki kulturalne i wreszcie uniwersytety powszechne<sup>21</sup>, aby połączyć partnerstwo społeczne i reprezentację polityczną. Wszystko to dla rodzin, które dotychczas nie liczyły się wcale w życiu kraju. Czy wierzy on naprawdę, że miłość i zaufanie mogą zmienić świat? „Jeżeli kochacie, jeżeli nie robicie nic, a tylko kochacie, pomagacie nam” – pisze ze swojego baraku w Obozie Noisy.

Z miejsca, do którego dochodzi zaledwie jedna droga asfaltowa, kończąca się przy pierwszych barakach, kontakty Ojca Józefa rozprzestrzeniają się nie bardzo wiadomo w jaki sposób. Ruch, który tworzy, nie należy do tych, które robią szerokie akcje propagandowe, a mimo to mężczyźni i kobiety piszą do niego zewsząd, mówią o swojej walce przeciw ubóstwu, wzywają do siebie. Są to ludzie wszelkich wierzeń, żyjący w najprzeróżniejszych warunkach. Ojciec Józef ufa im, angażuje się, dodaje odwagi, popiera różnorodne inicjatywy. Liczy się tylko szczerłość osób: „...czy wasz wysiłek bierze pod uwagę to, czym żyją i czego pragną najbiedniejsi, co skorzystają oni z waszych projektów?”

To zaufanie, które jednak nie zgadza się na żaden kompromis kosztem najbiedniejszych, doprowadzi do zbudowania Ruchu, który obejmie wszystkie kontynenty.

Na Posiedzeniu Wolontariatu w 1983 r. Ojciec Józef wyjaśnia: „Uwierzyliśmy w bogatych w świecie, gdzie bogaci postawieni są pod pręgierzem... Na zaufanie się nie zasługuje, zaufaniem się obdarza. Nie ma człowieka, który byłby godzien zaufania, lecz każdy może się nim stać... Zaufanie rozprzestrzenia się, to my nim obdarzamy. Zaufanie jest sposobem w jaki przekazujemy komuś odpowiedzialność. Reszta to tylko słowa. Nie ma nieprzyjaciół do pokonania, są tylko przyjaciele do zdobycia”.

Wydaje się, że istotnie Ojciec Józef zdobywa ich jednego po drugim. Walka budząca tak gwałtowny sprzeciw, zyskuje zwolenników, podstawy, rozgłos. Stopniowo nowi przyjaciele i wolontariusze

---

<sup>21</sup> Uniwersytety powszechne (dosłownie popularne) stanowią miejsce formacji, wyrażania opinii i spotkań między rodzinami Czwartego Świata, a tymi, którzy godzą się przyjąć ich za partnerów. Zdaniem Ojca Józefa: „są to miejsca, gdzie najbardziej pokrzywdzeni mogą dzielić się swoją historią, tym czym żyją, oporem jaki stawiają nędzy, by zachować swą godność. Miejsca wymiany między doświadczeniem życia najuboższych, a innych obywateli, czyli miejsca, gdzie tworzy się nowy styl relacji między ludźmi, a więc nowa kultura”.

otwierają nieprzetarte szlaki w życiu publicznym. Ojciec Józef nie czuje się w nim w swoim żywiole, ale zdaje sobie sprawę, że istnieją posunięcia, które tylko on może wykonać.

Istotnie, w miarę jak Ojciec Józef jest wzywany na inne kontynenty i jak jego działalność rozszerza się, staje się jasne, że reprezentuje on najuboższych całego świata. Dzięki niemu Ruch otrzymuje od 1970 roku status konsultatywny przy Ecosoc, potem przy UNESCO, BIT, Radzie Europy, UNICEF, Komisji Praw Człowieka przy ONZ, a dzieje się to, mimo skromnych środków i przy zupełnym braku rezerw finansowych. Także dzięki osobie Ojca Józefa ATD Czwarty Świat zajmuje wkrótce specjalne miejsce pomiędzy pięciuset organizacjami pozarządowymi mającymi podobny status. Nie wszyscy twórcy organizacji pozarządowych spotykają regularnie Sekretarza Generalnego ONZ czy Rady Europy. Nie wszystkie organizacje pozarządowe są przyjmowane na coroczną konsultację przez Komisję Wspólnoty Europejskiej, dyrektorów generalnych BIT i UNESCO. Nie wszystkie zabierają głos przed Komisją Praw Człowieka w Genewie. Ojcu Józefowi przyznawane jest miejsce specjalne, ponieważ stało się jasne, że jest coraz bardziej autentycznym reprezentantem ludności żyjącej naprawdę w bardzo trudnych warunkach.

Poprzez niego odkrywamy, że kierujący organizacjami, międzyrządowymi odczuwają bardziej, niż moglibyśmy to sobie wyobrazić, odległość dzielącą ich od zwykłych ludzi. „My, ludy Narodów Zjednoczonych” – Javier Perez de Cuellar, Sekretarz Generalny ONZ od 1982 r., stara się nadać konkretną treść tym słowom wprowadzonym do Karty Narodów Zjednoczonych. W 1982 r. Ojciec Józef wręcza mu „Apel do obrońców Praw Człowieka” liczący 232.500 podpisów. Wzajemne uznanie i przyjaźń rodzi się między nimi. Perez de Cuellar stwierdza: „Jesteście moimi oczami i uszami na terenach nędzy”, Ojciec Józef odpowiada: „Bez osobistego zaangażowania ludzi takich jak pan, najubożsi pozostaną nieznanymi, poddani upokorzeniu pomocy społecznej”. Przyjaźń tych ludzi trwać będzie dłużej niż życie. Tak, jak trwać będzie przyjaźń z Francis’em Blanchardem, Dyrektorem generalnym BIT, który powie później: „Ojciec Józef prosił mnie o to, co z góry gotów byłem dać. Wprowadził nas w walkę, którą starałem się sam prowadzić. Z nim weszła w nasze mury najbiedniejsza młodzież świata. Teraz my musimy prowadzić jego dzieło”.



## Najubożsi partnerami?

Istotnie, Ojciec Józef wprowadza ze sobą wszędzie mężczyzn, kobiety, młodzież i dzieci, ludzi najbardziej pogardzonych z powodu nędzy. Nie chce, by zaistniała jakakolwiek wątpliwość co do tego, kim są ci, których reprezentuje. Wtedy, gdy wolontariusze i przyjaciele przygotowują spotkania oficjalne, on sam dba o to, by najubożsi byli obecni osobiście lub przez udział w opracowywaniu dokumentów. Jest on księdzem, który wypływa na szerokie wody i staje się coraz bardziej reprezentantem, rzecznikiem najuboższych, ale równocześnie pozostaje przede wszystkim tym, który chce, by najbiedniejsi stali na własnych nogach „pierwsi na drodze do Królestwa”, partnerzy uznawani przez współobywateli.

W tym celu 17 listopada 1977 r. organizuje święto w lokalu Mutualite w Paryżu. Pięć tysięcy delegatów i przyjaciół Czwartego Świata deklaruje: „Jest naszym celem na najbliższe pięć lat, aby nie było wśród nas analfabetów, by wszystkie dzieci nie tylko uczęszczały do szkoły, ale by wszystkie ją ukończyły. Niech ci, którzy umieją czytać i pisać nauczą swoich sąsiadów, niech każdy czuje się odpowiedzialny za swoje przygotowanie zawodowe”. Potem w 1979 r. w Paryżu dwa tysiące dzieci z najuboższych środowisk we wszystkich krajach ogłasza Rok Dziecka. Kolejne święto odbyło się pod hasłem „Pełne prawa dla wszystkich ludzi” w Forest National w Brukseli w 1982 r. Dziesięć tysięcy delegatów i przyjaciół zobowiązuje się bronić Praw Człowieka, zwłaszcza praw najuboższych. Ojciec Józef prowadzi delegację rodzin Czwartego Świata do Ivor Richards, Komisarza spraw społecznych w C.E.E. W tym samym roku jedzie wraz z pięćdziesięciu młodymi z terenów wielkiej nędzy do Jana Pawła II do Castel Gandolfo. W 1985 r. tyśiąc młodych z Czwartego Świata spotyka pana Francis Blanchard. Na trawnikach BIT zdumieni urzędnicy oglądają spektakl głoszący prawo do wiedzy i zawodu. Aż wreszcie 17 października 1987 r. ma miejsce wielkie zgromadzenie Obrońców Praw Człowieka. Sto tysięcy osób przybyłych z czterech stron świata jest obecnych na inauguracji płyty na placu Praw Człowieka (Trocadero) w Paryżu. Są tam wryte słowa streszczające walkę, której Ojciec Józef poświęcił całe życie.



17 października 1987 roku  
Obrońcy Praw Człowieka i Obywatela z wszystkich krajów  
zgrupowali się na tym Placu.  
Uczcili ofiary głodu, ciemnoty i przemocy.  
Potwierdzili swe przekonanie, że nędza nie jest nieuchronna.  
Ogłosili swą solidarność z tymi, którzy na całym świecie  
walczą, by ją znieść.  
„Tam, gdzie ludzie skazani są na życie w nędzy  
Prawa Człowieka są łamane  
Jednoczyć się dla ich poszanowania  
jest najświętszym obowiązkiem”.

Ojciec Józef Wrzesiński

Sto tysięcy uczestników tego wydarzenia pochodzi z wszystkich narodów, kultur i wierzeń. Jest to tłum, w którym wszystkie ludy zdają się spotykać. Są tutaj ludzie ze wszystkich grup społecznych: najuboższe rodziny obok ministrów, ludzie wszystkich zapatrywań politycznych. Przed zgromadzeniem na Trocadero, na prośbę Ojca Józefa, Kościół modlił się wraz z rodzinami w Katedrze Notre Dame w Paryżu. Tego dnia ludzkość stanowi jedno i najubożsi są w centrum. Być może Ojciec Józef jest jedynym, który tego 17 października nie wierzy w swoje zwycięstwo. W złotej księdze, którą podpisuje podczas uroczystości umieszcza słowa: „Najubożsi czekają na nas na rozdrożu. A my co zrobimy?”.

Może tylko on sam i nieliczni przedstawiciele jego ludu zdają sobie sprawę jak niepewne jest to, co zostało dlań zdobyte. Od dzieciństwa, od czasu Obozu w Noisy-le-Grand nie utracił trzeźwego spojrzenia człowieka bardzo biednego: jutro wszystko może być znów stracone. Tak długo jak najbiedniejsi nie mają prawa zabierania głosu, żadnej władzy, żadnej kontroli sprawowanej przez nich samych, wszystko może być w każdej chwili zabrane. Duch prawa może być zdradzony. Samo prawo może zniknąć. Nawet istotne chwile z historii najbiedniejszych mogą być zatarte we wspólnej pamięci. Do jakiego więc miejsca mają prawo, jakie jest ich rzeczywiste prawo do zabierania głosu? Kto chce naprawdę budować świat razem z nimi, jako równorzędnymi partnerami? Kto naprawdę chce najuboższych jako towarzyszy drogi? Kto ich chce przy własnym stole, a nie woli, by żywili się na koszt anonimowego społeczeństwa, korzystając

z nadwyżek żywności ofiarowywanych przez przedsiębiorstwa handlowe do banku żywności. Kto naprawdę chce, by żyli jako ludzie niezależni, zamiast dawać im tylko to, co potrzebne do przetrwania, w zamian za bezustanną kontrolę i przygotowanie zawodowe bez aspiracji umożliwiające tylko dorywczą pracę za grosze?

Wieczorem, po wielkim zgromadzeniu dnia 17 października, Ojciec Józef proponuje Wolontariatowi rok ciszy, refleksji, medytacji. Wolontariuszy chrześcijan prosi, by wyruszali na pielgrzymkę z młodymi Czwartego Świata co roku w tym samym czasie. Należy umocnić Ruch „budowany przez słabych ludzi wokół słabych ludzi”. On sam od 1979 r. podejmuje wielki wysiłek pisarski. Między 1983 a 1986 rokiem cztery książki ofiarowane są Kościołowi, Ruchowi i światu: „Les Pauvres sont l’Eglise” (Ubodzy są Kościołem), „Heureux, vous les Pauvres” (Błogosławieni Ubodzy), „Les Pauvres, Rencontre du vrai Dieu” (Ubodzy spotkanie prawdziwego Boga), „Paroles pour Demain” (Słowa na jutro). Wszystkie główne teksty dotyczące Praw Człowieka pochodzą także z lat 80-tych. Czuje, że dla rodzin i dla Ruchu nadszedł czas refleksji, pogłębienia.

Albowiem w miarę osiągnięć zarysowuje się też coraz jaśniej długa droga, która pozostaje jeszcze do przebycia. „Czy kiedykolwiek, aż do skończenia świata, choćby tylko w Europie, nasi biedni będą bezpieczni?” Ojciec Józef – zawsze optymista – żywi wielki niepokój, gdy chodzi o Europę. Czy Wspólnota Europejska stanie się Europą Praw Człowieka? „Europejski program walki z nędzą”, który pomagał stworzyć w 1975 roku, stracił prędko rozmach, a także pieniądze. Od 1957 roku sam kładł podwaliny pod Europę nie ekonomii, a ludzi. „Najubożsi i ci, którzy gromadzili się przy nich nie mieli wyboru. Należało się jednoczyć, wykuwać tożsamość europejską, aby trzymać się razem i razem zabierać głos”. Ale zabierać głos, by mówić do kogo? Ojciec Józef niepokoi się o przedstawicielstwo najuboższych w latach osiemdziesiątych podobnie, jak niepokoił się w latach pięćdziesiątych. Na jego prośbę zostały stworzone międzypartyjne grupy Czwartego Świata we francuskiej Izbie Deputowanych, Senacie Francuskim, a także w Parlamencie Europejskim. Ale wszędzie brak zrozumienia dla niepodzielności Praw Człowieka. W obliczu tej luki Ojciec Józef podejmie raz jeszcze swoją obywatelską powinność.

## Raport Wrześcińskiego

W 1979 roku Prezydent Republiki mianuje go członkiem francuskiej Rady Ekonomicznej i Społecznej w kategorii wybitnych osobistości w Komisji spraw społecznych, gdzie działa dyskretnie, ale uparcie w imieniu najbiedniejszych Francji. Radny Jean René Masson powie, że „przy każdym raporcie studiowanym przez Komisję, Józef Wrześciński przypominał pod takim lub innym aspektem konieczność brania pod uwagę najbardziej pokrzywdzonych”. Jego koleżanka pani Lingelser wspomina znaczenie jego obecności. „Za każdym razem jak gubiliśmy się, mówił jakieś słowo tak ludzkie, że wracaliśmy do tematu”. Zbrojony w cierpliwość Ojciec Józef po sześciu latach osiąga zamierzony cel: Rada podejmuje inicjatywę pogłębionych badań dotyczących nędzy. W 1985 roku rzecz jest postanowiona, a Ojciec Józef mianowany sprawozdawcą. W ciągu dwóch lat zmobilizuje rodziny, Wolontariat, setki przyjaciół, polityków, urzędników, władz, stowarzyszeń. Uniwersytety Powszechne Czwartego Świata, które w międzyczasie zaistniały w całym kraju, nabierają pełnego znaczenia. Wraz ze wszystkimi partnerami społecznymi, najubożsi opracują swój Raport: „Wielkie ubóstwo i niedostatki ekonomiczne i społeczne”. Sprawozdawcy nie zależy na podpisaniu raportu własnym nazwiskiem, ale na osiągnięciu zgody narodowej wokół najuboższych rodzin.

Jak on to osiągnął nie ustępując ani z opisu stanu rzeczy, ani z propozycji rozwiązań? 11 lutego 1987 r., Rada Ekonomiczna i Społeczna przyjmuje definicję ubóstwa w kontekście Praw Człowieka, przez co Ojciec Józef nadał swemu Raportowi charakter uniwersalny. Rada orzeka i ukazuje, że wielka nędza stanowi pogwałcenie wszystkich Praw Człowieka. Stwierdza, że tylko polityka ogólna, wspólna, dalekowzroczna i przyszłościowa przeciw ubóstwu i na rzecz Praw Człowieka oparta o powszechnie obowiązujący tekst prawny może osiągnąć cel.

Raport Wrześcińskiego staje się w ten sposób rodzajem karty praw dla każdego narodu pragnącego walczyć z wielkim ubóstwem. Pod koniec swego życia Ojciec Józef ofiarowuje ten raport w spadku najbiedniejszym świata i tym, którzy pragną być z nimi solidarni. Raport polityczny – o którym Jean René Masson powie jeszcze, że: „W miarę jak się wczytujemy w ten tekst, uderza nas przede wszystkim

jego akcent głęboko ludzki” – staje się raportem Rady Ekonomicznej i Społecznej (CES) najczęściej czytany. Ponad dwadzieścia pięć tysięcy egzemplarzy jest rozprowadzonych w przeciągu dwóch lat na wszystkich kontynentach. Zapraszany na konsultacje przez ministrów, szefów państw, organizacje międzynarodowe, Ojciec Józef pozostaje wierny samemu sobie: nie przedstawia się jako autor. Rada nazwie go „Raportem Wrześnińskiego” i nazwa ta przyjmie się w instancjach międzynarodowych, „zrobić Raport Wrześnińskiego dla Włoch, dla Europy”. Ale ten, który wyczerpał swoje siły na zrealizowanie go, nie zaniebując innych swych zajęć, pozostaje trzeźwy. Wie, że karta ta, w historii walki z nędzą stanie się faktem historycznym wtedy, kiedy CES pozostanie nadal jej gwarantem. Osobiście zaś jest szczęśliwy, że jego tekst stanowi wierny przekład Ewangelii na język polityczny. Nie chciał czynić nic innego. Nigdy nie zrezygnował z niczego, co było treścią jego wiary i podobnie jak nie chciał być menagerem ani ekspertem, nigdy też nie chciał być politykiem.

Gabriel Ventejol, Przewodniczący Rady Ekonomicznej i Społecznej, wręczając mu odznaczenie oficcerskie Narodowego Orderu Zasługi w 1986 roku powiedział: „Najubożsi nie stanowili jego sprawy ani nawet sprawy jego Kościoła. Stanowili sprawę wszystkich ludzi i mógł ich zgromadzić wszystkich. Ojciec Józef wydaje się być z tych, którzy skłaniają współczesnych... by wpływali na bieg historii. Nie był z pewnością od razu prorokiem w swoim kraju. Musiał mieć energię, wytrwałość i trzeźwość, aby przekonać współobywateli zarówno ubogich jak nieubogich, że nadszedł czas zmian, czas, by nabrać odwagi i podjąć nowe rodzaje działań i nowe formy reprezentowania, czas nowej demokracji. To nie tylko w kwestiach humanitarnych... ale także w życiu politycznym Ojciec Józef zmuszał nas, byśmy przekraczali nasze możliwości... Nie uważał się za prekursora, lecz chciał być świadkiem tego, do czego ludzie są zdolni, sługą tego, co przynoszą najlepszemu swoim czasom”.

## **Czy byłem wierny?**

Na wszystkie zaszczyty (w 1976 r. został mianowany kawalerem Legii Honorowej) Ojciec Józef odpowiadał zawsze jednakowo: „Jaka to szansa dla rodzin! To im świat oddaje cześć”. On sam w życiu publicznym zachowuje wciąż głęboką troskę, by zostać

wiernym swemu kapłaństwu: „Jemu tylko służyć będziesz” „... Musiałem to sobie często powtarzać. Stawszy się członkiem Rady Ekonomicznej i Społecznej, spotykając regularnie głowy państw, zwracając się do Rady Ekonomicznej i Społecznej ONZ, otrzymując pomoc ze Wspólnoty Europejskiej i z Rady Europy, zajmowałem, mimo wszystko jakieś miejsce w życiu publicznym. Czy trwałem jeszcze wiernie przy Jezusie? Rodziny Czwartego Świata są moim ludem, nie mogę sobie wyobrazić życia poza nimi. Ale czy jestem jeszcze z nimi tak, jak wymaga tego Ewangelia? Czy jestem głosem mego ludu, który cierpi i ma nadzieję? Zdobyty prestiż, czy jest ich prestiżem, ich – wreszcie uznana – godnością?”

Aż do końca będzie tak składał w ręce rodzin osiągnięcia swego życia on, człowiek, kapłan, obywatel. Troska z powodu ich trosk, rozpacz, bo są w rozpacz, bezsenne noce spędzone w jakiejś rodzinie, gdzie nadmiar cierpienia spowodował wybuch agresji, a także wysiłek wychodzenia do świata, który nie jest jego światem, czy to wystarczy? Czy dostatecznie ich kochał?

## Rozdział trzynasty

### „Ufam”

#### „Kościół nam zaufał”

Widzieliśmy jak Ojciec Józef stał się ważną osobistością w świecie. Jakie było jego miejsce w Kościele od momentu zakopania się w Obozie Noisy-le-Grand? Opuszczając swoją parafię w Aisne, porzucił sytuację uznawaną, nie otrzymując innej w zamian. Biskup Douillard z Soissons wiedział, że pragnie się obecności księdza w obozie dla bezdomnych. Dlaczego taka prośba, jaki cel tej obecności? Abbé Pierre stworzył to miejsce, ale jego celem nie było życie tam ani prowadzenie akcji duszpasterskiej wśród tych rodzin. Dwaj inni księża próbowali to robić. Obydwaj zrezygnowali. Nie było w tym Obozie ani placówki Kościoła, ani zorganizowanego życia religijnego. Kto wiedział naprawdę, czego należy wymagać od księdza idącego do tych rodzin bardzo biednych, ale także głęboko zdemoralizowanych?

„Mój biskup mi powiedział: „Zostaniesz tak długo, jak będziesz chciał, pozostajesz związany z diecezją, w każdej chwili możesz wrócić”. Nie wiedział więcej ode mnie i pozostawił mi wolność wyboru. Wszystko zbudowałem na jego zaufaniu”. Ojciec Józef będzie zawsze dumny z tego zaufania, nie ze względu na siebie samego, ale ze względu na Kościół. Mówił często, że siłę Kościoła stanowi jego podatność na zranienie i zaufanie. Wzajemnie ufa uparcie Kościołowi. Pytany często jakie oparcie Kościół mu daje, odpowiadał zawsze z tą samą stanowczością: „Kościół pozostawił mi wolną rękę. Nie mógł zrobić więcej. Wyszedłem z przetartych szlaków. Kościół mi zaufał”.

Czy nie mógł mu jednak więcej pomóc, gdy był sam, bezbronny i nieznany i często nie jadł do syta? „Jeśli Kościół nie podtrzymywał nas swymi strukturami, to także nie starał się nami posługiwać. Okazał nam wiele szacunku”. Kardynał Marty mu to przypomniał

i Ojciec Józef zachowa w sercu jego słowa: „Chcieliście stworzyć Ruch, w którym ludzie wszelkich wyznań zgromadzą się wokół ubogich. Najlepszym sposobem pomocy jest wyrazić na to zgodę i pozwolić wam iść waszą drogą”. Zresztą Kardynał Marty dorzucił jeszcze: „Może ten Ruch, który nie jest Ruchem kościelnym jest właśnie autentycznym wyrazem Kościoła jutra?”. Ojciec Józef, który nie uważa się za prekursora, jest szczęśliwy z tej decyzji. Jest przekonany, że najbiedniejsi prowadzą zawsze Kościół ku temu, co stanowi jego istotę. I kocha ten Kościół, który, koniec końców, pozwala im się prowadzić. Broni go: „Trzeba stwierdzić, że Kościół nigdy nie zwątpił w naszą szczerłość. Nie przestał nam ufać”.

W styczniu 1965 r. pisze: „Zapomnijmy o historii jego dzieł miłosierdzia i instytucji samopomocowych. Posłuchajmy tylko bicia serca każdego księdza w parafii, każdej zakonnicy w klasztorze. Dla kogo bije ono jeśli nie dla biednych? Wszyscy, którzy odwiedzali nas w Noisy-le-Grand, wyrażali nam w ten lub inny sposób swoje pragnienie obecności w świecie nędzy albo niepokój, że w nim nie są”.

Czy Ojciec Józef nie idealizuje? Czy Kościół istotnie zrobił wszystko, co mógł, czy nigdy go nie hamował? Gilles Anouil zasypuje go pytaniami na ten temat, pisząc książkę – wywiad „Ubodzy są Kościołem”, ale Ojciec Józef nie uznaje pochopnych ocen. „Kościół głosił roztropność i cierpliwość księżom i świeckim rozproszonym na terenach nędzy. Są oni liczniejsi niż się przypuszcza, nędza jest zawsze miejscem zbierania się i gromadzenia ludzi... Może nie zawsze robią to, co należałoby robić, ale ten kto spotkał wielką nędzę jest przeznaczony na całe życie. Rzadko się zdarza, by ludzie ci nie stali się ludźmi sprawiedliwymi i ludźmi pokoju. Wiedźcie, że Kościół ich wszystkich nie opuścił. Dał im wolność, by szli aż do końca, dzieląc swoje życie z życiem najuboższych. Oczywiście chcielibyśmy, by Kościół był bardziej aktywny, bliższy tych, którzy starają się dotrzeć do rodzin żyjących w samym sercu nędzy. Ludzie ci czasem wpadają w rozpacz z powodu pozornej bezużyteczności swoich wysiłków”.

## **Głosić przebaczenie Boże tym, których świat potępia**

Mówiąc tak, Ojciec Józef nie mówi o sobie. On wybrał wspólnotę losu z najuboższymi, a to, że mógł dzielić ich cierpienia, stanowiło z pewnością wielkie dobro dla rodzin. „Mógł być dla nich, przez

te wszystkie lata, pasterzem”. To najważniejsze: „W Obozie Noisy najubożsi nie stanowili tylko części mojej parafii. Paręset rodzin w zupełnej nędzy stało się moją parafią. Prawdę mówiąc wtargnęły one w moje życie i stały się moją niekończącą się szkołą”.

„Rodziny, które nędza zmuszała do błąkania się po drogach Francji, które nie miały „gdzie złożyć głowy”. Rodziny wygnane przez społeczeństwo francuskie, jak wygnana była Święta Rodzina ze społeczności żydowskiej za czasów Heroda. Matki, które kładą noworodka w pudle tekturowym lub skrzynce znalezionej na targu. Pracownicy bez pracy lub podejmujący się prac dorywczych, dziecko odebrane rodzicom z powodu zbyt wielkiej nędzy. Mężczyźni i kobiety, od których otoczenie stara się trzymać z daleka, koło których nie chciano siadać w autobusie”.

„W Obozie dla bezdomnych w Noisy-le-Grand, ksiądz, którym byłem ja, żył jak Chrystus w Ewangelii z trędowatymi, opętanymi, Samarytanką, paralitykiem, któremu nikt nie pomógł zejść do sadzawki Betesda w odpowiednim momencie... Żyłem z tymi najbiedniejszymi z biednych, których Jezus bezustannie wydobywał z sytuacji odrzucenia, umieszczając ich w centrum tłumu. W samym centrum walki, nie waham się tak powiedzieć, to byli pierwsi świadkowie, pierwsi partnerzy Królestwa, które już się realizowało w życiu Pana Jezusa”.

„Tam zrozumiałem, że nie wystarczy zanurzyć się w nędzy, a tym bardziej zrobić to samemu. Jezus podnosił najuboższych: jesteś zbawiony, idź i nie grzesz więcej. Innymi słowy, ponieważ jesteś zbawiony idź i buduj odtąd i ty Królestwo Boże. To było moim pierwszym zadaniem i jest nim wciąż: powiedzieć najuboższym rodzinom: „Jesteście zbawieni, teraz wy bądźcie świadkami Królestwa. Idźcie podtrzymać, idźcie bronić biednych, jeszcze biedniejszych od was”.

„Nieść rodzinom zbawienie Boże, głosić przebaczenie, to było i pozostaje nadal najistotniejsze, ponieważ nędza niszczy ludzi i niszczy rodziny... dając im nieustające poczucie winy i wstydu. Tym bardziej, że otoczenie wypomina im wciąż nieudolność i słabość. Cóż mogło być moją pierwszą troską kapłańską, jeśli nie głoszenie Bożego przebaczenia rodzinom, którym wytykano ich winy tak jak to było z najbiedniejszymi, „nieczystymi” w czasach Jezusa?”.

Ojciec Józef mówi tak w Aix-la-Chapelle w 1986 r. na Kongresie Katolików Niemieckich (Katholikentag) odbywającym się pod hasłem „Przyjdź Królestwo Twoje”. Już w 1985 r. czasopismo „Prier”



zanotowało podobne jego słowa: „Całe ich istnienie jest wołaniem o miłosierdzie: „Nie chciałem bić mojej żony... Nie chciałam przeklinać mego męża. Co dzień powraca pytanie: „Czy to moja wina?... niech ksiądz powie, to przecież nie z mojej winy?”... I pismo dodaje: „Nigdy nikt nie mówił tak jak Ojciec Józef o tej potrzebie rehabilitacji i przebaczenia, która tkwi w ludziach pogrążonych w nędzy. „Niesłychana nędza przeżywana jako jakaś wina”. W jego oczach Czwarty Świat jest tą najsłabszą częścią ciała mistycznego, w której uobecnia się bezustannie Męka, ale również Zmartwychwstanie Chrystusa”.

### **Nie krytykować Kościoła, ale w jego imieniu krytykować niesprawiedliwość panującą na świecie**

Ojciec Józef kroczy drogą Ewangelii w głębokiej jedności ze swym Kościołem. W „Znakach Czasu” w 1987 r. pisze: „Chrześcijanie nie powinni krytykować Kościołów. Natomiast w sercu Kościołów winni zakwestionować istniejącą krytykę Kościołów, wystąpić przeciw niej. Jeżeli wyrażam swój sprzeciw, ponieważ dziś sto tysięcy szesnastolatków kończy szkołę nie umiejąc czytać ani pisać, to nie ja indywidualnie wyrażam swoją krytykę, ale mówi to Kościół, który jest moją ojczyzną, powietrzem, którym oddycham, moją miłością”.

Jedną z ulubionych modlitw Ojca Józefa w czasie celebrowania Eucharystii są słowa: „Nie pamiętaj o naszych grzechach, ale o wierze Twojego Kościoła”. W czasie zgromadzenia sprzymierzeńców<sup>22</sup> Ruchu 1 czerwca 1986 roku w Pierrelaye tak się modli:

„W Twej serdecznej miłości ogarnij Panie sercem wszystkich ludzi  
małych, prostych, bez żadnego znaczenia  
tych, którzy wyniszczają się w służbie innym  
tych, których się krytykuje i o których się zapomina.  
Przyjmij w swe serce najmniejszych,  
pokornych, biednych,  
kobiety, które są gospodyniami na plebaniach,  
katechetki,  
kobiety szepczące różaniec,  
które są opoką, trwałością Twojego Kościoła.

---

<sup>22</sup> Sprzymierzeńcy (les alliés) na równi z działaczami Czwartego Świata i stałymi wolontariuszami są pełnoprawnymi członkami Ruchu.

W swej serdecznej miłości Panie, nie zapomnij nikogo,  
nikogo spośród tych, którzy cierpią i którzy się boją,  
nikogo z tych, którzy się kochają  
i którzy tak bardzo potrzebują Ciebie,  
by żyć miłością.

Przyjmij do siebie, Panie, wszystkich ludzi.

Wszyscy są Twoimi dziećmi.

Nie pamiętaj o ich grzechach,  
ale wspomnij na wiarę Twojego Kościoła,  
na modlitwę Twojego Kościoła,  
na miłosierdzie Twojego Kościoła.

Przyjmij ich, by byli obok Najświętszej Panny Maryi,  
przedziwnej, najcudowniejszej,  
niezwykłej Dziewicy Maryi

Matki Twojego Syna

obok świętego Józefa, o którym mówi się tak mało”.

Od księdza, który tak się modli, nie można oczekiwać poparcia dla jakichkolwiek ruchów kontestujących Kościół.

### **Stałe Forum „wielka nędza w świecie”<sup>23</sup>: zgromadzić tych, którzy walczą sami poza wszelkimi strukturami**

Ojca Józefa niepokoi samotność niektórych księży i świeckich zajmujących się pomocą dla ubogich. Wielu przychodzi do niego. W latach sześćdziesiątych decyduje się prosić księdza Rodhain<sup>24</sup> o pomoc dla nich, o środki materialne, których stale im brak. Zdobywają je tylko przez bezustanne apele o ofiarność społeczną. Jest to dodatkowe niepotrzebne cierpienie.

„Nie udało się tego zrealizować i liczni są ci, którzy nadal wegetują i wyniszczają się, aby wyciągać najbiedniejszych z ich tragicznej

<sup>23</sup> Stałe Forum gromadzi osoby, które w ponad stu krajach działają z najuboższymi indywidualnie lub w stowarzyszeniach. Za pomocą korespondencji, drukowanego w trzech językach „Listu do przyjaciół w świecie” i spotkań regionalnych (pierwsze było Forum Afrykańskie w 1981 r.), Stałe Forum umożliwia wymianę wiedzy i doświadczeń oraz podtrzymuje osoby żyjące czasem w wielkim osamotnieniu.

<sup>24</sup> Ksiądz Jean Rodhain był kapłanem JOC, w czasie wojny kapłanem więźniów i robotników francuskich, a w latach 1944-1945 opiekunem ludzi zwalnianych z obozów niemieckich. Przejęty nędzą powojenną, tworzy w 1946 r., przy poparciu episkopatu francuskiego, organizację charytatywną Secours Catholique Français (dosłownie Pomoc Katolicka Francuska), która niesie pomoc biednym we Francji i poza jej granicami.

sytuacji. To, że widziałem, że zmuszeni są, podobnie jak ja, żebrać stale o jakiegokolwiek środki, było i moim cierpieniem. Dlatego stworzyliśmy potem Klub Wiedzy i Usług, aby ich wspierać”.

Cierpienia osób niosących pomoc najuboższym pobudzają Ojca Józefa do działania. Pierwsi wolontariusze przypominają sobie przyjazd pani Magnan z La Rochelle do Obozu w Noisy. Samotnie udziela pomocy rodzinom, które schroniły się w opuszczonym bunkrze na Wybrzeżu. Ojciec Józef ofiarował jej kilka tysięcy franków, które były zaoszczędzone na zbudowanie terenu gier dla dzieci Obozu Noisy. A Matka Teresa, która przyjechała spotkać się z Ojcem Józefem w tym samym czasie, otrzymała najpiękniejszy krucyfiks z kaplicy.

Tak więc w latach sześćdziesiątych ruch zrodzony w Noisy staje się miejscem spotkań, wzajemnego dodawania odwagi i wymiany doświadczeń dla setek małych organizacji i tysiący osób zaangażowanych w pracy z najędźniejszą ludnością na całym świecie. Mniej więcej jedna czwarta wywodzi się ze środowisk chrześcijańskich: zakonnice zagubione w dzielnicach nędzy, bardziej opuszczone niż inne gdzieś w Ameryce Łacińskiej; ksiądz pracujący w więzieniu na peryferiach miasta na południu Sahary... Usłyszeli o Ojcu Józefie od przyjaciół lub przeczytali w czasopiśmie religijnym. On, który miał czasem za jedyne okrycie proboszczowską pelerynę, nie może znieść ich samotności i biedy. Tworzy pomału szeroką sieć korespondencji osobistej. Sam odnajduje tych, którzy walczą w podobny sposób, samotni na terenach nędzy, nieznanymi światu. Kluby Wiedzy i Usług stają się tym Forum „wielkie ubóstwo w świecie”, które dało początek wyjazdom wolontariuszy ku czterem kontynentom. Liczy ono w 1988 roku ok. 5 milionów członków: poszczególnych osób lub małych stowarzyszeń.

Tak to Ojciec Józef, wychodząc z murów Kościoła, gromadził tych, którzy tak jak on znajdowali się na pustkowiu, wydani na ataki nędzy podobnie jak sami najubożsi. Dzięki niemu są już znani, gromadzą się okresowo w UNESCO. A przede wszystkim formują się razem bez różnicy wiary i narodowości. Ojciec Józef uważa jednak, by ich w jakiś sposób oddawać Kościołowi. Nie jedzie nigdzie nie uprzedziwszy biskupa diecezji, zawsze prosząc go o radę i pomoc. Będąc poza murami, buduje jednak Kościół i to ku niemu prowadzi swoich. To w imieniu Kościoła i w imieniu wszystkich wierzących, świeckich i duchownych, rozproszonych na cztery strony świata,

nie zgadza się, by obraz Kościoła ubogich był zniekształcany przez niesprawiedliwą krytykę. Ksiądz Jean Pardon, jego współbrat z diecezji z Soissons przypomni to sobie po jego odejściu do Boga: „Mogłeś tak, jak wielu innych, na widok krzyczących niesprawiedliwości oskarżać Kościół, że stoi u boku bogatych, flirtuje z wszelką władzą, jest Kościołem dla bogatych. Ty, Józefie, wołałeś głośno i z jakąż miłością: Kościół to biedni! Dowodziłeś tego nie tylko przez swoje pisma, ale przez swoje życie i życie tych, których prowadziłeś w swoje ślady”.

Ojciec Józef staje się nie tylko świadkiem, ale także przedstawicielem tysięcy kobiet i mężczyzn, którzy żyją Kościołem w miejscach zapomnianych przez świat. Nie broni jakiejś idei Kościoła, ale jest świadkiem Kościoła Jezusa Chrystusa ubogiego. Nie znosi, by wierzący rzucali oszczerstwa na Kościół. To obraża samego Jezusa Chrystusa, a także zdradza nadzieję najuboższych. Kogo winić za to, że rodziny Czwartego Świata nie są w centrum wspólnot chrześcijańskich? A jeśli wierzący sami oskarżać będą Kościół, jaka nadzieja pozostanie dla tych rodzin?

### **Przywrócić najuboższych Kościołowi**

Ojciec Józef czuje się odpowiedzialny: „zawsze marzyłem, żeby oddać najuboższych Kościołowi”. Nie wszyscy rozumieją te słowa. Czy to nie raczej Kościół należy oddać ubogim? Zdaniem Ojca Józefa Kościół do nich należy. Jeżeli nie są oni w centrum jego troski, jego parafii i katedr, to może to one nie są już Kościołem...” Świat pracy nie jest monolitem. Ma to oblicze ukryte... tę część swego ciała ułomną, którą jest Czwarty Świat. Jezus Chrystus ukrywa się w nim oczekując swoich księży. Mówi się, że powinniśmy być wśród świata pracy, ponieważ jest to świat nadziei. Wszyscy się na to zgadzamy, ale obok istnieje świat rozpacz, „podproletariat”, który wymaga od nas zupełnego ogołocenia. Nie możemy się do niego zbliżyć inaczej, jak tylko pozostawiając wszystko. Nie możemy go bronić, nie kompromitując siebie. Nie możemy dzielić jego życia, nie dając mu naszego. Bo ten świat nędzy jest światem miłości, światem w którym Chrystus czuje się w pełni u siebie, ponieważ jest to jego świat. Od tego świata Kościół może wszystkiego oczekiwać, ponieważ Kościół tak samo nie jest z tego świata i musi być wybawiony od złego”.

Z tym światem Kościół przeżywa wspólnotę losu „tak jak świat nie chce Kościoła służebnego i ubogiego, tak samo nie chce, by najubożsi byli widoczni i uznani za takich. Usiłuje przypisać do nich przymiotniki, które dadzą do zrozumienia, że są oni odpowiedzialni za swoją sytuację tak samo jak było z Jezusem Chrystusem. Miał się okazać winnym a nie ofiarą”.

Przez „oddanie biednych Kościołowi” Ojciec Józef rozumie przywrócenie mu w pełni jego własnego posłannictwa. Ma nadzieję, że księża, zakonnice i świeccy będą coraz liczniej uczestniczyć w życiu ubogich „na placach i zaułkach miast, na drogach i wśród opłotków”. Jezus uczynił to pierwszy. „To on wziął na siebie nasze słabości i obciążył się naszymi chorobami”, przypomina Ojciec Józef za św. Pawłem. „Czy można sobie wyobrażać ograniczenie tego przyjęcia na siebie? Czy Jezus mógł wziąć na siebie choroby opętanego, nie biorąc także obrzydzenia i strachu jakie budził? Czy mógł brać na siebie cierpienia trędowatych, kobiety cierpiącej na krwotok, nie przyjmując nieczystości, która związana była z ich chorobą? Na te pytania Jezus Chrystus nie odpowiada słowami, ale swoim życiem”.

Wsluchując się w te słowa, rozumiemy może lepiej, jak Ojciec Józef znosił cierpienia, nie skarżąc się na oszczerstwa, którymi go obrzucano w pierwszych latach życia w Obozie. Stanowiło to dla niego część tego życia Ewangelią jakim było trwanie między rodzinami niesłusznie wyklętymi. Francois i Marc Sejourne, którzy prowadzą z nim wywiad w 1985 roku dla pisma „Prier” (modlić się) wyrażają swój zachwyt: „Prosiłem go, żeby mi powiedział coś o swojej modlitwie. Jego okrągła twarz i dobre spojrzenie zwróciły się ku innej rzeczywistości, bardziej obecnej niż to pomieszczenie zapchane notatkami i teczkami. Spokojnie, tak jakby był sam, zaczął mówić:

„Pan, gdy zanurza nas w środowisku nędzy, nie tyle oczekuje od nas słów, co przymusza nas do trwania w pokorze. Nie mamy niczego oczekiwać od ludzi, wszystkiego oczekujemy od Boga”.

„Człowiek zanurzony w świecie nędzy jest uważany za kogoś ekscentrycznego, podejrzanego. Chrystus ten stan nie tylko akceptował, On go wybrał”.

„Nie można sobie wyobrażać tego, co ubodzy nam mówią. Trzeba mieć spojrzenie Pana Jezusa. Spojrzenie współczucia, serdeczności, wyrozumiałości, które nigdy nie oskarża. „Jestem cichy i pokornego

serca” – to jest modlitwa Pana, który może wszystko rozumieć, we wszystkim uczestniczyć, przebaczać tak bogatym jak biednym”.

„Modlitwa powinna być pokorna, aby mogło się być przekonującym zarówno w środowisku ubogich, jak bogatych. Takiej modlitwy w sercu nędzy Pan się od nas domaga. Nie tyle słów, co postawy. „Kim jestem Panie przed Tobą, który jesteś obecny w tym świecie nędzy?”. Chrystus nie odgrywał komedii, nie udawał, że jest w nędzy, głodny, brudny, że czuć Go zapachem tych, którzy Go otaczali. To nie była gra, ale prawdziwe dzielenie się tym, co było dla Niego najważniejsze: miłością Bożą”.

„Chrystus nie szukał niczego dla siebie samego, nie szukał rozgłosu. To biedni dali Mu imię, które jest ponad wszelkie imię. Jemu, który poniżył się tak, że mówiono o Nim: „Zwariował!”

## **Sprzeciw wobec odrzucenia, ale także wobec przyciągania na siłę**

W Obozie w Noisy Ojciec Józef zbudował kaplicę, w której mogliby się modlić zarówno bogaci jak i biedni. „Jakie inne miejsce lepiej niż to mogłoby łączyć wierzących w kontemplacji Jezusa poniżonego i wykluczonego”. Ale mówi również: „Jak przyjechać z Paryża, modlić się w tej kaplicy, jeżeli nie powie się rodzinom, że są oczekiwane także gdzie indziej?”. Ojciec Józef przyjmuje w ciągu lat coraz więcej wierzących świeckich i duchownych, z których ponad dwustu zostaje wolontariuszami. Ale cierpliwie odradza wszelką działalność religijną, która byłaby marginalna w stosunku do Kościoła. Nie zgodził się na stworzenie „wspólnoty ubogich”. „Ksiądz Cardijn, tworząc Robotniczą Akcję Katolicką, nie zbudował barier, za którymi każde środowisko zbawiałoby się samo. Kościół nie zna takich podziałów. Ludzkość zbawi się wraz z najbiedniejszymi, oni stanowią jej szansę, trzeba, by mogła z niej skorzystać”.

Ale nie stanowi szansy dla Kościoła proste pozyskiwanie rodzin. Ojciec Józef będzie także ostrożny w stosunku do grup modlitewnych, pielgrzymek kierowanych przez przyjaciół ruchu, nie rozumiejących konieczności należytego przygotowania. Czy będą oni naprawdę umieli pozwolić rodzinom wyrażać się w nowym języku, nie wpadając w zrutynizowany język Kościoła, który jest dla nich niezrozumiały. „Biedni rozumieją Boga po swojemu. Nie należy ich

zmuszać, aby zwracali się do takiego Boga, jakiego nie rozumieją. Bóg, którego znają najbiedniejsi, jest inny niż nasze kultury im przekazały. Oni nie odczytują Biblii ani Ewangelii tak jak my”.

Żyjąc w Obozie w Noisy, Ojciec Józef stworzył pierwszą grupę badań religijnych („Kościoł i Rodziny Wydziedziczone”). Jeżeli w Tergnier rozpoczął zajęcia z J.O.C. w pralni, to w Noisy-le-Grand zaczyna prace nad duchowością najuboższych rodzin w baraku, gdzie stare materace służą za fotele.

Nie odrzucać, ale też uszanować odrębność i prawo decydowania o własnym życiu, znaleźć dla najuboższych rodzin nowe miejsce we wspólnotach, oto cały program. Ojciec Józef, poczynając od lat sześćdziesiątych, przy pomocy niekończącej się korespondencji osobistej nawiązuje przyjaźń zarówno we Francji, jak i na całym świecie. „To nie było obowiązkiem... każdy nowy korespondent mógł stać się przyjacielem... każda osoba była osobą do zdobycia, osobą niezbędną”. Píše także do każdego przez czasopismo „Igloos”, które wydawane będzie długo na powielaczu kupionym z drugiej ręki, umieszczonym w jednym z baraków w Obozie. Redaguje „słowo religijne” dla każdego numeru, ale pismo nie ogranicza się do samych wierzących. Przynosi przesłanie niezależne od wiary „Uwolnijcie mój lud...”, „Przyjdźcie służyć, słuchać, potem zacznijcie sami wyszukiwać prześladowanych, kulawych, ślepych, tych, których świat zakwalifikował jako śmieci, dzieci – męczennicy, ich matki płaczące, bo wydarto im dzieci... co warta jest wasza walka bez nich, jeżeli oni nie zajmą należnego im pierwszego miejsca, nie odnieśliście zwycięstwa. Ale jeśli nie poznaliście ich sercem, skąd będziecie wiedzieć, jakie miejsce im ofiarować?”.

Jakby nie było, „parafia” Obozu w Noisy jest parafią w drodze. Lud porzuca niewolę. Z Ojcem Józefem cały lud wypływa na szerokie wody, rozprzestrzenia się po świecie, ukazując nowe horyzonty. Jak powiedziała nam pewna przyjaciółka z Watykanu w 1982 roku: „Gdy przychodzi do nas czujemy ożywczy powiew”.

## **Ruch wszelkich wyznań, ponieważ jeden jest Bóg**

Oddać najuboższych Kościołowi, ale także oddać ich światu... W ten sposób zaczyna się szybki rozwój Ruchu wszystkich grup społecznych, ale także wszelkich wyznań, co dla wielu przez długi



okres było niezrozumiałe. Założyciel sam wskazuje drogę, ale nie daje ani teorii, ani przepisów. Sam żyje jednością, tworzy ją wokół siebie.

Prawdą jest, że dla Ojca Józefa gromadzenie wszystkich ludzi jest w pierwszym rzędzie zadaniem księdza, zadaniem Kościoła. „Doświadczylem szansy, którą mają katolicy i w ogóle wierzący: wychowanie prowadzi ich do kochania drugiego człowieka... Myślałem, że należy ofiarować wszystkim ludziom ten przywilej, który mamy my wierzący. Wydawało mi się, że prosta sprawiedliwość wymaga, aby pozwolić każdemu człowiekowi, jaka by nie była jego wiara, jego idee, jego kultura, zejść najniżej po drabinie społecznej. Trudno jest sobie wyobrazić, jak jest to ciężko zrobić tym, którzy nie mają przywileju życia w tych środowiskach, w których my żyjemy, my, którzy należymy do Kościoła”.

Czy to dzieło księdza katolickiego nie będzie prowadzić do ruchu w Kościele? Ojciec Józef woli mówić, że jest to ruch wszystkich religii, że należy do wszystkich ludzi dobrej woli. „Być poza murami, nie znaczy być znikąd. Wszyscy gdzieś przynależymy, a jednocześnie nas najbardziej. Jednoczy nas woła, aby to oni stali się zaczynem we wszystkich naszych religiach i wierzeniach. Należymy do wszystkich Kościołów i będziemy im użyteczni w stopniu, w jakim będziemy im przynosić umiejętność modlitwy, poznanie Boga najbardziej. To Kościoły odpowiedzialne są za ewangelizację, my jesteśmy tylko pośrednikami, ale to my stanowimy równocześnie gwarancję przeciw nieuczciwemu zdobywaniu wyznawców, tak samo, jak przeciw odrzucaniu poza nawias. Wolontariat poza murami gwarantuje powrót najbardziej przez szeroką bramę”.

„Czy nie wciągacie nas w sprawę bez przyszłości” – pyta go przyjaciółka z Holandii. „U nas wszystko jest uporządkowane, każdy musi wybrać swoją etykietkę”. Ojciec Józef tak nie myśli: „To nie jest sprawa jakiejś klasyfikacji, to jest kwestia zaufania. Ja zaufałem. Pani też zaufała, ponieważ pani tu jest. Boga nie interesują nasze etykietki. On jest Bogiem, który gromadzi, który obiecuje jedność wszystkim rozproszonym ludom. Proszę przeczytać od nowa świętego Jana. To zgromadzenie, to Bóg go dokonał, ono istnieje. Jest to misterium ukryte przed uczonymi, ale ubodzy chwytają je od razu. Wystarczy nam oddać się na ich służbę, kontemplować ich. Jedność dokonuje się wokół nich, oni są Jego Synem”.



Ojciec Józef może zaufać Kościołowi i ludziom, ponieważ jest pewny Boga. Może złożyć swoje ziemskie życie w ręce ludzi, ponieważ sam Bóg zrobił to pierwszy. Kiedy mówi: „historia nas niesie”, myśli o historii Boga ze swoim ludem. Między nim a Bogiem nie ma zwykłego zaufania, ale pewność, która nas przerasta. Bóg stanowi jego pewność nawet wtedy, kiedy rozpacza, że trzeba czekać, by Bóg interweniował, by ustało nieszczęście. Jego zaufanie do ludzi jest wyzwaniem, które Bóg sam rzucił swoim dzieciom. O tym Bogu, który wydaje się ludziom przez miłość, tak dobrze mówi w swoich książkach. Jest to zaufanie zrodzone z miłości, która pragnie, by drugi był wolny, aby wzrastać. Miłość, wolność, zaufanie – są nierozłączne. Wielu dziwiło się, patrząc w jaki sposób Ojciec Józef nimi żyje. Każdy koło niego wzrastał, bo on chciał, by każdy był większy od niego. Umiał sprawić, że rodziny kompletnie zniszczone przez nędzę potrafiły zapanować nad sytuacją i stanąć na własnych nogach. „W nich także mieszka Duch Święty!”. Skąd czerpał odwagę, by tak wierzyć w wielkość człowieka? To jego tajemnica, tajemnica przymierza, której nie możemy zrozumieć, o której nigdy nie mówi, ale którą można odczytać ze wszystkich jego modlitw. Te modlitwy, równocześnie tak spontaniczne i tak napełnione Pismem Świętym, stanowiły jego siłę. Ofiarowywał je i nam, aby także i nam pomóc modlić się razem z najbardziej niebezpiecznymi.

„Ojcze nasz...

Tak, mówimy do Ciebie,  
jak Jezus nas tego nauczył,  
ponieważ kochał Swego Ojca miłością szaloną,  
ponieważ miał doświadczenie  
relacji ze Swoim Ojcem...

Ojcze nasz,  
ponieważ jesteśmy zbawieni,  
a więc stoimy na własnych nogach, zmartwychwstali,  
nowi ludzie, którzy mają środki, by zbudować Twoje Królestwo...

Jezus nas nauczył, aby nie tylko  
oddać się za wszelką cenę w ręce Twoje,  
i nie tylko być Ci poddanym,  
ale być w stałym zjednoczeniu z sercem Twoim.

Ty, nasz Ojciec, stałe odniesienie świata  
i my dzieci Twoje  
dzień i noc trwające w modlitwie  
słuchające, proszące o radę,  
ale także pytające,  
domagające się,  
robiące Ci propozycje...

Daj nam dzisiaj powszedniego chleba,  
dawaj go każdego dnia.  
Poleciłeś nam o ten chleb prosić Ciebie,  
nie jakimś skamleniem, jak żebrak,  
ale prosić, aby Ci powiedzieć, że jesteś zmuszony  
dać nam chleba,  
ponieważ to Ty pragniesz,  
aby każdy człowiek mógł jeść do syta.  
Ty znałeś tyle rodzin, tyle dzieci,  
tyle nieszczęśliwych, umierających z głodu na skraju dróg.

Widziałeś tyle matek i tylu ojców, którzy się bili,  
pluli na siebie,  
oskarżali się wzajemnie, rozstawali się,  
ponieważ nie było chleba w domu.  
Tak Panie, Ty to wszystko widziałeś  
i nie mogłeś się na to zgodzić,  
jesteś zmuszony dawać w obfitości,  
dawać chleb, więc pracę,  
więc naukę w szkole,  
prawdziwy zawód do rąk...  
Chleb to nie znaczy byle jaka praca, wyniszczająca bieda...

Nasz Ojcze, nie możesz nas odcinać  
od wszystkich tych ludów na całym świecie  
pozbawionych możliwości rozwoju,  
wygłodniałych,  
całkowicie skazanych na zależność od drugich.  
Oni są ludem Twoim,  
który wybrałeś przed wiekami.

Przez Jezusa Chrystusa stałeś się  
Ojcem wszystkich ludów.  
Twoje przymierze rozciąga się  
na wszystkie ludy świata.  
Ty nie możesz ich opuścić.

Ojciec, Panie, to ktoś, kto,  
im bardziej jego dzieci są nieszczęśliwe,  
tym bardziej je kocha,  
im są biedniejsze,  
tym bardziej jest przy nich...

Zło, od którego musisz nas uwolnić,  
to zło nieobecności Twojej.  
Sam Jezus nie może go zaakceptować,  
On nie może żyć poza bliskością Swego Ojca  
Tam, gdzie nie ma Ojca, nie może być Syna.  
Wybaw nas od zła Twej nieobecności  
Ojczy nasz, Ty nas opuścić nie możesz”.

## **Gorąca miłość do człowieka**

Ojciec Józef jest pewny Boga Jezusa Chrystusa i jego planu dotyczącego wszystkich ludzi. Wyjaśnia to Jean Claude Caillaux, wolontariusz, teolog i egzegeta, w piśmie „Convergence” w kwietniu 1988 roku.

„Był to człowiek wolny, człowiek wolny, ponieważ człowiek Boży. Ta wolność, ta głębia człowieczeństwa, którą czerpał ze źródeł żywych poila nie tylko jego samego, ale wszystkich, którzy się do niego zbliżali: chrześcijan i niechrześcijan... Umiał kochać razem z drugim człowiekiem, cierpieć razem z nim. Jego spojrzenie, słowa, czasem nieco szorstkie, jakby dla ukrycia wzruszenia, które jednak było widoczne, gest ramion czy ręki, która cię przygarniała jak gdyby po to, byś zrozumiał, że twoja nadzieja jest jego nadzieją a twoje cierpienie jest jego cierpieniem. Powiedziałbym, że był to „człowiek ludzki” tak, jak się mówi człowiek Boży”.

„On wierzył w człowieka. Był gotów zaufać każdemu, kto przychodzi, przekonany, że każdy człowiek, jaka by nie była jego funkcja czy pozycja w społeczeństwie, jego ideologia, zaangażowanie

w związki zawodowe, polityczne czy inne, żyje pragnieniem, aby nędza została zniszczona”.

„Ta miłość do człowieka prowadziła go do niezwracania uwagi na to, co ludzi rozdziela. Uważał on, że nic nie może przeszkadzać ludziom w jednoczeniu się, a szczególnie w jednoczeniu się wokół najbiedniejszych. Ponadto, był przekonany, że rodziny najbardziej poniżone stanowią punkt centralny, wokół którego zjednoczą się ludzie, że w nich właśnie jest wciąż poszukiwany zaczyn pokoju”.

To zaufanie, tę wolę trwania we wspólnocie z każdym człowiekiem Ojciec Józef dzielił z wolontariuszami. Dla niego pochodziła ona zarówno z wiary jak i z samego dna nędzy: „Rodziny pozbawione możliwości dzielenia się z ludźmi i z Bogiem nie mogą dążyć do czegoś innego, jak do świata żyjącego w jedności. „Aby wszyscy ludzie podali sobie ręce” – taka jest nadzieja, która pojawia się w ich księgach zażaleń, w ich Uniwersytetach Powszechnych”. Jest szczęśliwy, widząc Wolontariat rozwijający w sobie to pragnienie „z całą świeżością, z całą niewinnością” – jak lubił mówić.

Między kobietami i mężczyznami wszelkich przekonań religijnych głęboko kocha niewierzących. Ich cierpienie, ich przerażenie wobec nędzy jest największe. Ich wspaniałomyślność i ich pokora są także godne największego szacunku:

„Pomyślcie tylko, mówi na konferencji religijnej w Anvers, pomyślcie, że przez miłość do najbiedniejszych akceptują sąsiedztwo Kościoła, którego nie kochają. I robią jeszcze więcej, z miłości do rodzin pogardzanych przez wszystkich są gotowi życzyć sobie Kościoła, który będzie się odnosił do nich z szacunkiem. Są gotowi iść nagabywać proboszcza parafii, aby troszczył się o katechizację dzieci w osiedlach nędzy”.

## **Jak dalece można dzielić się Bogiem?**

To Wolontariat zdolny do wspaniałomyślności i pokory prowadzi powoli Ojca Józefa do sprecyzowania najgorętszego marzenia dotyczącego Kościoła. Przez całe lata stawiał często pytanie: „Czego właściwie pragniecie dla tych rodzin?”. To pytanie powtarza stale. Stawia je wolontariuszom, ale także rządowi, Radzie Ekonomicznej i Społecznej, Kościołom i organizacjom pozarządowym. „Przyszłe pokolenia sądzić nas będą według ambicji jakimi dzieliliśmy się

z najbiedniejszymi. Czy nasza solidarność prowadzi aż do partnerstwa? Nasze braterstwo, czy prowadzi aż do dzielenia się Bogiem i, jak dalece dzielimy się Bogiem?” Dla samego Ojca Józefa, gdzie kończy się to dzielenie? Ojciec Jean Lecuit, jezuita odkrywa go stopniowo:

„Spotkałem Ojca Józefa pierwszy raz w styczniu 1973. Z tej pierwszej rozmowy zachowałem w pamięci jedno zdanie: „Trzeba żeby ze starego pnia życia religijnego w Kościele zrodziły się nowe pąki”. Otwierając w ten sposób swoje kapłańskie serce przede mną kapłanem i zakonnikiem, Ojciec Józef mówił jak wielkie są jego marzenia... jak głębokie. Bardzo wiele razy w ciągu piętnastu lat słyszałem go, jak mówił o życiu kontemplacyjnym wśród najuboższych. Byłby kupił teren sąsiadujący z osiedlem promocyjnym (tymczasowym osiedlem dla ludzi przesiedlanych z obozu), aby na nim zbudować Karmel”.

Ojciec Józef nigdy nie porzucił tego marzenia, mimo że stopniowo mieszała się z nim obawa, o której już mówiliśmy. Obawa przed pokusą, często bardzo silną, posługiwania się najuboższymi dla jakiś innych celów, a nie dla ich dobra. Dla niego Kościół, który wraca na ziemię nędzy nie zdobywa nic. Przychodzi do siebie, to najubożsi go odzyskują. W ostatnim rozdziale swojej książki „Ubodzy są Kościołem”, Ojciec Józef zwierza się Gilles’owi Anouil: „Mówiłem przez cały czas naszych spotkań o pragnieniu, które mi nie dawało spokoju, aby Kościół zidentyfikował się z nędzą ohydną, odpychającą nędzą naszych czasów, żeby od nowa zidentyfikował się ze sobą, kochając najbiedniejszych i przekazując tę miłość światu, aby jego orędzie dla świata było nasycone miłością, tą miłością, którą kochają go najubożsi, ponieważ rozpoznali w nim oblicze Chrystusa umęczone, spuchnięte, oplute. To ten właśnie Chrystus zmartwychwstał”.

„Kościół jest całkiem bezbronny w świecie, w którym nie może nic narzucić, gdzie jego orędzie jest często wyśmiewane. Tylko najbiedniejsi są równie zależni od innych. Razem mogą odkrywać po wszystkie wieki, że tylko miłość się liczy”.

„Pytacie mnie, czy kapłaństwo, jakaś misja specjalna są niezbędne?... Odpowiedziałbym, że ci którzy poświęcili się Bogu z natury rzeczy są wezwani, aby kochać Boga w najnędzniejszych z ludzi. Nie poprzez nowe akcje dobroczynne, które Kościół organizuje zamiast jałmużny... Myślę o księżach i zakonnicach wysłanych przez Kościół, którego racją bytu jest przebaczenie”.

„Wśród nich ci, którzy prowadzą życie kontemplacyjne mają miejsce specjalne. Od samego początku w Noisy-le-Grand miałem nadzieję, że przyjdą mężczyźni i kobiety, których jedynym zajęciem będzie modlitwa, adoracja i kontemplacja, przynoszenie pokoju. Pokoju, który można dotknąć. Nie wyobrażacie sobie, jak potrzebują go rodziny Czwartego Świata. Jest istotne, by wprowadzić w ich świat, pełen niepokoju, ten element stabilności i ładu. Nieraz zastanawiałem się nad tym, że Kościół modli się, adoruje, śpiewa chwałę Bożą, niosąc w sobie modlitwy ubogich, a ubodzy nie wiedzą o tym i nie mogą się łączyć z tą modlitwą. Obecność ich jest całkiem możliwa, myśleć inaczej to krzywdzić ubogich. Jak Kościół mógł zapomnieć, że ręce mamusi, która grzebie w śmietniku mogą być najpiękniejszymi, gdy złożą się do modlitwy?”

Ojciec Józef odkrywa nam tutaj najgłębsze swe pragnienie, nadzieję, w imię której przez wszystkie lata przyjmował kapłanów i zakonnice obok wolontariuszy. „Trzeba im dać czas – mówił – dodawać im odwagi, by wrócili do źródeł, do duchowości swoich założycieli”. Dzięki niemu szereg zgromadzeń zakonnych odkrywa swe pierwotne powołanie. Sam ufa, że Kościół pójdzie dalej niż pomoc i dobroczynność pod warunkiem, że zgodzi się przejść przez ciszę i kontemplację. „Eucharystia nie jest czymś, co Bogu zbywa, jest samym Bogiem. Nie zlikwidujemy problemu ubóstwa, dając ubogim to, co nam zbywa. Moje kapłaństwo to moja prawdziwa ojczyzna, a moja ojczyzna jest w wśród ludzkości cierpiącej”.

Ale w 1983 roku przyznaje się nam do troski, której nie miał jeszcze w Obozie Noisy-le-Grand. „Kościół otrzymał misję, która przekracza siły człowieka” Kościół musi świadczyć, że ludzie najbardziej zniekształceni, rodziny najbardziej rozbite są mieszkaniem Ducha Świętego, wezwane do modlitwy i kontemplacji, przeznaczone, by dotrzeć na szczyty, gdzie będą mogły oddychać pełną piersią. Kościół ma długą drogę przed sobą. Drogę powrotu do Jezusa Chrystusa, nędzarza. „Rzeczywistego nędzarza”. I tej drogi musi się uczyć, musi się w niej kształcić.

Jak mówi Jean-Claude Caillaux, myśl Ojca Józefa rozwijała się i uściślała. „Świadczą o tym jego pisma i jego biblioteka, która powiększyła się od czasu, kiedy przewoził książki z parafii do parafii w jednym pudle. Dzięki niej poznajemy jego zainteresowania historią Kościoła, historią ubogich i świata robotniczego... Ojciec

Józef uważa, że Kościół i świat zmierza ku nowej wrażliwości na wielkie ubóstwo i ku solidarności z ofiarami. Wnosi z entuzjazmem swój wkład, aby spojrzenie i zaangażowanie ludzkości pogłębiało się. Ale jego ostrożność ubogiego zawsze bierze górę. „Niełatwo im będzie chcieć tego, czego chce Bóg. Jakich środków użyje Kościół, aby się reformować?”

### **Kontemplacja i modlitwa w sercu wielkiej nędzy?**

„Jeżeli najubożsi staną się naszymi mistrzami w myśleniu, nasza koncepcja człowieka nie będzie już taka sama. Jeżeli dla Kościoła pokorni, głodni, „wywyższeni” w Magnifikat to są naprawdę najbardziej pogardzani, to wszystko się zmienia. Nie będzie już mogło chodzić o ponížanie człowieka dla większej chwały Bożej. Nie będzie mogło już chodzić o pychę ani ubóstwianie człowieka przez człowieka. Pozostaje tylko człowiek, brat do kochania, kimkolwiek by nie był. Wszyscy ludzie partnerami w walce o podniesienie poniżonych. Ale podstawową sprawą jest wiedzieć, kim są poniżeni i głodni”.

Zawsze ta sama trzeźwość towarzyszy ufności. „Czy przebaczone św. Franciszkowi, że ucałował trędowatego? Czego nie robiono, by przeszkodzić św. Franciszkowi Salezemu albo św. Wincentemu a Paulo we wprowadzaniu nas zbyt daleko w środowisko nędzy. Co zrobiliśmy także ze św. Benedyktem Labre szaleńczo zakochanym w Synu Bożym, który został żebrakiem? Dlaczego, mimo całego kultu, który go otacza, nie znalazł naśladowców?”

Być może dla Kościoła droga będzie jeszcze długa i będzie on z tego powodu cierpiał. „Kościół będzie stale rodził w bólach sprawiedliwość, prawdę i miłość. Kościół nie będzie mógł spocząć, dopóki nędza nie zostanie zniszczona, ubodzy uwolnieni i zbawieni. Czekając na to, całe jego ciało będzie głodne, stół będzie pusty tak długo dopóki jedyny, który się naprawdę liczy, człowiek upadły, człowiek wyłączony nie siądzie przy nim”. Tak mówił Ojciec Józef do grupy chrześcijan w 1973 roku. To cierpienie Kościoła w bólach rodzenia niesie w sobie cierpienie biednych, którzy wciąż czekają. Zwycięży jednak nadzieja. W 1988 roku spotka się ostatni raz z wolontariuszami, którzy stworzyli grupę Duchowości.

„Jestem pewien, że Pan sprawi, iż pewnego dnia wyjdzie z Wolontariatu nowa wspólnota. Nie wspólnota rewolucyjna. Byłoby

zarozumiałością tak myśleć. Ale wspólnota mająca nową wrażliwość na Chrystusa zmarłego w nędzy. Nie mamy ambicji, by ją wynaleźć, ale wystarczy, że pozwolimy się prowadzić Panu, aby sam wynalazł nową formę duchowości”.

„Opiera się to wszystko o intensywne życie modlitwy i o kontemplację Chrystusa, który narodził się, żył i umarł w nędzy i który poprzez wieki niesie stygmaty nędzy. Braterstwo modlitwy w łonie wielkiego braterstwa Wolontariatu... Ludzie, którzy chcą być jeszcze mniejsi, jeszcze bardziej sługami niż inni... Słudzy godziny umywania nóg... Ludzie, którzy mają jedno marzenie, przeżywać z Jezusem Chrystusem szaleństwo miłości”.

„Kościół moja miłość, Wolontariat moja rodzina, tereny nędzy – ziemia adoracji Jezusa Chrystusa”... Jeszcze tyle rzeczy pozostanie do zrozumienia. Być może historia Ojca Józefa i jego Kościoła dopiero się zaczyna.



## Rozdział czternasty

# „Bowiem wielkiej miłości nie zachowuje się dla siebie”

### „On umarł razem z nami”

16 lutego 1988 roku bardzo ubogie rodziny regionu paryskiego spotkały się na Uniwersytecie Powszechnym regionu Ile-de-France w Paryżu. Dwa dni przedtem Ojciec Józef został wezwany do Boga. Na Boże Narodzenie był tam jeszcze, mówił i śpiewał razem z nimi. Fotografie z tego spotkania ukazują radość na twarzach naznaczonych przez biedę. Twarze te są jakby przemienione, a to chyba potwierdza sens życia Ojca Józefa. Wieczorem 16 lutego wszyscy są przybici. Rodziny szukają słów. Pan Russel długo milczy, słuchając innych. Potem bierze mikrofon. „To, co chciałem powiedzieć już od pewnego czasu, to co czuję, to jest to, że od poniedziałku krwawiło mi serce. Cierpiałem tak, że aż do naszego przyjscia tutaj nie wiedziałem jak się zachowywać. Po prostu bolało mnie serce, a łzy same kapały mi z oczu. Ale to, co czuję tu z wami, teraz, to jest miłość tego cierpienia. Tutaj, wszyscy razem, ponieważ czujemy się dobrze, chcemy tego cierpienia. Człowiek czuje się szczęśliwy, gdy cierpi z miłości do Ojca”.

Od tego pierwszego spotkania, po powrocie Ojca Józefa do Boga, języki się pomału rozwiązują. Nie wszyscy mają dar wyrażania myśli tak jak pan Russel, który umie wypowiedzieć to, co inni czują. Ale każdy ma coś, czym chciałby się podzielić.

„On umarł razem z nami” – mówi matka rodziny z Caen, a mężczynna z Bordeaux dodaje: „umarł dla swego ideału, ale jego ideał to my, którzy tu jesteśmy, więc jego nadzieja ciągle jest obecna, ponieważ on chciał abyśmy po jego śmierci prowadzili dalej jego dzieło. Jesteśmy jego śladem, my wszyscy, którzy tutaj jesteśmy. On nie umarł na próżno”.

„My, którzy tu jesteśmy...” ale skąd rodziny wiedzą, że Ojciec Józef oddał im życie? Na Uniwersytetach Powszechnych, przy Płytcie na Placu Praw Człowieka, a w szczególności wokół jego grobu u stóp kaplicy w Hameau de Vaux (przedmieście Méry-sur-Oise), spotykają się nie tylko rodziny będące świadkami jego życia. Spotykają się także mężczyźni i kobiety, którzy go nigdy nie widzieli, a wśród nich rodziny naprawdę znikąd, bez mieszkania, bez uznanego istnienia, tak jak miało to miejsce 32 lata temu w Obozie Noisy-le-Grand.

Przypomnijmy sobie: „...od początku rodziny zmuszały mnie do ogołocenia, na które nie miałbym nigdy siły sam z siebie. Tak na przykład pewnego dnia w lutym 1957 roku zjawiła się w Obozie rodzina przysłana przez Prefekturę z Wersalu, dwoje rodziców i pięcioro dzieci przemarzniętych i bez bagaży. Mogłem zrobić tylko jedną rzecz, dać im moje własne koce. Mówiłem sobie, że odzyskam je nazajutrz lub w dniach następnych. Ale nic z tego nie wyszło i pozostałem w środku zimy, w lodowatym baraku, mając jako jedyne okrycie sutannę i pelerynę”.

Kto z jego przyjaciół w Paryżu o tym wiedział? Rodziny Obozu uwierzyły w końcu w to, co było niewiarygodne: ksiądz, który nie ma nic, ponieważ oddał wszystko. Widzą to, ale jak będą to wyrażać i co to dla nich znaczy? Świat nie podzielił się z nimi ani wiedzą, ani umiejętnością panowania nad słowem. Przez jakąś tajemniczą łączność dochodzą jednak do zrozumienia, jak gdyby od wewnątrz, tego Ojca Józefa, który do nich należy. Jak dochodzą do tego, by o nim opowiadać między sobą? „Nie umiem tego wytłumaczyć, brak mi słów, to są rzeczy, które czuję”. Wolontariuszka holenderska pisze; „Pojechałam do Amsterdamu, aby przekazać tę złą wiadomość rodzinom, które nie mają telefonu... Pani S. załamała się i płakała, płakała... Zostałam u niej długo, nie była w stanie nic powiedzieć”. Rok później pani S. nie znajduje w dalszym ciągu słów. „Nie wiem, jak powiedzieć. Ale rozumiałam. Teraz, kiedy go tu nie ma, trzeba, żebym mówiła. Pojadę na pielgrzymkę do Rzymu. Religia, papież, nie znam się na tym. Ale trzeba jechać, mówić o Ojcu Józefie w Rzymie, to jest jego Kościół”.

Nauczyć się mówić o Ojcu Józefie to główna troska Uniwersytetów Powszechnych. Rodziny uczestniczą w zajęciach uniwersytetów, chodzą na Płytę na placu Trocadero, jeżdżą na grób w Méry-sur-Oise. Na Uniwersytetach wprawiają się w publicznym zabieraniu

głosu i budują wiedzę, którą tylko one będą w stanie w pełni zrozumieć. Bo kto mógłby zrozumieć, tak jak rodziny Czwartego Świata, dlaczego zostały wybrane przez Ojca Józefa?

„Urodził się ubogi i umarł wraz z nimi”.

„Widział wiele rzeczy tak, jak my je widzimy. Ja lubiłam, gdy mówił: „...nędza, to nigdy nie być pewnym, czy będzie się mogło zachować tych, których się kocha”. Takie było jego życie, jego ubóstwo, nędza. Znał ją, będąc małym, będąc młodzieńcem, a potem będąc starym. To było całe jego życie”.

„To jest człowiek, który żył w nędzy i kiedy z niej wyszedł mógł powiedzieć: „...biedni, już się nimi nie zajmuję”. Wyszedł z niej, był proboszczem, był wysoko postawiony: mógł powiedzieć: „...teraz już nie jestem w nędzy”, a było wprost przeciwnie. On stale robił coś dla biednych...”

„Będąc księdzem mógł mieć parafię spokojną i bez kłopotu. Ale spontanicznie poszedł do najuboższych swoich braci i swoich sióstr”.

„Gdy się wie, że miał zawód i to jaki, cukiernika! By stać się księdzem, to musiało być naprawdę z wyboru... Żył w nędzy, wiedział to wszystko, to wzbudza w ludziach zaufanie. Nawet w tych, którzy go nie znali”.

Wolontariusz pisze nam z Montrealu: „Raymund D. skończył zaledwie trzy klasy. Ma wielkie trudności w czytaniu i pisaniu, ale zamyka się co wieczór, by przeczytać jedną stronę książki: „Szczęśliwi jesteście wy ubodzy”. Wraz z przyjacielem odkrywają Ojca Józefa. Rozpoznają się w tym, co mówi o najuboższych”.

„Żył wśród najbiedniejszych – mówi mężczyzna z Limbourga – ale miał odwagę iść do bogatych, by im mówić co to jest. Ten, kto idzie do bogatych, aby im mówić o biednych, nie jest dobrze widziany. Chciałbym wiedzieć, ile razy wyrzucano go za drzwi, mówiąc: „Czego chcesz od nas z tymi historiami? Co nas obchodzi nędza innych?” Czyż nie mówiono na początku, że zwariował?... Naprawdę był odważny i miał dużo cierpliwości. Wyobrażacie sobie mnie idącego, by mówić to wszystko bogatym? Boję się nawet myśleć o tym!”

## **„Ojciec Józef nie zajmował miejsca, zostawiał je nam”**

Przyjaciele, będący w lepszej sytuacji materialnej, nie doceniają tego radykalnego wyboru, którego dokonał w momencie wstąpienia

do seminarium i powtórnie po przybyciu do Obozu w Noisy. Ale wydaje się, że rodziny wyczuły to od początku. Rozpoznały i ich życie zostało przemienione. To je nadal zmienia, ponieważ wybór Ojca Józefa je także angażuje. Tak jak angażuje je pokora, z jaką żył wśród nich. Sama obecność nie byłaby wystarczająca, aby postawić je na nogi, gdyby nie było tej głębokiej pokory. Kto lepiej niż rodziny mógł ją ocenić, zmierzyć?

„On mówił często, że gdyby był sam, nie mógłby zrobić tego, co zrobił i że dzięki nam mógł kontynuować. Mówił to i umiał tak dobrze dodać nam siły i odwagi”.

Mówił także, że „matki miały dużo odwagi, żeby wychowywać dzieci bez żadnych środków”. Jak taka mama wie o tym? Weszła do Ruchu po 14 lutego 1988 r. „Tak bardzo chciałabym znać tego człowieka, nigdy go nie spotkałam, więc notuję. Notuję także to, co usłyszałam na kasecie Ojca Józefa”.

Ojciec rodziny z Wersalu dodaje: „Chociaż to on rozpoczął Ruch, to mówił: „...ubodzy narzucili mi się”, tzn. można być nieszczęśliwym, być na samym dole, ale naszej dumy nikt nam nie odbierze... To nie jest duma bogatych. Bogaty jest dumny ze swojej fortuny, z tego, że mu się udało... My mamy miłość „naturalną”, miłość, którą natura dała ludziom. Oto jak ja rozumiem dar z samego siebie: to popychać innych, aby mieli własne miejsce na ziemi. Ojciec Józef nie zajmował swego miejsca, zostawiał je nam”.

„Nie narzucał swej miłości, czekał, aż się ją weźmie”.

„Nigdy nie uważał się za kogoś ważnego... Honor i duma biednych powraca u niego jak rodzaj modlitwy... On nie był dumny, on nam dawał dumę”.

„Ja osobiście doceniłem Ojca Józefa, jak papież przyjechał do Lionu. Ktoś jeden tylko mógł do niego mówić. Ojciec Józef wziął mnie pod rękę; „To ty będziesz mówił”. Ja powiedziałem: „Nie, to jest raczej księdza miejsce”. Odpowiedział mi: „Czwarty Świat to nie ja, to wy wszyscy. To wszyscy ludzie tacy jak ty, stworzyli Czwarty Świat. Ja nic nie zrobiłem”. Więc to ja przedstawiłem Czwarty Świat papieżowi. A wtedy byłem w nędzy i już nie wierzyłem w Boga. To ciągle do mnie wraca. To jest fantastyczne. Ojciec Józef przeczuwał przyszłość. Wiedział, że nieszczęśliwi nie mogą tak pozostać. Zobaczcie, wszystko to, co on mi dał, to nie pieniądze, coś więcej. Pokazał mi, że jestem człowiekiem, że mam możliwości i że muszą z tego wyjść”.

## Myślał tak jak my

Człowiek, który mało znaczy dla siebie samego może cenić innych i być dumny w ich imieniu. Rodziny pierwsze zrozumiały tekst, zostawiony przez Ojca Józefa w spadku rodzinom chrześcijańskim, których wiele tysięcy uczestniczyło w spotkaniu w Erpent w Belgii. Krajowe Stowarzyszenie Rodziców oraz przyjaciele i byli uczestnicy Patro (Patronatu) organizują je co roku. Ojciec Józef miał przewodniczyć spotkaniu w marcu 1988 r. Nie było go już wtedy na świecie. Ale jeszcze w przeddzień udania się do szpitala przygotowywał swój tekst, z tą samą co zawsze subtelną troską o audytorium. Pozostawił medytację o Świętej Rodzinie, która została odczytana w Erpent, a następnie opublikowana w piśmie „Direct”, a potem w gazecie francuskojęzycznych diecezji belgijskich „Wiara i Czas”. Są jednak rodziny, które nie umieją dobrze czytać, a ciężkie życie nie skłania ich do medytacji. Mimo to one pierwsze są w stanie wyobrazić sobie tę miłość, którą dzielił się Ojciec Józef, ponieważ sam nią żył i o niej mówił w Erpent.

„To jest najwyższe ogołocenie, ogołocenie, które stawia drugiego przed sobą albo które widzi najpierw drugiego, a potem dopiero siebie, które domaga się tak serdecznego spojrzenia, że drugi czuje się kochany, szanowany i wprowadzany w świat, spojrzenia wymagającego takiej miłości, która sprawi, że drugi zaangażuje się sam. Jakaż to łaska, gdy zaangażowanie drugiego staje się moim, gdy staje się w ten sposób zaangażowaniem wspólnym. Ten sposób postępowania jest sposobem postępowania rodziny chrześcijańskiej. Jest on także sposobem postępowania każdego mężczyzny i każdej kobiety dobrej woli, tych, którzy zaangażują się cali w budowanie świata bardziej ludzkiego. Świata, w którym każdy człowiek będzie zdolny tworzyć miłość, żyć miłością i budować świat miłości”.

„Widzicie, chodzi tu o troskliwość, działanie, które przekracza nasze możliwości, które obejmuje całą ludzkość. Chodzi o życie w najgłębszym znaczeniu tego słowa. Współistnienie, które sprawia, że bliźni jest nieustannie świadomy siebie, świadomy własnego istnienia, które wyzwala w nas pragnienie, by drugiemu udawało się pokochać siebie i dzielić się tą miłością. Bo wielkiej miłości nie zachowuje się nigdy dla siebie samego”.

Medytacje w Erpent streszcza całe życie. Trzeba było ją przeżyć przed napisaniem. Trzeba było przeżyć ją wspólnie z najbiedniejszymi, aby mogła to być ich własna medytacja. Ojciec Józef wiedział, że są spragnieni i zdolni do kontemplacji, mimo życia, która nie stwarza do tego warunków.

Dziś, przeżywając szok rozstania, rodziny szukają słów, które wyraziłyby to, co nosiły w sercach przez wszystkie lata wspólnej miłości. Przedtem nie było takiej potrzeby. Ojciec Józef istniał, był tu, to było najistotniejsze. Teraz zaszła potrzeba. Co zrobić, by nie stracić tego człowieka, w którego nigdy nie wątpiły?

„Nigdy sobie nie wyobrażałam, że może go tu nie być” – mówi kobieta, która знаła go zaledwie trzy lata. Inne dodają: „On był Ojcem nędzy, starał się nas ratować...” „On jest pierwszy spośród ubogich...” „Patrzył na każdego z nas z osobna...” „Myślał tak jak my, rozumiał nas, znał nędzę z własnego codziennego doświadczenia. Był tam, gdzie było najgorzej. On wiedział”... „On przeżył nędzę, czuł to, co myśmy przeżyli. My nie okazywaliśmy tego, ale dla niego to było normalne”... „Był jakby naszym posłem, jakby naszym przedstawicielem”... „On sobie mówił: jestem księdzem, muszę ich ocalić. On zakorzenił się tutaj”.

Pan D., pracownik cudzoziemski, muzułmanin, który wraz z rodziną żyje w bardzo trudnych warunkach, powiedział do Bernadette Cornuau: „Ustawiłem jego fotografię ku słońcu, bo Ojciec Józef nie może być inaczej jak zwrócony ku słońcu. Ale ponieważ bałem się, że fotografia zniszczy się na słońcu, umieściłem ją z moimi zdjęciami rodzinnymi, bo on należy do mojej rodziny”.

Świadectwa przychodzą także z daleka. Z pewnego miasta w Afryce Zachodniej, Gabriel M. były więzień, pisze: „Byłem szefem oddziału. Siostra Simone, nasza wolontariuszka, powiedziała o mnie Ojcu Józefowi. Pokazywałem mu oddział, ale on zaraz powiedział, że chce zobaczyć najpierw miejsce, gdzie są najsłabsi. Poszliśmy na blok I, pokój 6 – miejsce, do którego wszyscy bali się wchodzić. Ojciec Józef wszedł. Poszedł przywitać się z najciężej chorym, leżącym w głębi celi na macie. Ojciec Józef położył rękę na wszystkich chorych. Po zebraniu ze wszystkimi delegatami poszedł pod drzewo modlić się ze wszystkimi więźniami. Poprosił także dozorców.

Mucktar L. był też obecny tego dnia: „W dniu, w którym Ojciec Józef przyszedł do obozu karnego, bardzo cierpiał w infirmerii.

Zaraz zaczął płakać. To mi wiele powiedziało. Pierwszy raz widziałam białego płaczącego z powodu czarnego. Dało mi to wiele do myślenia”.

W obozie karnym Ojciec Józef stworzył „Klub Wiedzy”. „Gdy przyszedł do obozu, pokazał klub w sposób praktyczny: siedzieliśmy, on powiedział, żeby się wziąć za ręce i powiedział: „To tak należy podtrzymywać najmniejszych, nie pozwolić, by ktokolwiek upadł”. Myślę, że jeśli ktoś spędził pół godziny na rozmowie z Ojcem Józefem, to nie tylko czegoś się nauczył, ale przeżył swoją wielką chwilę. Te trzydzieści minut wystarczyło, żebym potem panował nad sobą. Mówił nam: „...nie traćcie nigdy tego dziedzictwa odwagi, nawet jeżeli jesteście w więzieniu”.

W głębi dzielnicy czarnych, w Nowym Orleanie, matka rodziny, która nie mogła spotkać Ojca Józefa, podczas jego wizyty, mówi do wolontariuszki: „To dziwne, ale to tak jakby Ojciec Józef do mnie mówił i jakbym ja mogła mówić do niego. On mnie rozumie, zna nasze życie, wie, co to znaczy nie mieć chleba na stole”. A jej sąsiadka dorzuca: „Jakże bym chciała czytać jego książki. Znać go”. Inna kobieta, za każdym razem, gdy o nim mówi dodaje: „On kochał każdego człowieka, każde dziecko, wszędzie na świecie. Nauczył nas kochać ludzi, wszystkich ludzi”.

### **„Posłany przez Boga, by wybawić nas z nędzy”**

O tym, że Ojciec Józef był księdzem, rodziny rozmyślają więcej niż dawniej, czasem, by stawiać sobie pytanie, po co nim został, w jakim celu? Czy to było dla nas? Czy po to, by mieć oparcie, aby lepiej zwalczać nędzę? W każdym razie to, że był księdzem coś zmienia. To go narażało na zniewagi, wymagało od niego jeszcze więcej męstwa. „Wierzcie mi, znieważali go od stóp do głowy. Odnoszono się do niego źle z powodu jego sutanny. Mówili klecha tu, klecha tam. A przecież byli zadowoleni, gdy go znajdowali... zmarnował zwyczajne powołanie księżowskie, aby wybrać nędzę”.

Mówią także: „Gdyby Ojciec Józef nie był księdzem, czy to byłoby naprawdę tak samo? Jako ksiądz był przecież bardziej uznawany niż my. I przez to, że był księdzem, wszyscy byli jego dziećmi. Jako ksiądz rozumiał lepiej najbiedniejszych. Był szczęśliwy, że może to robić... Ojciec Józef był zesłany przez Boga, żeby



wybawić całą tę nędzę. To jest dar, który otrzymał od Boga, aby wyróżnić wszystkich biednych... Przez miłość, która w nim była, wystarczyło go zobaczyć, a czuło się umocnionym. Mówił jak Bóg i to nam pomagało... Myślę, że Bóg umieścił go na ziemi celowo, a nie przypadkiem”.

Rozmawiają dwie matki rodzin. Pani T. jest chrześcijanką: „Dla mnie, Ojciec Józef..., to on nas nauczył, on stworzył Czwarty Świat, żeby nas nauczyć, byśmy się wzajemnie kochali i pomagali sobie nawzajem, pomagali rodzinom, które są najbiedniejsze... Na Trocadero, to była Ewangelia. Byli uczeni, uczniowie. On mówił do ślepych, do kulawych. Mówił do swego ludu”. Pani B. jest muzulmanką: „Ojciec Józef powiedział: błogosławieni jesteście, my ubodzy. To znaczy, że jeśli się jest razem nawet, jeżeli się przeżywa bardzo wielkie cierpienie, jeżeli jest się razem, jest się szczęśliwym, to przynosi ulgę. Jeżeli ludzie pomagają jedni drugim, kiedy na przykład nie ma się dosyć jedzenia, jeżeli jest się razem, to odczuwa się jednak pewną ulgę. To w tym znaczeniu on mówił: szczęśliwi jesteście my ubodzy. To daje wielką odwagę. A jak się jest razem i każdy jest odważny to powstaje bardzo dużo odwagi. Jeżeli każdy z nas szanuje drugiego, to rozprzestrzenia się to coraz bardziej i nędza moim zdaniem, znika. Bo to Kościół broni honoru biednych”.

W ten sposób wyraża się wspólnota, której wielu przyjaciół było świadkami, nigdy nie mogąc jej zrozumieć ani zgłębić. Wspólnota między człowiekiem, który na co dzień żyje Ewangelią a rodzinami wyznającymi różne religie, które mówią: jesteśmy jego ludem. Wspólnota kryjąca się w tych prostych słowach: „On myślał tak jak my”. Pogłębia się ona, w latach, kiedy nieszczęścia, niezaspokojone potrzeby, nie skłaniają do wielkich słów. Wiemy, że istnieje i angażuje rodziny. W pewnym albumie Uniwersytetu Powszechnego Ile-de-France rodziny zwracają się do niego: „Dzięki, Ojczy Józefie, że nas przyjąłeś wszystkich. Jesteś także dla nas wszystkich... Dla mnie nie umarłeś, będziesz zawsze w moim sercu... Jesteś wielkim człowiekiem naszej historii... Twoja walka pozostaje wieczna... będziesz zawsze z nami odrzuconymi”. Wtórują im rodziny z całego świata: „Ojciec Józef nie należy do przeszłości; jest za nami, jest także przed nami”.



## **Podtrzymywać najbiedniejszych, a odrzucać dobroczynność**

Jest na przedzie. Ojciec Józef zobowiązuje, to oczywiste. Jak nie mieć ściśniętego serca, słuchając rodzin? „Teraz to my mamy robić to, co robił Ojciec Józef” – mówi człowiek, który dołączył do Ruchu po jego śmierci. Wszyscy razem przypominają, powtarzają sobie wzajemnie, co to znaczy.

„Gdy żyje się w nędzy, nie jest się w takim samym świecie jak inni. Ojciec Józef umiał nam przekazać, że ma się, mimo wszystko, takie samo znaczenie, jest się równie wartościowym jak inni... Nie trzeba, żebym teraz żył tylko dla siebie, ale także dla rodzin najbiedniejszych, żebym przekazywał... z tym wszystkim, co on mi dał, nie mam prawa go zostawić, przeciwnie – muszę być jeszcze bardziej z nim, mimo że go tu już nie ma”.

„Tym co mi pozwala iść dalej, śladami Ojca Józefa, jest to, że on zmusił do uznania historii Czwartego Świata. Naszej historii. Kto w naszym społeczeństwie mógł to zrobić, pokazać światu historię ludzi najbiedniejszych? Ja, młody z Czwartego Świata, jak mam to kontynuować? Muszę wprowadzać w życie to, co Ojciec Józef zaczęła i rozpowszechniać jego przesłanie tak, by uznano nasze prawa i muszę zawsze iść naprzód”.

„Mówił nam: „Jesteście dość duzi, by walczyć o swoje prawa, sami macie to robić”. Musimy wspólnie pokazywać innym, że ma się odwagę naśladować jego przykład. Gdy myśli się o nim, stawia się sobie pytanie: gdyby Ojciec Józef tu był, co by powiedział, co by zrobił? Nie wolno o nim zapomnieć, trzeba iść za jego przykładem”.

„Mówił nam: „Dorośliście, by walczyć sami i to wy sami musicie zrobić, pokazać innym, że ma się odwagę wyjść z tego”. Tak chciał Ojciec Józef, chciał nam pokazać, że mamy naprawdę wolę. Całe szczęście, że jest tu, by nam powiedzieć, że mamy wolę. Nie zawsze miało się ochotę coś robić, ale był tu, żeby nam dodawać odwagi: „dalej, spróbujcie, a zobaczycie, potem będą rezultaty, owoce”. Więc to dlatego mówię wam, tym, którzy nie mogą sobie poradzić: to wy macie odwagę, wy macie siłę, dość energii, by wyjść z trudności, które macie. A przyjaciele są z wami, żeby wam pomóc. Nie powinniście być sami w waszej biedzie, nie można zamykać się w sobie. To Ojciec Józef by wam powiedział”.

Dogadywać się, podtrzymywać najgłębiej pogrążonych w nędzy i oczywiście nie zgadzać się na wegetację, życie „na koszt opieki społecznej”, we wszystkich krajach, dorośli, młodzi, nawet dzieci to mogą.

„Wolał dla nas minimalny dochód integracyjny<sup>25</sup> niż darmowe obiady. Bo jak się chodzi na darmowe posiłki, to jest to już najdotkliwsza nędza. Chciał dla nas czegoś innego niż wystawanie w kolejce po paczkę... On chciał dla nas takiego życia, jakie prowadzą inni. Równość... To dzięki Ojcu Józefowi, który o to walczył ma się jakieś dochody. Ale Ojcu Józefowi udało się przede wszystkim zjednoczyć biednych dotkniętych wspólnym nieszczęściem, aby trzymali się wszyscy razem. Zjednoczyć się, aby szanować Prawa Człowieka... Był bardzo wymagający, chciał, by zawsze iść dalej, iść aż do celu. Trzeba było, żeby ktoś nami potrząsnął, bez tego pogrążałoby się jeszcze głębiej”.

Rozmawiając tak między sobą, rodziny zwracają się ku Płycie upamiętniającej ofiary nędzy na Placu Praw Człowieka na Trocadero w Paryżu. Słowa podpisane przez Ojca Józefa głoszą najświętszy obowiązek łączenia się dla poszanowania Praw Człowieka. Niektórzy rodzice tłumaczą: „To jest najświętsze prawo móc bronić swoich dzieci, sąsiadów, innych ludzi”. Dla najuboższych: „Walczyć, by zniknęła nędza jest prawem najświętszym”. Obowiązkiem, którego nauczyli się od Ojca Józefa jest, by działać razem, by szukać zawsze biedniejszego od siebie, iść ku „tym co są zbyt umęczeni, by przyjść tu na Płytę”. Trzeba kontynuować, ale z innymi, z tymi, których się jeszcze nie zna, „...bo ich nie widać, nie mają mieszkań, chowają się w lasach...” Trzeba dzielić się nimi dumą Płyty”.

„Płyta to nasze prawa, których się broni. Dla mnie to powód do dumy, za każdym razem jak tam idę... Dla mnie, jeśli tam idę, to nas podtrzymuje. Mieszka się w przyczepie kempingowej, a wkrótce już nie będziemy mogli tam zostać. Ale jeśli się idzie na Płytę, jest się dumnym. I mówię wszystkim, którzy tu są, by chodzić tam często, bo to prawdziwa ulga”.

Duma i ulga także dla tych, którzy stracili kogoś bliskiego w warunkach nędzy. Wielu nie miało godziwego pogrzebu. Kto uznał, że

---

<sup>25</sup> minimalny dochód integracyjny – wprowadzony przez Raport Wrześnińskiego. Aby umożliwić pełną integrację ludziom pozostającym na marginesie społeczeństwa, należy zapewnić im minimum stałych dochodów stanowiących przede wszystkim zapłatę za pracę, a gdy ta jest niewystarczająca, należy ją uzupełnić ze środków społecznych.

byli ofiarami nędzy jeszcze po śmierci? Żona, wskazując na Płytę mówi: „Tu mam mojego męża”.

## **Dziedzictwo do podjęcia**

Tak mało słów, by wypowiedzieć wielkie rzeczy. Matka rodziny, przybyła z Amsterdamu, aby uczestniczyć we mszy pogrzebowej, pamiętnego 18 lutego 1988, jak wiele innych, nie miała nic prócz łez. W rok później, tak streszcza swoje zaangażowanie: „Jego życie, jego cierpienie mają znaczenie dla ludzkości. Teraz musi odpocząć. Chciałabym, żeby go zostawili w spokoju. Tam w górze, u Boga, robi to, co ma robić. Ale tu, to my mamy kontynuować jego dzieło... Ojciec Józef zbudował na ziemi coś jak Wielki Warsztat. Nie taki jak stare fabryki w mojej dzielnicy, ale wielki i piękny nowoczesny warsztat, cały oświetlony. Wszędzie umieścił ławki i krzesła. To my je mamy zapełnić. Ja będę pomagać sąsiadce z przeciwka w płaceniu za przejazd do Uniwersytetu Powszechnego. Ja też nie mam pieniędzy, ale jakoś się urządzę, by znaleźć te szesnaście forintów”. Na Uniwersytecie Powszechnym w Wijhe 17 czerwca 1988 r. razem z innymi matkami rodzin stwierdza jeszcze, że „...tak, jak my liczyliśmy na niego, Ojciec Józef może teraz liczyć na nas”. W swojej dzielnicy sama należy do sekty, ale z powodu Ojca Józefa decyduje się wziąć udział w pielgrzymce rodzin Czwartego Świata do Rzymu. Wszyscy odczuwają nową odpowiedzialność. Serce się ściska, gdy się ich słucha. Bo jakie środki daje im świat, by mogły wziąć odpowiedzialność za swoją walkę? Człowiek, który umiał tak dobrze odmieniać serca, nie stoi już przy nich.

Marie Jahrling, która wyszła z nędzy Obozu Noisy, ze spokojną godnością, która już cechowała jej matkę, świadczy na zebraniu w Paryżu: „Ojciec Józef mówił nam o ważności kamienia węgielnego, by utrzymać budynek. Dzisiaj chcę powiedzieć, że kamień węgielny, serce, rozkruszyło się. Ale my, mówię językiem robotniczym, my zrobimy klej tak mocny, że budowla nigdy, przenigdy się nie rozwali”. Jej szwagier Bernard Jahrling, długoletni towarzysz Ojca Józefa, napisze: „Jaka to otucha móc pokazać światu drogę, którą przebył z ubogimi; móc powiedzieć, że wskazał tę drogę, którą jest miłość i że inni mężczyźni i kobiety poszli tą drogą. Dał nadzieję wszystkim tym mężczyznom, kobietom i dzieciom, które nie wiedzą,

co to znaczy: „będę jeść”. Tego 14 lutego 1989 r. myślę o Czwartym Świecie, który nie jest już sam. Dziękuję Ojciec Józefie”. Bernard przeszedł z Ojcem Józefem z Obozu Noisy do Pierrelaye, a potem do Méry-sur-Oise. Razem zbudowali i odnowili niezliczone mury i domy. Dla niego życie Ojca Józefa, jego towarzysza i mistrza jest przejrzyste, „nic dodać, nic ująć”. Trzeba teraz za nim iść, a Bernard zbyt wiele wie o nędzy, by myśleć, że to będzie łatwe. Bo gdzie iść, co robić, na kogo teraz liczyć?

Pewien ojciec rodziny z Rennes stawia problem istotny dla wszystkich rodzin, mówiąc o ceremonii 17 października przy Płycie: „Było pełno stowarzyszeń... To było bardzo ważne zobaczyć tyle osobistości. Ale trzeba, żeby ludzie, żeby osobistości, dotrzymywali swoich obietnic”. Jakiś przyjaciel mu odpowiada: „Jeśli pójdzie się za tym, co jest napisane na Płycie, będzie więcej sprawiedliwości. Taka była naprawdę myśl Ojca Józefa: skończyć z nędzą. Ale to się nie stanie z dnia na dzień. Trzeba rekrutować”. Ale kto będzie teraz rekrutował? Inny mężczyzna mówi: „Żeby znaleźć człowieka tak wielkiego, cały świat może nie wystarczyć”.

Pan Russel, który tak bardzo przeżył odejście Ojca Józefa w lutym 1988 r. zwierza się nam rok później, jak bardzo wielkie wydaje mu się dziedzictwo, które trzeba podjąć. „Ojciec Józef mówił: „Poszukiwanie ubogich zawsze odbywa się gdzieś w Kościele”. Utożsamienie się, zidentyfikowanie z najuboższymi, to po to on został księdzem... Szukać Boga wśród biedy, ale to nie często się zdarza. Ojca Józefa zna się jako założyciela ATD, ale nie jako księdza”.

„Gdy przyjrzeć się głębi jego osoby, to widzi się człowieka nieskończonej dobroci. Zawsze mówiłem, że powinien być kanonizowany. Jego pochylenie się nad nędzą innych, to prosta droga ku Chrystusowi. To tak wprowadzał w życie swoją wiarę, tak wypełniał swoją rolę księdza. Uczył ludzi, by się kochali. Jego życie pokazało mi możliwość gromadzenia rozmaitych ludzi, wierzących bądź ateistów, aby znaleźć tę samą miłość, by zniszczyć nędzę, aby się wzajemnie wysłuchiwać, nie patrzeć na siebie obojętnie, już nie myśleć: „to ich wina, źle sobie radzili”...

„On nadał logikę nędzy, wyjaśnił, ale nie mówiąc: „to wina bogatych”. Wręcz przeciwnie! On mówił: „To miłością dojdziemy do zniszczenia nędzy, którą ludzie stworzyli przez głupotę”. Ojciec Józef znał nędzę, będąc dzieckiem. Znał głębię serca osoby, która

cierpiała nędzę. On ich nie idealizował, on ich widział. I zawsze widział miłość, żeby zniszczyć nędzę. To nie tak jak 1789 r. to nie rewolta. Stając razem, to jest rewolucja serca”.

Potem pan Russel mówi o Raporcie Wrześnińskiego i o Prawach Człowieka. „To nie jest plan, który można skrócić albo potraktować jako półśrodek. Trzeba, żeby wszystko było zastosowane, żeby zniszczyć nędzę. Bo celem planu jest zniszczenie nędzy, a nie niesienie pomocy. Zniszczyć nędzę, to nadać prawa... Nie powinno się o nie napraszać, powinno się je mieć od urodzenia, przez sam fakt przyjście na świat. Ale walka musi być tym bardziej zdecydowana. Nie możemy otrzymywać naszych praw jak kwiatka czy jak upominku”.

Rewolucja serca. Twarda walka... Ale na kogo liczyć teraz, kiedy Ojca Józefa już nie ma, by mobilizować dobrą wolę i odwagę, aby zawsze widzieć jakie zwycięstwa są możliwe, a na jakie trzeba jeszcze poczekać? Być może rodziny czują, że mogą jeszcze liczyć na niego. Od roku 1989 grób w Hameau de Vaux w Méry-sur-Oise stał się miejscem pielgrzymek dla osób wszystkich grup społecznych, wszystkich wyznań. Olbrzymia troska i cierpliwość Ojca Józefa, by urządzić na nowo miejsce dawnego klasztoru i zbudować wokół szereg domków oraz nową kaplicę, przyjęła nieoczekiwane znaczenie. Chciał on, aby był to dom dla Wolontariatu, który rozproszony na cztery światy strony nie miał nic swojego. Prosił, żeby go – gdy przyjdzie czas – pochować u stóp kaplicy. 2 sierpnia 1988 r. Wolontariat przywiózł go do siebie i grób jego stał się tym, czym była jego osoba: miejscem zgromadzenia, miejscem spotkania twarzą w twarz z prawdą o człowieku i Bogu, miejscem, z którego odchodzi się wzmocnionym, zachęconym, zdecydowanym, by iść naprzód. Przychodząc tu, nie musi się być wierzącym w określony sposób. „Wierzy się w miłość” i w to, że: „Ojciec Józef należy do nas wszystkich”.

„Ojciec Józef odszedł, ale zawsze jest z nami. To był Ojciec wszystkich biednych, ze wszystkich krajów... Nie chciał widzieć nieszczęśliwych. Nie chcę, by Ojciec Józef był zapomniany, by jego grób był zapomniany. Chciałbym, żeby był znany na całej kuli ziemskiej. Jego serce było pełne nędzy innych... Ale nic nie ginie. To jest ważne. Mimo że już go tu nie ma, zostawił swoją obecność”.

„Ojciec Józefie, dziękuję Ci za całą miłość, którą nam dałeś. Dzięki tobie, możemy chodzić z podniesioną głową. Przywróciłeś godność

wszystkim biednym świata. Nie umarłeś, bo pozostajesz na zawsze w naszych sercach, aby nas wzywać do gorętszej walki... Ojciec Józefie nie pozwól nam wykręcać się, wymigiwać. Z tobą i wolontariuszami istnieje mnóstwo odwagi – powstają masy odważne i na twoim grobie można napisać: przygarńcie, nadzieja, światło i radość”.

Cała grupa rodzin z Reims przychodzi modlić się na jego grobie. Niezależnie od tego, w co wierzą jedni czy drudzy, rozmawiają o Ojcu Józefie. Potem decydują się zapisać swoje słowa, by zostawić je przy nim: „Przyjechaliśmy do Pierralaye zrezygnowani, opuszczając ręce. Gdy zobaczyliśmy i usłyszeliśmy ciebie, wrócimy do Reims z wolą kontynuowania naszej walki. Dziękujemy ci. Postawiłeś nas na nogi i cokolwiek się zdarzy, lud Czwartego Świata będzie stał na własnych nogach. Przyrzekamy ci”.

Słowa rodzin uzupełniają się: „Tak jak powiedziałaś: „Tam, gdzie jest nędza, Prawa Człowieka są gwałcone”. Proszę cię, daj nam siłę, by iść do najuboższych... Jedyną rzeczą, której w życiu żałuję jest to, że cię nie znałem... Nie zapominajmy o Ojcu Józefie, który był bardzo dobry dla wszystkich ludzi na całym świecie. O tym nie wolno nam nigdy zapomnieć. Modłę się przy nim tak jak i moja rodzina... Ty wiesz dobrze, że to o co prosimy, to godność, duma i żeby nasze dzieci także walczyły, tak, aby pewnego dnia nie było już niesprawiedliwości, aby się to wreszcie zmieniło. Życie to dzielenie się, a nie egoizm! Ty dobrze to rozumiesz, Ojciec Józefie. To, czego chcemy w rodzinach: nie żebrać, ale dać sobie sami radę... Razem nauczyliśmy się być ludem stojącym na własnych nogach, dzięki tobie Ojciec Józefie ty, który tak dobrze nauczyłeś nas, co to jest dzielenie się, przyjaźń, a przede wszystkim szacunek dla ludzi w najgorszej sytuacji”.

U grobu Ojca Józefa zdaje się realizować to, czego tak długo pragnął dla rodzin: zrozumienie, że nędza jest czymś, co ma swoją wartość wobec świata i wobec Boga.

„Przeżyłem taką samą nędzę jak Ojciec Józef. Nie trzeba nigdy tracić nadziei. Zdołałem odzyskać moje dzieci po dziesięciu latach rozłąki... Żyję w takiej samej nędzy jak wy i wielu innych. Daliście mi siłę, by nadal żyć. Nawet jeśli się jest w biedzie, są jeszcze ludzie w gorszej sytuacji niż my”.

„Méry, to jest pielgrzymka” – mówi prosto Pan Pioline z Rennes. A Pani Chatton dodaje: „To jest teraz ostoja, bo to jest miejsce, gdzie przyjeżdża się z rodziną i gdzie można wracać co roku”.

## Rodziny i wolontariusze: nowe przymierze

Zwrócić się ku Ojcu Józefowi, prosić go o radę i pomoc, to także udać się na miejsca, gdzie gromadzą się i formują wolontariusze i skąd rozjeżdżają się po świecie. Wolontariusze, których żałobę rodziny pierwsze zrozumiały. Mężczyźni i kobiety z terenów nędzy, odczuli natychmiast cierpienie w sercu Wolontariatu, któremu także brakło słów. Matka rodziny, która po mszy pogrzebowej, powtarza wciąż te same słowa: „To ciężkie, to ciężkie dla nas”, spogląda nagle na nas i mówi: „Ale to może jeszcze cięższe dla was, wolontariuszy... szliście za nim wszędzie”. W ciągu następnych miesięcy zrodzi się jakby nowy rodzaj bliskości, nowa serdeczność między rodzinami, a wolontariuszami. Może nowe spojrzenie ze strony rodzin?

„Patrzę ostatnio, jak się było w Méry-sur-Oise, jak się widziało tych wszystkich młodych, którzy porzucają swoje rodziny i w ogóle wszystko, żeby jechać do Gwatemali, czy wreszcie obojętnie dokąd. Młodzi, którzy mają swoje zawody, które pozwalałyby im zarabiać i dobrze się urządzić, zostawiają wszystko, by iść pomagać innym. No tak, to ostatecznie Ojcu Józefowi to zawdzięczamy”.

Pewien ojciec rodziny ze Szwajcarii francuskiej wyraża swoją wiarę w przyszłość: „Ojciec Józef zasłużył na odpoczynek i zaufał wolontariuszom. Wolontariusze wiedzą, że jeśli nie będą iść jego drogą, będzie się bardzo denerwował w grobie”. Inny człowiek z Lille myśli podobnie: „Ojciec Józef, to była doskonałość. Chciał poświęcić swój czas, chciał żeby było pięknie nawet tam, gdzie mieszkają wolontariusze... To co jest dobre, to że są nowi. Widzi się zawsze dawnych jak np. Jean-Luc Penet i widzi się, że są zawsze wierni na stanowiskach. Jest zawsze ktoś, żeby reprezentować Czwarty Świat, ale są także nowi”.

Nowych wolontariuszy zjawilo się czterdziestu dwóch, tylko w jednym roku, po śmierci Ojca Józefa. Ale ci mężczyźni i kobiety, ci młodzi, którzy są tu dzięki niemu, stanęli także przed nową odpowiedzialnością, której rozmiarów jeszcze nie znają. Jednego dnia Ojciec Józef mówił o podatności na zranienie pierwszych wolontariuszy, którzy stanęli u jego boku w Obozie Noisy-le-Grand. Tej wrażliwości, która stworzyła wspólnotę między Wolontariatem a rodzinami. Zastanawiał się wtedy, czy tej wspólnoty nie grozi stopniowe zanikanie w miarę jak Wolontariat będzie wzrastał i nabierał własnego oblicza. Przewidywał jednak, że przyjdzie czas,



gdy ta kruchość stanie się znów ogromna. Było to jego zdaniem niezbędne, Wolontariat pewny siebie, stałby się nie do zniesienia dla ubogich. Ale był też głęboko niespokojny: „Czy będą trwać, a jeśli będą trwać, czy będą cierpieć?”

W 1986 r. pojechał z wizytą do tego, którego przyjaźń nigdy go nie zawiodła, zwłaszcza w najważniejszych latach, do księdza Leona Bach. Jednego dnia, 30 lat wcześniej przyjechał go zapytać: „Co powinienem zrobić? Czy zostać w tych smutnych wsiach okolic Aisne?” Ksiądz Bach umiał mu odpowiedzieć: „Nie powinieneś tam zostawać”. Po trzydziestu latach Ojciec Józef postawił mu to samo pytanie: „Czy dobrze zrobiłem? Czy to co zrobiłem będzie trwałe?”

Ksiądz Bach opowiada: „Powiedział to tu przy stole. Był naprawdę niespokojny. „Czy będzie miał kto kontynuować to, co tam zrobiłem?” Tym razem przyjaciel nie zna już odpowiedzi. „Na to pytanie nie mogłem odpowiedzieć. To była jego sprawa, a jego sprawa stała się bardzo szeroka, światowa. Więc powiedziałem: „Trzeba sobie życzyć, by to trwało. Nie dyskutowaliśmy dłużej, chciał zobaczyć kościół”.

Z pewnością odpowiedź dla Ojca Józefa jest ostatecznie w rękach Boga. Ale jest też ona w rękach wolontariuszy i rodzin. On sam widział od początku, że oddaje im osiągnięcia swego życia. Oni odkrywają to po jego odejściu do Boga. Rodziny odkrywają, jak bardzo chciał dla nich Wolontariatu godnego zaufania, w świecie, który nie nauczył się dotrzymywać obietnic danych ubogim. Czy zdają sobie sprawę, jak dalece mówią w jego imieniu, przypominając wolontariuszom, że mają obsiać jego rolę. Bo rodziny, które czują się bardziej niż kiedykolwiek odpowiedzialne, mówią także do wolontariuszy: „Teraz wy musicie czuwać, by to trwało”.

Tak oto wokół grobu w Méry-sur-Oise rodziny i wolontariusze uświadamiają sobie, że muszą podjąć wspólne dziedzictwo. To dziedzictwo – wierność najbiedniejszym, będzie ich siłą, siłą która zwiększy również ich podatność na zranienie. On mówił: „Jesteście tu, ale musicie też iść dalej, może są ludzie biedni gdzieś, gdzie się jeszcze nie dotarło?” On był wymagający, Ojciec Józef, z nim trzeba było iść ciągle dalej”. Pierwszeństwo tych, których tu jeszcze nie ma Ojciec Józef powierzył także wolontariuszom. W przeddzień operacji powtarzał im to po raz ostatni: „Musimy być bardzo, bardzo blisko przede wszystkim rodzin najbardziej pokrzywdzonych.



To muszę wam przypominać. Bo będziemy zawsze mieć pokusę opierania się na najbardziej dynamicznych, najodważniejszych, najbardziej inteligentnych. Oczywiście musimy się na nich opierać, ale nie możemy pozwolić, by to oni nas opanowali, nie mogą stanowić przegrody między najbiedniejszymi a nami”.

Więc wspólna misja rodzin i wolontariuszy, która da jedność i siłę, jeżeli jest prawdą, że cierpienia najbiedniejszych stanowią ostateczną, niezawodną broń przeciw wszystkim egoizmom ludzkości. Ojcie Józefie, czy nie jest to jednak zbyt słaba ekipa, byś ją tak wysyłał w świat? Ale także Ty, który tak kochałeś rodziny, czy mógłbyś je mobilizować do walki, z której nie miałyby wyjść zwycięsko?

## Rozdział piętnasty

### On zmienił spojrzenie świata

#### Świat także daje świadectwo

„Ze swego dzieciństwa w nędzy, z życia pomiędzy wydziedziczonymi wy dobył historię, socjologię, siłę działania, politykę, duchowość, pociągnął za sobą setki wolontariuszy, dziesiątki tysięcy sprzymierzeńców, sprawił, że wysłuchiwały go rządy, królowie, zgromadzenia narodowe i międzynarodowe. Poszerzył świadomość naszego wieku, odkrywając przed nim nowe pole, pozwalając mu usłyszeć to, czego bez niego świat by nigdy nie usłyszał: głos ludu pogrążonego w nędzy”.

„Pozostaje nigdy niedokonane w pełni nawrócenie serc. Więc trzeba czytać jego książki, jego rozważania tak starannie przygotowywane, tak głębokie... Wtedy rozumie się lepiej to, co mogło nas czasem dziwić, nawet ranić, w jego języku zdecydowanym, surowym, ostrym, gdy słowa trafiały nagle do celu jak u doborowego strzelca, uderzając w przeciętność, która zasługuje na rozbitcie w drobny pył”.

„Ojciec Józef, dla Boga i dla rodzin, rzucił na szale życie, całe życie, w całości i w szczegółach, w tragicznym napięciu niemożliwym do zapomnienia, w straszliwej szkole absolutnego oddania w służbie przerażającej sprawie, sprawie ludzi uważanych za ostatnich, a którzy są pierwszymi u Boga”

Są to słowa Georges Paula Cuny mieszkającego na terenie parafii św. Franciszka Ksawerego w Paryżu, zamieszczone w piśmie „Panorama” w kwietniu 1988 r. Jego artykuł stanowi jakby odpowiedź na kazania wielkopostne, głoszone przez Ojca Józefa w 1985 r. dla tej wspólnoty, którą można uważać za leżącą na antypodach nędzy. Wiele nocy poświęcił Ojciec Józef na przygotowanie tych homilii. Jechał tam w każdą sobotę wieczór i w niedzielę rano z niepokojem w sercu.

Jak mówić w tej dobrze zorganizowanej parafii o nieładzie i rozpaczliwej wielkiej nędzy. Jak mówić tym rodzinom, niewątpliwie godnym szacunku, o walce o godność prowadzonej przez rodziny pogardzane. Jak mówić o największej miłości Jezusa Chrystusa do ubogich, nie podważając wiary bogatych, także zbawionych? Jezus mówił bez ogródek do młodego bogatego człowieka. I odszedł on smutny. Jak przynieść radość parafii świętego Franciszka Ksawerego?

W czasie tego Wielkiego Postu 1985 r. Ojciec Józef przeżywa jeszcze raz w Ewangelii chwile odświeżające (Zacheuszu, zejdź z drzewa, potrzebuję cię...), niedowiarstwo uczonych, zmęczenie wobec uszu, które wydają się zatkane... Mając 67 lat, Ojciec Józef nie rezygnuje z nadziei. Nie mógłby. Nadzieja jest częścią jego osoby. Pozwala nawet pierwszy raz na opublikowanie rozważań w formie książkowej: „Ubodzy. Spotkanie prawdziwego Boga”. Zresztą tytuł nie pochodzi od niego. W jego oczach nie ma Boga bardziej prawdziwego od innych, jest Bóg. Ale pierwszy raz w życiu zgadza się, by jego homilie były wydrukowane. Z tych kazań wielkopostnych głoszonych w sercu Paryża, wraca jednak jak zwykle pełen niepokoju; jak przekonać tych, którzy posiadają bogactwa, że wyrzeczenie się jest wyzwoleniem i radością. Przez ostatnie lata swego życia nieustannie dźwigał na sobie cierpienie biednych, którzy czekają, aż ludzkość się nawróci. Również cierpienia tej części ludzkości, która ma wszystko do dania najbiedniejszym, ale która nie śmie podjąć takiego ryzyka. Którejś soboty wieczorem w czasie tego Wielkiego Postu, wracając do Hameau de Vaux, Ojciec Józef powiedział do towarzyszących mu wolontariuszy: „To jeszcze nie koniec: musimy być zawsze gotowi iść do Jerozolimy, gdzie Chrystusa czeka śmierć krzyżowa”.

Trzy lata później Georges Paul Cuny odpowiada: „Ojciec Józef odszedł. Nagle. Misja spełniona”. Ale także „Pozostaje, nigdy nie spełnione do końca nawrócenie serc”... Pozostaje pytanie postawione przez Ojca Józefa, które jego życie będzie nam wciąż od nowa powtarzać, pytanie najbiedniejszych, tych, których się boimy, a którzy nas pytają: „Czy wierzycie, że jesteśmy ludźmi? Czy wierzycie w nasze człowiecze cierpienia? Czy chcecie nas za braci, za partnerów?”

W lutym 1988 roku wielu przyjaciół zaczęło pisać do Méry-sur-Oise. Świadectwa napływają zewsząd. Świadkowie, coraz liczniejsi, znajdują drogę do grobu w Hameau de Vaux, tę drogę, którą rodziny Czwartego Świata pierwsze odnalazły. Jedni i drudzy przypominają

sobie ważne momenty z życia Ojca Józefa. Dzięki niemu prawda zajaśniała w całej pełni, wielkie wydarzenia: Mutualité w Paryżu, Forest National w Brukseli, 17 października Płyta na Placu Trocadero, Raport Wrzesińskiego... Ale nie to jest istotne. Podobnie jak rodziny, tak przyjaciele ze wszystkich grup społecznych myślą o człowieku, który nimi wstrząsnął przez swą zaraźliwą miłość, oszałamiającą nadzieję, swój optymizm, swoją niezachwianą odwagę. W taki czy inny sposób wszyscy byli poruszeni przez niego i pamiętają to dobrze. Przypominają to, czego się nauczyli od niego.

Genevieve de Gaulle<sup>26</sup> mówi: „A więc wystarczyło trzydzieści lat, byś oddał w nasze ręce ten Ruch zrodzony w sercu małego biednego dziecka. To, czego chciałeś nas nauczyć, zrozumiałeś w nędzy i upokorzeniu przy swojej matce: godność każdej istoty ludzkiej, ale na pierwszym miejscu tej pozbawionej wszystkiego, najbardziej odrzuconej, tej, na którą Bóg patrzy ze specjalną czułością...”

Politycy francuscy używają słów, które nie leżą w codziennych zwyczajach polityków: „Ojcie Józefie, nic nie będzie już tak jak dawniej po Tobie i dzięki Tobie, wszystko zmieniłeś, wszystko poprzesuwałeś, wszystko poruszyłeś... Chciałbym zaświadczyć o szacunku i przyjaźni, jakie żywiłem dla tego apostoła Ewangelii i Praw Człowieka, który poświęcił swoje życie ulżeniu cierpień biednych i wydziedziczonych, znacznie wcześniej, niż problem ten stanął w ogniu debat politycznych. „Byłem poruszony odwagą i determinacją z jaką Ojciec Józef walczył o wszystkich wydziedziczonych. Jego dzieło zostało oparte o miłość, miłosierdzie, także o prawdę... Niech towarzyszy nam jego pamięć, niech nas wzywa nieustannie, w sposób wymagający, do większej sprawiedliwości i ofiarności, którymi promieniowało jego życie...”

Świadectwa napływają także z organów międzynarodowych i od przyjaciół z całego świata: „Stając się sługą ubogich, Ojciec Józef Wrzesiński ukazał nam jak olbrzymiego dzieła może dokonać człowiek, który poświęca całe życie miłości do swoich braci... Dla tych, którzy mieli szczęście znać go, jego życie, jego przywiązanie i jego miłość będą zawsze źródłem natchnienia... My sprzymierzeńcy,

---

<sup>26</sup> Genevieve de Gaulle – bratanica generała de Gaulle, uczestniczka francuskiego Ruchu Oporu, więziona w Ravensbruck, przewodnicząca ruchu ATD Czwarty Świat we Francji.

mieliśmy też wielkie szczęście znać go z bliska, żywić się jego myślą, jego słowami, aby nigdy już nasze życie nie zamknęło się w ciasnych granicach i sprawach bez znaczenia. Ojciec Józef pozwolił nam scalić nasze życie rozproszone, porozdzielane tysiącami wezwań i potrzeb... Przypominam sobie ze wzruszeniem nasze spotkania na temat straszliwej nędzy w Afryce. Ojciec Józef Wrzeński umiał słuchać nas Afrykanów i angażował się z nami w dialog dawania i otrzymywania... Tak bardzo cierpiałem, gdy dowiedziałem się o śmierci Józefa. Tatuś wszystkich biednych świata, białych i czarnych... Widział nędzę biednych i oddał całe swoje życie, by ich uczynić szczęśliwymi... Apostoła najbardziej wydziedziczonych na naszej planecie, dla mnie Ojciec Józef nie umarł. Każda istota ludzka przychodzi na tę ziemię spełnić jakieś zadanie. Kiedy skończy swoją pracę, wraca, tu się mówi, że umarł, ale w rzeczywistości on wraca do siebie..."

Mówią lub piszą szefowie państw, ważne osobistości z Francji, król Belgów, Sekretarz Generalny ONZ, Przewodniczący Organizacji Jedności Afrykańskiej, ambasador Filipin i Kolumbii. Piszą także setki zwykłych obywateli: Salome Muigai – nauczycielka z Kenii, Julio Javier Espindola – lekarz z La Paz, burmistrz z San Jacinto wioski w Gwatemalii i więzień gdzieś z Południowej Sahary. Grupa więźniów, która mówiła do wolontariuszki: „Wszyscy twoi bracia z małej wspólnoty z budynku C przekazują ci kondolencje. Dla nas, którzy uwierzyliśmy w Jezusa, Ojciec Józef jest zadatkami lepszej przyszłości”. Wydaje się, że wobec Ojca Józefa minister, urzędnik wysokiego szczebla, nauczycielka, więzień... wszyscy szukają słów, trochę tak jak rodziny Czwartego Świata. Jedni i drudzy będą odkrywać pomalu, jak ich słowa są wciąż nie wystarczające. „Ojciec Józef – mówi pewien sprzymierzeniec – reprezentuje wiele więcej niż jego osoba. Chcę powiedzieć, że zazwyczaj, gdy spotyka się kogoś, spotyka się go w tym za co jest odpowiedzialny. Mam wrażenie i to może jeszcze bardziej, odkąd go nie ma między nami, że gdy się spotykało Ojca Józefa, spotykało się więcej niż jego osobę. Spotykało się więcej nawet niż Sekretarza Generalnego ATD Czwarty Świat. Spotykało się trochę jakby reprezentanta ludzkości”. Trzeba będzie czasu dla przyjaciół, by zrozumieli to, czego jeszcze nie mogą ogarnąć. Tak samo jak będzie potrzeba czasu rodzinom, aby przełożyć na słowa to, co zawsze rozumiały.

## „On wytyczył drogę Kościołowi”

Czy Kościół będzie także potrzebował czasu? Kościół, który Ojciec Józef kochał, któremu służył, którego bronił. „Mogę powiedzieć, że była to jedna z wielkich godzin, jakie przeżyła Katedra Notre Dame w Paryżu, może największa... Nigdy nie widziałem Notre Dame tak pięknej... tak żywej, tak przejrzystej jak w dniu pogrzebu Ojca Józefa. Promieniowała ona cudownie miłością Chrystusa dla najbiedniejszych, najmniejszych... Nigdy nie dawałem Komunii świętej w takich warunkach: tyle rąk poczerniałych, twarzy naznaczonych cierpieniem i trudnościami życia”.

Tak mówi ksiądz biskup Hardy z Beauvais, świadcząc w ten sposób, że w godzinie swego odejścia do Boga Ojciec Józef dotrzymał słowa, oddał najbiedniejszych naszym kościołom i katedrom: Notre Dame w Paryżu, Świętego Mikołaja we Fryburgu, Świętej Bernadety w Port-au-Prince, Świętego Maurycego w Angers. Od Kardynała Lustiger po prostego zakonnika w buszu, między Paryżem, Genewą a Bangui, między Guatemala City a zapomnianymi wioskami indiańskimi w Peru, Kościół rozpoznawał swego sługę: Jezus utożsamia się z najbiedniejszymi, z pozbawionymi wszystkiego... To jasne, to proste, to przerażające... Dla Ojca Józefa nie było w tym nic z cierpiętnictwa, żadnego sentymentalizmu. Jako ksiądz został wysłany do obozu Noisy-le-Grand, jako chrześcijanin pisze swoje książki... Jako prawdziwy chrześcijanin, nie wywyższa ubogiego kosztem bogatego, nie pogardza bogatym, którego Jezus kocha, nawet jeśli złemu bogatemu musi głosić zgubę. Ojciec Józef przypominał: „Bóg nie prowadzi walki stronnicej, tak powiedział Jezus Nikodemowi... Żaden człowiek nie powinien zginąć. Ale nie wystarczy, że wierzysz we mnie, Nikodemie, jeszcze musisz stać się nowym człowiekiem, żyjącym nowym życiem. Bo Bóg potrzebuje Ciebie”.

„Józef jest znakiem Chrystusa poniżonego, który zwraca poniżonym świadomość ich godności... Jego życie było darem z siebie, było podane prawu ziarna zboża, które wpada w ziemię, aby umrzeć po to, by przynieść wiele owocu. Jestem przekonany, że w logice Bożej miłości jego inicjatywy nie pozostaną w próżni, ale że są takiego rodzaju, że wzbudzą życie i zapoczątkują ruch, który przetrwa poza czasy obecne... Jest to fala, która dotknie wielu ludzi. A także otworzy drzwi na to co niewidzialne. To pobudziło moją modlitwę i siostr, które są tutaj... Pan

poprowadził mnie do małego seminarium w Benin, mogę powiedzieć, że Ojciec Józef pozostanie w mojej pamięci i w moim życiu. Czy teraz nie jest on bliżej każdego z nas?... Kto mógł powiedzieć do jakiegoś prezydenta: „A biedni?” Kto, oprócz Ojca Józefa, będzie teraz mógł to powiedzieć? To jest przyszłość Ruchu... Podczas tej Mszy będziemy chwalić Boga i modlić się, aby Ojciec Józef, który szedł Bożą drogą na ziemi i który wszedł do chwały Bożej, powierzył nasz lud i wszystkich biednych naszemu Ojcu... Łaska Boża była nad Ojcem Józefem... dziękuję za to Dobremu Bogu. Ojciec Józef otrzymał tę łaskę w głębi swego serca i pozwolił jej zstępować coraz głębiej. Nie wystarczyło mu, że łaska pracuje w jego sercu, lecz sprawiał, że łaska działała w sercach wszystkich, których spotkał... Ojciec Józef wytyczył drogę dla Kościoła. Ludzie mogą wierzyć w Kościół tylko, jeśli idą po drodze, którą szedł Ojciec Józef”.

Są to słowa księdza biskupa Ligonde z Port-au-Prince na Haiti, mówiącego mocno i jasno do biednych parafii świętej Bernardy o osobie i życiu Ojca Józefa. Ale w Kościele trzeba także czasu, aby wszystko zrozumieć i by zwrócić biednym księdza, którego oni sami mu dali. Kościół musi też mieć czas na medytację i modlitwę. Najsprawiedliwszą i najpiękniejszą rzeczą jaką Kościół w tej sytuacji może zrobić, to oddać ludowi Czwartego Świata księdza, który przez całą wieczność wstawiać się będzie za nim do Boga. Jest to dobro tak wielkie, że żadna świecka instytucja nie ma nic, co mogłoby się z nim równać.

### **„Angażuję się na całe życie”**

Zresztą oczekując tego, by wszystko zrozumieć, można się zaangażować. Przyjaciele, niezależnie od przekonań religijnych, robiąc podobnie, jak rodziny dowodzą, że możemy iść z zaufaniem za człowiekiem, którego życie było przejrzyste i przekonujące, wiedząc, że światło dla naszego własnego życia zjawia się po drodze. Właśnie to każdy mówi na swój sposób: „Odpowiadam na wasz list z 13 maja 1988 r., zawiadamiający mnie o śmierci naszego nieodżałowanego Ojca Józefa, kochanego przez wszystkich w Ruchu z powodu swego dobrego charakteru i hojności. Przepraszam, że dopiero dziś odpowiadam, ale było to z powodu prac polowych. Angażuję się specjalnie w Ruchu ATD Czwarty Świat na całe moje życie... Nigdy nie zapomnę Ojca Józefa”.

Od pracowników rolnych na obrzeżach Sahelu po najwyższe instancje w Europie, przez Kościół, po prostych obywateli, obietnice są dawane najbardziej. „...Gdy będziemy posuwać naprzód dzieło, w które włożył całe serce, on będzie żył w nas... Pozostanie dla nas przykładem nieustannego współczucia i czynnej miłości... Postawił trwałe zasady w naszych sumieniach. Najwyższym hołdem jaki możemy mu złożyć, to prowadzić dalej, z jeszcze większą odwagą, jego dzieło... Walka działaczy ATD Czwarty Świat winna trwać i będę stał u ich boku... zapewniam was, że zostanę blisko was i dzieła tego, który wrócił do Boga. Zapewniam was o moim gorącym zainteresowaniu i moim głębokim szacunku...”

Zwykli sprzymierzeńcy, często emeryci oddają nam Ojca Józefa tak bliskiego jak zawsze.

„Mówić o Ojcu Józefie... Moja historia o nim, to znów go zobaczyć siedzącego wśród nas, podczas naszych sesji formacyjnych czy naszych spotkań, zwierającego się ze swych trosk, precyzującego swoją myśl, mówiącego nam o swych nadziejach, które się realizują poprzez tych, których spotykał na całym świecie. Także słuchającego nas i reagującego, bądź by nas ośmielić, bądź by uspokoić nasze podniecenie... Moja historia z Ojcem Józefem to wspomnienie jak odmawiałam razem z nim Salve Regina, słuchałam jak komentował teksty Mszy św., to zrozumienie jak dalece jego kapłaństwo było związane z całą jego istotą... Moja historia z Ojcem Józefem, to świadczenie o szacunku, zaufaniu, nadziei jaką rodziny Czwartego Świata złożyły w nim, który mówił do nich bez ogródek właśnie po to, by okazać, że je szanuje. Jeśli chodzi o przyszłość, to ja uważam, że Ojciec Józef był człowiekiem, odpowiednim na nasze czasy, nadawał sens naszemu życiu, nadawał sens naszemu światu. Poprzez wspomnienia, które winniśmy zachowywać i chronić, trzeba stale i uparcie zwracać się ku przyszłości, aby godność najuboższych była wreszcie uznana. Bo wiemy dobrze, że „to nie jest nigdy wygrane” i że ta sprawa wymaga miłości i wierności”.

I jeszcze zaangażowanie, które płynie do nas z małej wioski Fond des Nègres na Haiti: „Dziś Ojca Józefa tu nie ma, ale widać, że ta praca rozszerza się i za każdym razem, gdy robione są wysiłki, Ojciec Józef tu jest, między nami. Ojciec Józef nauczył mnie kochać biednych. Ojciec Józefie jesteś tatusiem, na skutek ducha, który włożyłeś w nasze serca stałeś się naszym przybranym tatusiem, w podobny



sposób jak święty Józef był przybrany tatusiem Jezusa. Będziemy szli naprzód, nawet jeśli droga jest czasem trudna. Idziemy w mrok, nawet jeśli nie znajdujemy miejsca, by się przespać, nawet jeśli nie znajdujemy tego, co chcielibyśmy zjeść. To zaangażowanie znaczy, że z całych sił chce się pomagać najbiedniejszym, nie pragnąc dla siebie bogactwa”.

A może zaangażowanie tej młodej pary z Limoges? „Od tego lata odczytuję cztery książki Ojca Józefa, modląc się za niego. Te mocne teksty teraz, gdy odczuwam obecność Ojca Józefa, nabierają dla mnie nowego życia. Sądzę, że należało by zrealizować jedno z jego pragnień: aby w Méry osiedlił się zakon kontemplacyjny żyjący obecnością Bożą we wspólnocie z najuboższymi. Stanowiłby on nową wartość dla przybywających do Hameau de Vaux i do Pierrelaye”.

Jeden z wolontariuszy, wobec tego napływu świadectw, wspomnień i obietnic, zauważa: „Gdy myślę, gdzie był Ojciec Józef w pierwszych latach, o tym błocie obozu Noisy... Tylko wielka miłość mogła dokonać tego cudu i tak zmienić spojrzenie świata”. Ojciec Józef z pewnością zgodziłby się z nim na swój sposób. Dla niego wielka miłość do wszystkich ludzi zdziałała ten cud, już przed dwoma tysiącami lat. Wystarczy wypłynąć na głębiej, by to przypomnieć wszystkim, niezależnie od ich sytuacji czy ich wiary. Przypomnijmy sobie, co mówił o swoich pierwszych latach kapłaństwa: „Wierzyliśmy – i ja w to wciąż wierzę – że ewangelizacja najuboższych już się dokonała”. Urodzony w wielkiej biedzie, mógł wiedzieć to, w co wielu wierzących nie śmie wierzyć, że Jezus Chrystus jest rzeczywiście obecny wśród tych, których świat odrzucił.

## **Spojrzenie dziecka**

Ojciec Józef przez całe życie cierpliwie szukał sposobu, by podzielić się ze światem swym własnym spojrzeniem dziecka. „Trzeba było, bym wyszedł z tego miejsca, w którym się urodziłem, z doświadczeniem i spojrzeniem jakie mi dała nędza... Zrodzony z nędzy, nauczyłem się widzieć świat i mój Kościół od dołu”.

„Od dołu” tak widział świat mały chłopczyk drepczący ulicą Brault, by paść kozy na podmiejskich nieużytkach. Miał cztery lata i widział świat z głębi starej kuźni zagospodarowanej na mieszkania

dla biednych rodzin. Matka, która straciła pierwszą córeczkę z braku pomocy lekarskiej, przyrzekła sobie, że nigdy już do tego nie dopuści. Po urodzeniu drugiej córki kupuje kozę, by mieć mleko!

Mając cztery lata Józef już się wszystkiego nauczył: nauczył się zależności od osób przynoszących pomoc, która nie ratuje ani godności, ani nawet życia. Nauczył się szaleństwa do jakiego zdolni są najbiedniejsi, by tym nieludzkim warunkom sprostać. Zdobył wiedzę o Bogu pogardzanym i nieznanym. Powtarzać będzie przez całe życie: „W nich także mieszka Duch Święty... Oni także mogą działać dla dobra drugich... Oni także budują ludzkość”... I przez całe życie, gdy spotykał ludzi starających się „wychowywać biednych”, myślał o swojej, matce, kobiecie inteligentnej i godnej szacunku, którą damy z parafii czuły się w obowiązku pouczać. Matki rodzin Czwartego Świata widziały intuicyjnie, że „jego matka wszystkiego go nauczyła, była dzielna, on ją bardzo cenił... Bardzo kochał swoją matkę i rozumiał, co przeżywała dla swoich dzieci. To z jej powodu poszedł dalej”.

Spojrzenie, które zmieniło sposób patrzenia świata, było spojrzeniem dziecka, które nauczyło się od swej matki wyrozumiałości dla bogatych, którzy nie wiedzą, co czynią. Nauczyło się też, czym może być wiara w Boga, gdy niczego już nie można oczekiwać od ludzi. To spojrzenie dziecka rozszerzyło się i zaostrzyło w ciągu lat, ale nie stało się spojrzeniem człowieka rozczarowanego, który wszystko rozumiał, wszystko osądził i potępił świat. Najbiedniejsi nie mogą żyć bez oczu dziecka gotowego wszystkiemu wierzyć, wszystko przebaczyć. Potępić świat, znaczyłoby potępić własne nadzieje. Tego też Ojciec Józef nas nauczył. Nic dziwnego, że dzieci bogate i ubogie skupiały się wokół niego przy każdej sposobności. Rozpoznawały w nim spojrzenie chłopca z ulicy Świętego Jakuba, a Ojciec Józef wiedział, co robi tworząc z nimi ruch Tapor<sup>27</sup>. Wiedział, co mówi, nazywając je „mistrzami szczęścia”. Dzieci też po 18 lutego 1988 opisały swój smutek, szukając słów.

„Ojciec Józefie, chciałeś, żeby już nie było nędzy. Wy tłumaczyłeś nam, że musimy połączyć się wszyscy razem, by każdy uczestniczył w radości. Nawet jeżeli nas opuściłeś, nie przestaniemy walczyć,

---

<sup>27</sup> Tapor – dziecięca gałąź ruchu ATD Czwarty Świat, zapoczątkowana w 1967 r., po podróży Ojca Józefa do Indii, gdzie tak nazywa się małych żebraków, dzielących się zdobytą żywnością. Jej celem jest ułatwianie przyjaźni między dziećmi z różnych środowisk społecznych, różnych kultur, narodowości i religii.

razem z Taponi, żeby wszyscy ludzie byli szczęśliwi. Jesteś postacią historyczną i bardzo cię kocham. Adrien. Opiekował się biednymi, aby nauczyli się czytać. Na początku niewielu było takich, którzy mu pomagali. Ale teraz wielu ludzi naśladuje jego wysiłek. Dziś chciałbym, żeby jego nazwisko było zapisane w słowniku, aby ludzie, którzy będą żyli za sto lat, mogli poznać, że to był ktoś wartościowy. Chciałbym mu podziękować za stworzenie Ruchu ATD Czwarty Świat i Taponi. To mi pozwoliło poznać ludzi z ATD, którzy walczą przeciw wszelkiego rodzaju niesprawiedliwości... Wiem, że nadal modlisz się za nas do Boga... Ojciec Józef myślał o dzieciach i nawet „umarły” myśli o nas. Módlmy się, żeby o nim nie zapomnieć i myśleć o dzieciach, które nie mają tego szczęścia, co my mamy... Kochajmy dzieci tak, jak to robił Ojciec Józef”.

Wypowiadają się również i te dzieci, które go nie znały; „Nigdy cię nie znałem, ale bardzo cię kocham... Ja bardzo chciałbym go znać. Mam nadzieję, że Ruch ATD Czwarty Świat będzie nadal tak działał, jak zaczął to Ojciec Józef, bo wszyscy są tacy sami i nikt nie jest inny... Kochał wszystkie dzieci na świecie i starał się o szczęście dla wszystkich. Pozostanie w sercach wszystkich dzieci, które chcą walczyć przeciw wszelkiego rodzaju niesprawiedliwości. Należy do ludzi, którzy rozumieli, że wszystkie dzieci są do siebie podobne i powinny się gromadzić, by być silniejsze i szczęśliwsze”. A chłopczyk muzułmański dorzuca: „Nie wiem, czy mój list dostatecznie określił wszystkie jego zalety, aby zdefiniować wspaniałość Ojca Józefa, ale wiem, że wszyscy go kochamy... To że ojciec Józef zmarł, to nie znaczy, że umarła także jego przyjaźń dla dzieci... Dzieci, nie zapomnijcie nigdy o jego przyjaźni i dobru, które nam wyświadczył. Chciałbym mu bardzo podziękować. Dziękuję Ojciec Józefie i do zobaczenia wkrótce”.

Dla dzieci jest oczywiste, że trzeba obierać sobie Ojca Józefa za wzór do naśladowania.

„Dla mnie byłeś jak Jezus, pomagałeś biednym żyć dłużej i lepiej... Teraz będziemy starali się to robić jak ty. To dobrze, że ty tu byłeś. Do widzenia Ojciec Józefie... Bardzo lubiłem Ojca Józefa, bo on kochał wszystkich ludzi. Myślę, że to dlatego, że on kochał Jezusa... Dzięki tobie Ojciec Józefie są dzieci, które nie chcą nędzy. One chcą szczęścia. Ojciec Józefie zrobiłeś dużo dla nas, dzieci, teraz nasza kolej, by coś zrobić... Mało jest takich ludzi jak Ojciec Józef.

On zajmuje się wszystkimi, którym brak jest miłości i serdeczności. To człowiek, który myślał o nas dzieciach. On sprawił, że zniknęła z naszych serc nienawiść. On jest uosobieniem miłości. Gromadzi dzieci wszystkich kolorów skóry”.

Mała Emanuelle pisze na pięknej białej kartce: „Odkąd on stworzył Czwarty Świat, można się uśmiechać”.

Tysiące dziecięcych głosów rok później powtarza to samo: „Chcemy nadal gromadzić dzieci, chcemy nadal zajmować się biednymi... Myślimy bardzo wiele o Ojcu Józefie... Musimy wziąć na siebie odpowiedzialność, jaką miał Ojciec Józef, starając się być równi jedni drugim... Ojciec Józef żył dla szczęścia nieszczęśliwych dzieci... Trzeba, żeby wszyscy Taponi kontynuowali jego dzieło albo rozpowszechniali naukę o nim... Dla nas, Taponi, był on jakby ojcem nieszczęśliwych dzieci... Ojciec Józef był najlepszym księdzem ze wszystkich i jest nim zresztą nadal... Jest zawsze dobry, nawet jeśli już go nie ma między nami... Nigdy się go nie zapomni, nawet jeśli niektórzy, tak jak ja, nigdy go nie widzieli. Bóg go przysłał. Ojciec Józef wypełnił swoją misję na ziemi. Ma i będzie zawsze miał wieczną miłość. Ojciec Józef miał takie wielkie serce... Przyrzekamy mu walczyć z nędzą, mimo naszego smutku. Nie będzie więcej głodu, pragnienia ani nierówności na całej ziemi i jest to najwspanialszy hołd, jaki można złożyć Ojcu Józefowi. Dziękuję, Ojciec Józefie, że to zrozumiałam. Jeśli chodzi o wojny, to trzeba żeby ludzie rozumieli się i kochali. A jedzenie trzeba im dać. Oto, co chciałem powiedzieć... Myślę, że tam w górze on będzie bardzo szczęśliwy, zwłaszcza, jeśli będziemy nadal wszyscy „mistrzami szczęścia”.

W Nowym Yorku, Confesor Bracero, Portorykańczyk i Tony Love, Murzyn amerykański usiedli u wejścia do Welfare Hotel, przyjmując bezdomne rodziny. Nie znali osobiście Ojca Józefa, ale otrzymali od niego pocztówkę z Haiti. Na kawałku tektury odpowiadają, pisząc kolejno: „Niech Bóg ci błogosławi. Jesteś najlepszym człowiekiem, jakiego poznałem. Co mógłbym powiedzieć o człowieku równie uprzejmym? Bardzo cię kocham. Niech Bóg ci błogosławi. To pochodzi od bardzo bliskiego przyjaciela, Tony”. Dwoje dzieci bierze udział w bibliotece ulicznej, którą Ojciec Józef stworzył w Nowym Jorku. Są członkami ruchu Taponi, który wymyślił, mobilizując kolegów z ulicy Świętego Jakuba i dzielnicy Świętego Mikołaja, „...

aby zrobić przyjemność zbyt nieszczęśliwym rodzicom”. Tak bardzo sam nieszczęśliwy na drogach upokorzenia swego dzieciństwa nie przestawał wytyczać dróg godności i szczęścia dzieciom stłoczonym z całymi rodzinami, czasem siedem, dziesięć osób w jednym pokoju, w jednym z tych hoteli Welfare, czy dzieci śpiących na ulicach, pod arkadami kina, czy też na plaży w mieście afrykańskim.

Nie wszystkie dzieci mają szczęście spotkać go w podręczniku wychowania obywatelskiego, jak dzieci z III i IV klasy we Francji. Bo choć nie jest jeszcze „opisany w słowniku”, jakby chciała mała Marie, figuruje dzisiaj w nauczaniu szkolnym o Prawach Człowieka. Dzieci z osiedli nędzy mają nowy powód do dumy, mogą powiedzieć, że to o ich Ojca Józefa chodzi: „Tego, który zrobił Czwarty Świat i Tapani”. Nie wiemy, kto wprowadził Ojca Józefa do dwóch podręczników szkolnych, ale ten kto to zrobił pomógł pojednać się ze szkołą tysiącom dzieci z zaniedbanych osiedli.

## **Przebudzenie w ONZ**

W ten sposób dzieci i dorośli biedni i niebiedni mówią, że „trzeba kontynuować”. Wielu angażuje się, jak to zobaczymy dalej. Być może Ojciec Józef sam „robi to, co powinien robić, tam w górze” – jak to mówiła pewna matka rodziny. Być może, nawet „choć umarły myśli tam o nas” – jak mówi Maelle. Wolontariusze, którzy reprezentują ATD Czwarty Świat w instancjach międzynarodowych, mają czasem wrażenie, że spotykają go w korytarzach biurowych i salach konferencyjnych, gdzie z nim bywali.

W 1987 r. Ojciec Józef występował raz jeszcze przed Komisją Praw Człowieka ONZ na rzecz uznania nędzy za pogwałcenie Praw Człowieka. Udał się raz jeszcze do Rady Administracyjnej UNICEF, aby domagać się formalnego stwierdzenia, że najbiedniejsze dzieci są wykluczone ze wszystkich programów. W obu organizacjach Ojciec Józef wzywał do lepszego rozeznania sytuacji, do lepszego i konstruktywnego porozumienia z samymi biednymi. To wciąż ten sam apel rzucony z obozu Noisy-le-Grand w latach pięćdziesiątych: „Poznajmy naszych braci, naszych współobywateli najbiedniejszych, uczynmy z nich prawdziwych braci, prawdziwych partnerów...”

W 1987 r. ani Komisja w Genewie, ani UNICEF w Nowym Yorku nie udzieliły odpowiedzi. A jednak jak to się stało, że w obu tych

instancjach międzynarodowych zarzuconych palącymi sprawami, wszystko nie zostało zapomniane? Na wiadomość o śmierci Ojca Józefa przedstawiciel rządu Argentyny zajmuje jego miejsce w Genewie. Trzyma się stanowczo swojej linii, mimo odmów i przykrości. Ryzykuje utratą stanowiska. W Nowym Jorku wysoki urzędnik państwowy wiąże się z projektem. Gdy wolontariusze wracają do tej sprawy w 1989 r., z obu stron serca i umysły zmieniły się. Pierwszy raz w historii ONZ najbiedniejsi, nie kraje, a sami ludzie, poszczególne grupy stanowią przedmiot intensywnej negocjacji i rezultat jest nieoczekiwany, niezmiernie rzadki, jeśli chodzi o sprawy dotyczące biedy; rezolucja jest przyjęta jednogłośnie!

W Genewie rządy wszystkich systemów politycznych, państw zamożnych i tych na drodze rozwoju zgadzają się na rezolucję: „Prawa człowieka i wielka nędza”. Przypominają, „...że umowy międzynarodowe odnoszące się do Praw Człowieka uznają, że ideał człowieka wolnego, uwolnionego od strachu i nędzy nie może być zrealizowany, jeżeli nie są stworzone warunki, pozwalające każdemu uczestniczyć w prawach ekonomicznych, społecznych i kulturalnych, a także korzystać z praw obywatelskich i politycznych”. Mówią to, co głosił Ojciec Józef od 1957 r. w obozie w Noisy: nędza jest sprawą Praw Człowieka, a Prawa Człowieka są niepodzielne. Tak jak mówił pan Russel, mówiąc o Raplocie Wrzesińskiego na Uniwersytecie Powszechnym: „Trzeba żeby wszystko było wprowadzone w życie, by zniszczyć nędzę. Zniszczyć nędzę, to dać prawa”. Komisja mówi to w języku mniej przystępnym: „Szacunek i promocja Praw Człowieka są niezbędne, aby pozwolić każdemu uczestniczyć w sposób wolny i odpowiedzialny w rozwoju społeczeństwa, w którym żyje”. Przyznaje też rację Ojcu Józefowi i rodzinom, mówiąc, że świat winien starać się lepiej rozumieć nędzę.

W Nowym Jorku Rada Wykonawcza Unicef przyjmuje jednogłośnie rezolucję: „Dotrzeć do najbiedniejszych”. Ona także przypomina to, co Ojciec Józef usiłował powiedzieć światu od 30 lat... „...znaczny procent ludności świata, w tym dzieci i matki, żyjący w warunkach ostatecznej nędzy, nie został dotąd objęty programami na rzecz ubogich”. Rezolucja domaga się równocześnie lepszego rozpoznania sytuacji. UNICEF jest wzywany do współpracy z najbiedniejszymi poprzez organizacje pozarządowe, które już wraz z nimi pracują.

Delegacje rządowe zdają się być równocześnie zdumione i dumne z decyzji, do których nikt nie był uprzednio upoważniony. Przez krótki moment panuje wśród nich wyjątkowa atmosfera braterstwa. Podchodzą uściskać przedstawicieli ruchu ATD w trakcie posiedzenia. W Genewie dwóch przedstawicieli Ameryki Południowej komentuje: „To podwójny cud” – mówi jeden z nich, głęboko wierzący. Drugi, który nim nie jest, sądzi: „...iż pozostaje wiele do zrobienia. Trzeba prosić Ojca Józefa, żeby nam pozwolił chwilę odpocząć”. Dla nich, jak i dla wielu innych obecność Ojca Józefa trwa nadal. Zdaje się zresztą trwać na różne sposoby. W instytucjach życia publicznego, w których Ojciec Józef cierpliwie działał, nieoczekiwane decyzje mają miejsce teraz, kiedy odszedł.

Sekretarz generalny ONZ przychodzi na Płytę na placu Praw Człowieka sam jako przyjaciel. Rozmawia z rodzinami, przyrzeka swoje silne poparcie Wolontariatowi. Sekretarz generalny UNESCO zgadza się patronować całej akcji Sztuka i Poezja zapoczątkowanej przez Ojca Józefa dla dzieci nędzy na czterech kontynentach. Dyrektor generalny Rady Europy decyduje się spotykać co roku dzieci Tabori i publikować oficjalnie to, czego oczekują od Europy. Komitet Ekonomiczny i Społeczny, który nigdy nie udzielał posłuchu Ruchowi na temat ubóstwa we Wspólnocie Europejskiej, użycza lokalu na sesję specjalną Uniwersytetu Powszechnego Czwartego Świata. Ponad stu delegatów Czwartego Świata obraduje w jego murach 30 czerwca 1989 r., dyskutując na temat partnerstwa. Widocznie Ojciec Józef musiał nas opuścić, aby ważne osobistości odkryły swoją odpowiedzialność, podobnie jak liczni zwykli obywatele, rodziny, dzieci. Jak zrobił to Ojciec Józef, aby zza grobu, jednoczyć w ten sposób małych i wielkich we wspólnym przekonaniu, że trzeba się teraz zaangażować na dobre?

### **„Bądźcie zjednoczeni i gotowi umrzeć dla świata”**

Być może prawdą jest, „...że tylko wielka miłość mogła uczynić ten cud” – jak mówił jeden z wolontariuszy. Ale kto może zrozumieć miłość, która czyni cuda, kto może ją kontynuować? Wydaje nam się, że rozświetlała te strony, które mówią o życiu Ojca Józefa, a równocześnie bez ustanku się nam wymykała. Co możemy zrobić innego, jak skłonić głowy i starać się kochać, jak on kochał? Cóż



innego, jak zaufać tak jak on? „Wielkiej miłości nie zachowuje się nigdy dla siebie” – mówi Ojciec Józef. Ale nie dzieli się nią tylko przy pomocy słów. Zapewne trzeba nią najpierw wspólnie żyć, ufając, że z czasem przyjdzie zrozumienie.

Ojciec Józef był o tym przekonany. Rzadko mówił o sobie, przez pokorę a także dlatego, że wiele z tego czym żył, dotyczyło tylko Boga samego. Czasem uchylał tylko rąbka tajemnicy. Nigdy zbyt wiele, by nas nie przerazić. Jednego dnia z przyjaciółmi księżmi mówił tak o celibacie.

„Ksiądz nie może iść aż do końca, jeśli nie zaakceptuje świadczenia o swojej miłości do Boga, przyjmując na siebie przekleństwa, uderzenia, rany, nawet czasem śmierć. Bo śmierć jest zawsze wyborem, który ksiądz zrobił, decydując się na kapłaństwo i oddając się Panu. Zgoda na to, żeby nie mieć potomstwa – wbrew niezrozumieniu przez świat i niekiedy nawet wbrew chrześcijanom, którym nieraz musi stawić czoło – jest znakiem tego, że chce, jeśli trzeba umrzeć, zniknąć. Akceptuje, że jego nazwisko zostanie zapomniane na ziemi, że ludzie o nim zapomną po to, by można go było odnaleźć przy Bogu i żeby tylko Bóg został w pamięci ludzkości”.

Ta miłość, o której mówi Ojciec Józef, przekracza ludzkie wyobrażenie. Jego osoba i życie wskazują jednak, że bogatych czy biednych, małych czy wielkich, wszystkich nas uważał za jednakowo godnych i zdolnych do takiej miłości. Inaczej czy namawiałby rodziny nękanie nędzą do kochania jeszcze nędzniejszych? Czy proponowałby nam wszystkim, niezależnie od tego jaki był nasz stan materialny i sytuacja społeczna, dzielenie się tym co mamy z najbardziej pogardzanymi. A dzielić się, kochając do tego stopnia, byśmy się stawiali sługami, byśmy usuwali się na ostatnie miejsca, zapominając siebie tak, jak to wciąż od dawna robił on sam. Żył między nami, ale tak dyskretnie, że odkrywamy z żalem, że możemy dziś tylko odgadywać głębię jego życia wewnętrznego. Był uosobieniem kapłana, któremu rodziny zawdzięczają to, że stanęły na własnych nogach, „bo on pozostawił miejsce innym... których chciał uszanować, nie dla siebie, ale dla nich samych gotów był widzieć swoje imię wymazane na ziemi, by być odnalezionym w Bogu. To dlatego tak wielu z nas szuka go teraz przy Bogu. „Bądźcie gotowi umrzeć dla świata”. Tego usiłował nas nauczyć, gdy mówił: „Róbcie się mali, dyskretni, bądźcie sługami, wyciszcie się, zapomnijcie wszystko, czegoście się nauczyli,



aby się uczyć od tych, którym służycie”. Delikatność doradzał nam wszystkim, gdyż, jak zrozumiała dziesięcioletnia Typhaine, „... wszyscy ludzie są tacy sami i nikt nie jest inny”.

Czy jest „większa miłość, jak oddać swe życie za braci”, mimo pogardy ze strony świata? Przy Ojcu Józefie wszyscy ludzie wzrastali, a on od nowa tworzył ich jedność, twierdząc, że są zdolni do takiej miłości. Stworzył Ruch, w którym każdy wie, że może liczyć na zdecydowane dążenie wszystkich członków, by osiągnąć zdolność wyrzeczenia się samego siebie. Wszystkie świadectwa przytoczone na tych stronach mówią, że Ojciec Józef nie mylił się, że nie zarzucał swych sieci w martwe wody. Wziął Boga za słowo, liczył na ludzi i połów wydaje się nam cudowny, cudowny w każdym razie dla instytucji Kościoła. Biskup Hardy mówił w dniu pogrzebu: „Nigdy Notre Dame w Paryżu nie widziała tylu zczerniałych rąk, twarzy zniszczonych cierpieniami i trudnym życiem wyciągających się ku świętemu Sakramentowi Eucharystii” Ale połów był cudowny, jednoczący jeszcze w inny sposób.

„Nie ograniczając swego zaangażowania do Kościoła instytucjonalnego, przypomniał, że utożsamienie się z najbiedniejszymi przekracza instytucję” – są to słowa księdza Charles Molette, który zastanawia się nad jednością, której poszukiwał Ojciec Józef. Jest ona trudna do zrozumienia, bo dążył do niej bez większych przemówień jak do rzeczy, rozumiałej „samej przez się” w historii najbiedniejszych i Boga, a także po prostu w historii ludzkości. „Ukazał instytucji radykalne wymaganie pełnego otwarcia się na świat”. Ale czy tego wymagania nie zaproponował wszystkim instytucjom, wzywając mężczyzn i kobiety wszelkich przekonań duchowych do wyjścia z własnych murów, aby dotrzeć do najbiedniejszych, a także by dotrzeć do siebie nawzajem w tej samej służbie?

## **„Oni wejdą na schody Kościoła”**

Rodziny Czwartego Świata są świadkami, one które pierwsze zrozumiały to wymaganie, które ksiądz Molette nazwał radykalnym i totalnym. Jedność, którą przyniósł Ojciec Józef, jest dla nich kamieniem węgielnym. Być zjednoczonymi z rodzinami z Bankoku, Manilli, Dakaru, Guatemala City i z małą wioską protestancką w górach szwajcarskich, to daje im wolność, jedność i siłę. Decydują się iść,

powiedzieć o tym Ojcu Świętemu. Pragną, od dawna, zrealizować marzenie Ojca Józefa: „Aby mogły wejść na schody Watykanu”. Nie zdając sobie być może jeszcze z tego sprawy, przygotowują realizację innego związanego z tym marzenia: „Całe życie marzyłem, by zwrócić najuboższych Kościołowi”. Ojciec Józef, przypomnijmy to sobie, nie mówił nawrócić najuboższych do Kościoła, ale oddać mu ich, aby go nauczyli czegoś istotnego o sprawiedliwości, wolności, miłości, żeby go nauczyli ich rozumienia Jezusa Chrystusa chodzącego drogami swej Ewangelii, aby mu powiedzieli o Bogu żyjącym wśród nich. Chciał oddać najuboższych Kościołowi, aby go umocnić, ale także, by wzmocnić w całej ludzkości pewność, że w każdym człowieku mieszka Duch Święty. Każdy jest zdolny działać dla dobra świata.

W ten sposób bardzo biedne rodziny z czterech kontynentów wybrały się do Rzymu, by mówić papieżowi o Ojcu Józefie i o tym, co znaczy on dla nich. Pytały Głowę Kościoła Katolickiego, jak zrobić, by „Ojciec Józef działał nadal”. Przygotowały się bardzo poważnie do tego spotkania i zostały przyjęte z powagą na jaką zasługuje historia ich cierpień.

„Ojciec Józef daje mi jeden więcej powód, aby żyć, gdyż przed śmiercią chciałbym zobaczyć realizację marzenia tego człowieka więcej niż zachwycającego” – mówi pan Givart w Brukseli. Uczestnicy Uniwersytetu Powszechnego w Brukseli dodają: „Ojciec Józef walczył, by się było mniej nieszczęśliwym. On miał odwagę spotykać ludzi najwyżej postawionych. Ale nauczył nas, że to nie najwyżej postawieni mogą zniszczyć nędzę, ale także i my... On nie bał się iść na wielkie mityngi i mówić: „Co zrobicie dla nich?”, „Ojciec Józef miał odwagę”. Teraz z kolei będą mieć ją rodziny. „To mój obowiązek” – mówi pewna matka rodziny z Holandii – „Teraz trzeba wiedzieć, czego chcemy”.

Ale dlaczego postanowiono wybrać się do Papieża? „To, co się robi dla Papieża ważne jest, by robić dla jakiego bądź Kościoła, czy jakiej bądź religii. Przez wiarę można wejść obojętnie jakimi drzwiami i to jest droga, którą sercem odczuwamy. Robi się to, czego Ojciec Józef nie mógł skończyć. Ojciec Józef nas nauczył, że biednymi są nie tylko wyznawcy jednej religii czy mieszkańcy jednego kraju. Ojciec Józef otworzył nasze serca. Nie jesteśmy tylko biedni w Belgii. Są też biedni w każdym miejscu na świecie... Idziemy do Papieża prosto

przez morze, aby przyspieszyć dobroć między wszystkimi ludźmi. Dzięki dziełu Ojca Józefa możemy iść dalej, możemy zbudować wielki dom, gdzie wszyscy ludzie będą mile widziani”.

Idzie się do Papieża, bo wszystko to go obchodzi, „Papież tak jak Ojciec Józef jest dla biednych, nie tylko dla bogatych. Chcemy, żeby wiedział, że w naszym kraju są także biedni, którzy chcą go uczcić. Ta podróż jest ważna, nawet jeśli potem musimy wrócić do naszej nędzy. Bo jedziemy powiedzieć, że Ojciec Józef stworzył przymierze między wszystkimi biednymi, on, który był biedny i rozumiał, co znaczy być biednym i odrzuconym. Papież musi nas sercem podwójnie pobłogosławić, abyśmy mogli kontynuować. Ale on może także skontaktować się z innymi, prosić o ich zainteresowanie... Papież musi wiedzieć, że najbiedniejsi chcą także należeć do Kościoła. Powinien to przekazać biskupom i wszystkim księżom”.

Jednym słowem rodziny pojechały do Rzymu, bo jest to Kościół Ojca Józefa, a one kochają Ojca Józefa. Dokąd miały pojechać mówić o nim, powiedzieć o cierpieniu spowodowanym rozstaniem, powiedzieć o nadziei, że pozostanie wśród nich, jeśli nie do tego Kościoła, który nazywał miejscem, gdzie mógł oddychać pełną pierśią? „Papież jest daleko od nas. Nie widzi się go. Nie wie się nawet, jakim właściwie jest, jakie ma nastawienie względem nas. Co można tam zrobić? Ale wszystko jedno. Jest tyle rzeczy do powiedzenia mu o tym księdzu, którego jest, jakby nie było, Ojcem”.

Rodziny także przyjechały do Rzymu, by zrobić to, co Ojciec Józef robił z nimi, co przysięgły kontynuować, przyjechały świadczyć o jeszcze biedniejszych od nich, o rodzinach rozbitych, przeganianych z miejsca na miejsce, prześladowanych, o których Ojciec Józef powiedział pewnego dnia, że zabroniono im zamieszkiwać ziemię, zabroniono im istnieć. Na czterech kontynentach rodziny, które są bezużyteczne w oczach świata wykonały „Tkaniny nieobecnych”. Na skrawkach materiału, w swych miejscach nędzy, wyhaftowały, opowiedziały o życiu rodzin jeszcze biedniejszych niż one same. Tak więc tkanina, która przedstawia walkę Ojca Józefa opowiada o rodzinie holenderskiej, wydalonej, zmuszonej do zgłoszenia się do ośrodka, gdzie rozdzielają osobno męża, żonę, nawet dzieci. Opowiada o rodzinie żyjącej na ulicy w Bankoku, w której rodzice nie mają ani świadectw urodzenia, ani paszportów i nie będą mogli nigdy pojechać na pielgrzymkę (buddyści, ale marzyli o wyjeździe do

Rzymu). Opowiada jeszcze historię rodziny, która schroniła się na cmentarzu gdzieś w Afryce, skąd wcześniej czy później będzie znów wyrzucona. Tak na tkaninie zamieszkały rodziny, które ukrywają się na cmentarzach we wszystkich częściach świata, a także rodziny, które boją się ruszać, obawiając się, że zabierze się im dzieci, że spali się ich lepianka, że ich kąt mieszkalny pod kawałkiem blachy falistej zostanie zajęty przez dzikich lokatorów.

W ten sposób w hotelu dla bezdomnych w Nowym Jorku, na cmentarzu w Manillii, na obskurnym podwórzu w Lille, w najgorszych dzielnicach Bankoku, na wysypisku publicznym w Guatemala City i w kontenerze z widokiem na śmietnisko miejskie, gdzie mieszka rodzina z prowincji holenderskiej „kontynuowano Ojca Józefa” i nawet więcej: realizowano jego marzenie. Rodziny wszelkich kultur i wierzeń przygotowywały się do Rzymu. Robiły to wśród narastających problemów, w obliczu niedowierzania otoczenia, ale ufające, że się uda. Nigdy nie myślały, że marzenia Ojca Józefa są łatwymi marzeniami. Wiedzą z doświadczenia, że w takich chwilach rodzi się tysiące pomysłów. Tak było i z darem ofiarowanym Papieżowi, który miał mu uobecnić miliony mężczyzn, kobiet i dzieci, odrzuconych nawet z miejsc, gdzie żyją biedni, ponieważ ich nędza przekroczyła to, co jest wyobrażalne. Była to „Tkanina nieobecnych”. A ponadto rodziny wyrzebywały, zbierały, opakowały pięknie ziemię wygnania, która piła pot i łyzy wydziedziczonych, ziemię ze slumsów, bagnisk nie do zamieszkiwania, a jednak zamieszkałych, ziemię cmentarzy, która zmienia się w lepiające błoto w porze deszczowej, ziemię wyjałowioną, gdzie proso już nie wyrasta, ziemię ze śmietnisk miejskich, gdzie trzeba długo grzebać, żeby ją znaleźć...

Ziemia nędzy z całego świata, aby świadczyć o tych, których Papież pewnie nigdy nie zobaczy, aby świadczyć o tym Ojcu Józefie, „który się bił o nas”. On wiedział, że w każdym człowieku podnosi się, krzyczy jedno słowo. Słowo: „Jestem tu. Domagam się prawa do istnienia”, „Nie umiemy tak mówić jak Ojciec Józef” – mówią rodziny, które słyszały go na Placu Praw Człowieka 17 października:

„Świadczę o was  
ubodzy wszystkich czasów  
dziś jeszcze  
błądzący po drogach

uciekający z miejsca na miejsce...

Których odwaga zasługuje  
na najwyższy szacunek”.

Wielu zachowuje ten tekst między najważniejszymi dokumentami.

Pan Oorthuis wahał się długo przed swoim tekstem, składał go i rozkładał, żeby go przeczytać sąsiadom, nim powiedział: „Mógłbym go ofiarować Ojcu Świętemu”. Tak jak pan i pani Russel z Paryża, pan Tempelaers z Anvers, pani Grun i pani Fockenu z Liege długo się zastanawiali, jak powiedzieć Papieżowi swoje przekonanie, że Ojciec Józef prowadził święte życie i jak zaprosić go, by przybył kiedyś pomodlić się przy grobie w Méry. Po to, by Ojciec Józef został w pełni rozpoznany w swoim Kościele, niektórzy czynią się ambasadorami.

Wszyscy ufali, że Papież zrozumie, podtrzyma ich, powie światu. Dar niezbadany, ten człowiek przybył z dna nędzy, aby oddać swemu Kościołowi i całemu światu najbiedniejszych, ale stojących na własnych nogach, ufnych, pragnących budować pokój, mających ręce pełne darów do złożenia u stóp Ojca Świętego na dziedzińcu w Castel Gandolfo, gdzie audiencja prywatna trwała półtorej godziny. Papież słuchał, radził, zaangażował się: „Jeżeli w jakimś momencie Kościół mógł sprawić wrażenie, że drzemie obok nędzy ludzkiej, powstawali święci i wzbudzali wolontariuszy miłości ewangelistycznej, solidarności z biednymi... Wzywam wasz Ruch, z pewnością zasłużony, do zobaczenia i osądzenia możliwości kontaktów dalej posuniętych lub całkiem nowych z odpowiedzialnymi za Kościoły lokalne, a nawet z tym co się nazywa konferencjami biskupimi. „Święci powstali i wzbudzili wolontariuszy... Idźcie ku Kościołowi, on będzie myślał razem z wami... Rodziny Czwartego Świata, które z powodu Ojca Józefa „odważyły się wejść na schody jego Kościoła”, znalazły odpowiedź na swoje zaufanie. Dla nich „Ojciec Józef kontynuuje swoje dzieło”.

\* \* \*

„Umarł razem z nami” – mówiły rodziny w ubiegłym roku. Tego właśnie chciałeś, Ojczy Józefie, zagubić się, umrzeć razem z nimi. Zobaczyć swoje nazwisko wykreślone na ziemi, zapomniane przez ludzi, aby je odnaleźć blisko Boga. Znaleźć się tam, gdzie teraz czuwasz. „Są ludzie, których kocha się

poza śmiercią. To mój przypadek, jeżeli chodzi o Ojca Józefa, mówi ksiądz Bach. Po śmierci urządziłem mu tutaj nabożeństwo, w tym samym dniu, w którym jego ciało było w Notre Dame. Nie mogę go zapomnieć. To człowiek, który zrobił tyle dobrego wszędzie, gdzie przeszedł. Niezwykły człowiek. Mój szacunek i miłość do niego przekracza granice śmierci i zobaczymy się w Chwale”.

„On jest za nami, jest przed nami, zobaczymy go znowu”.  
Rodziny, przyjaciele, wolontariusze idziemy ku niemu.

# Spis treści

Słowo wstępu do trzeciego wydania .....	5
Przedmowa.....	9
Od tłumacza.....	11
Rozdział pierwszy	
Ubogie dziecko nie ma dzieciństwa .....	18
Rozdział drugi	
Lata chłopięce .....	24
Rozdział trzeci	
„Wybór, którego nikt nie mógł przewidzieć” .....	29
Rozdział czwarty	
Żołnierz, kleryk i „brat” .....	35
Rozdział piąty	
„Żyliśmy nadzieją utożsamienia z biednymi” .....	41
Rozdział szósty	
„Książd nietypowy” .....	47
Rozdział siódmy	
Obóz dla bezdomnych: powrót na drogi ponizenia .....	55
Rozdział ósmy	
Pierwsze stowarzyszenie, akt wiary .....	62
Rozdział dziewiąty	
„Wypuść mój lud” .....	69
Rozdział dziesiąty	
Zarzucanie sieci .....	75
Rozdział jedenasty	
„Godzina Człowieka powróciła” .....	83
Rozdział dwunasty	
Kapłan, obywatel, obrońca praw człowieka: jedno życie — jedna walka .....	96
Rozdział trzynasty	
„Ufam” .....	110
Rozdział czternasty	
„Bowiem wielkiej miłości nie zachowuje się dla siebie” .....	129
Rozdział piętnasty	
On zmienił spojrzenie świata .....	146



[www.atd.org.pl](http://www.atd.org.pl)

**ATD**  
**RAZEM**

**POSTAWMY NA**  
**GODNOŚĆ**

Ruch ATD to międzynarodowy ruch, gromadzący ludzi z różnych środowisk, między innymi osoby w sytuacji skrajnej biedy i wykluczenia. ATD stawia sobie za cel walkę z nędzą i wykluczeniem społecznym.

Posiada status konsultacyjny przy UNICEF, UNESCO, ONZ i Radzie Europy. ATD prowadzi projekty kulturowe oraz promujące współdziałanie obywatelskie w 30 krajach świata. **Założyciel ATD – Ojciec Józef Wrzesiński (1917-1988)**, był francuskim księdzem o polsko-hiszpańskim pochodzeniu.

**Nazwa ATD.** Skrót ATD odczytuje się jako: „Agir Tous pour la Dignité” lub „All Together for Dignity”, czyli „razem postawmy na godność”. Niekiedy używa się też historycznej nazwy ATD „Czwarty Świat”. „Czwarty Świat” to określenie związane z mało znanym epizodem z czasów rewolucji francuskiej, kiedy to arystokrata Dufourny de Villiers udzielił głosu biedakom w swojej publikacji „Kroniki Stanu Czwartego”.

**W Polsce, ruch ATD rozpoczął swoją działalność w 1999 roku w Kielcach** od spotkań wolontariuszy z bezdomnymi na dworcu PKP i w noclegowni. Od tego czasu trwają regularne spotkania, a 17 października odbywają się coroczne obchody ogłoszonego przez ONZ Międzynarodowego Dnia Walki z Ubóstwem. **W Warszawie** ruch ATD rozpoczął działalność w 2004 r. W salach Uniwersytetu Warszawskiego odbył się 8. Europejski **Obywatelski Uniwersytet Dialogu i Solidarności**, gdzie spotkali się ludzie najubożsi, wolontariusze i politycy z całej Europy, by wspólnie dyskutować o godności człowieka oraz o walce z wykluczeniem społecznym. Od 2006 roku wolontariusze ruchu prowadzą regularne zajęcia dla dzieci i ich rodzin: **Biblioteki podwórkowe** oraz Warsztaty **Tapori** ([www.tapori.org](http://www.tapori.org)). W roku 2010, Europejskim Roku Walki z Ubóstwem i Wykluczeniem Społecznym, miało miejsce szereg wydarzeń, w których partnerami ATD byli m.in.: Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej, Rzecznik Praw Obywatelskich, Polski Komitet EAPN oraz Koalicja Social Watch Polska.

## Jak Pomóc...?

- **można zostać wolontariuszem** jednego lub kilku naszych projektów
- **można odbyć staż w Ruchu ATD Czwarty Świat** (3 lub 6 miesięcy)
- **Każdy dar, mały czy duży, jest dla Ruchu ATD cenny.**

Stowarzyszenie Przyjaciół Ruchu ATD Czwarty Świat w Polsce,  
ul. Gagarina 12/33, 25-031 Kielce.

**Konto: Bank Millennium 38 1160 2202 0000 0000 7346 9569**

**[www.atd.org.pl](http://www.atd.org.pl)**